

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 19 (1467) ROK XXIX

10 MAJA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

- Terytoryści ze Smardzewa
- Gdy na ganku siedzi lew
- Islam i socjalizm w świecie arabskim
- Wspomnienia Wozniesińskiego

Osiem widzeń nieba

WACŁAW HOROSZKIEWICZ

W 11-tysięcznej Wiśle istnieje, działa, a może trzeba by powiedzieć — głosi chwałę Bożą — osiem kościołów i wyznań, traktowanych z równym — jak na laickie, socjalistyczne państwo przystało — poważaniem. Kościół ewangelicko-augsburski, Kościół rzymskokatolicki, Zjednoczony Kościół Adwentystów Dnia Siódmego, Polski Kościół Chrześcijan Baptystów, Kościół Metodystyczny, Kościół Wolnych Chrześcijan, wreszcie, wprawdzie nie zarejestrowany oficjalnie, ale istniejący tu i działający. Świadkowie Jehowy.

Kolejność w jakiej podaję, nie wynika z żadnych intencji ani sympatii autora, tylko oparta jest na szacunkowych ilościach wyznawców. I tak: ewangelików jest w Wiśle przeszło 7 tysięcy, katolików ponad 3 tysiące, a każde z powstałych sześciu wyznań posiada na terenie Wisły od kilkuset do kilkudziesięciu wyznawców. Podkreślam — dane te nie są ścisłe, bo opierają się na ilościach podanych przez zainteresowanych, otrzymałem po zsumowaniu liczbę większą niż liczba określająca ilość mieszkańców, dla ateistów już oczywiście miejsca nie stało. Widać więc istnieje tu rywalizacja, walka o rząd dusz, takcie nagromadzenie wyznań (osiem z 37 istniejących w Polsce) na małym terenie musi chyba tworzyć konflikty, rozdrażnienia. Pytani o to różni ludzie, raczej niechętnie odpowiadali. Zastanawiali się z jakich pozycji filozoficznych zamierzam o tym pisać, kto mnie nęścił czy namówił? Nikt przecież nie wierzył, że po prostu kronikarz współczesności opisuje pewne kuriozum.

używek, nie pijemy alkoholu, nie palimy papierosów, nie czytamy z tego drugiemu człowiekowi, bo tak nas uczy Pismo Święte.

— Czy jednak trochę nie deprymuje was to, że jest was tak mało, wiślański zbór liczy tylko około 30 osób?

— Muzułmanów czy buddystów jest na świecie więcej niż chrześcijan, ale z tego powodu my chrześcijanie nie jesteśmy zdeprimowani. Prawda? My jesteśmy otwarci, nam łatwo współżyć z innymi, więc tu mamy prawne stosunki z przedstawicielami innych wyznań, także z oficjalną władzą państwową.

Podobne sformułowania usłyszałem od przedstawicieli innych wyznań: stosunki poprawne z innymi i z władzą państwową, stwierdzili to nawet Świadkowie Jehowy. To „nawet” znalazło się tu tylko dlatego, że wyznanie nie jest oficjalnie zarejestrowane.

W WIŚLE MALINCE

szukałem głównego pastora Świadków Jehowy przekraczając po kładkach strumyki, wdrapywałem się na osnieżone stoki, pukalem do drzwi drewnianych domków. Nikt nie uchylał się od rozmowy ale nie ujawniono struktury.

— Jesteśmy tylko braćmi i siostrami, nie mamy zwierzchnika, naszym królem jest Chrystus w niebie — mówi pani Lorkowa.

Więc w końcu decyduję się na rozmowę z małżeństwem Czyżów, którzy też są jedynymi z wielu, pani Helena i pan Paweł. Gospodarują na 14 hektarach, z czego tylko 3 hektary ziemi ornej, więc pan Paweł Czyż pracuje jeszcze w pobliskim domu wczasowym jako zaopatrzeniowiec. Nie, nie są biedni, mają dach nad głową, mają co włożyć do ust i mają odzienię, więc to jest już dobrze, jak mówi Pismo Święte. Mają także narzędzia, maszyny, traktor.

— W naszej społeczności nie ma ludzi zupełnie biednych.

— Otrzymujecie pomoc z zagranicy?

— W okresie najtrudniejszym, w czasach najsilniejszego kryzysu nasi bracia z innych państw zwrócili się do nas z pytaniem czy potrzebujemy pomocy, ale jako cała społeczność podziękowaliśmy, więc przysyłają nam tylko wydawnictwa religijne. A biedni nie jesteśmy dlatego, że nie wydajemy pieniędzy na zbytki a ponadto pomagamy sobie. Po 1950 roku zdelegalizowano nas, musieliśmy ukrywać nasze poglądy religijne, ale teraz znowu mamy wolność. W 1981 roku w Wiedniu odbył się kongres Świadków Jehowy, byli tam nasi przedstawiciele, otrzymaliśmy wtedy także zezwolenie na zorganizowanie w tym czasie naszego zgromadzenia, tu w Wiśle, w lesie na obszernej polanie.

6

5

Nie wszystkim wierzę...

Rozmowa z zastępcą dyrektora Izby Skarbowej w Łodzi — LECHEM MALĄGIEM.

— Różniemu fiskusowi zwyczajnie się zarzucać dotkliwość wymierzanych podatków i brak stabilizacji w przypadku przepisów, stawek, norm. Pan dyrektor zapewne się z tymi zarzutami nie zgodzi?

— I postaram się udowodnić, że nie jest aż tak źle. Aktów finansowych, rozmaitej rangi, rzeczywiście jest sporo, ale już na przykład stawki dotyczące karty podatkowej czy opłat skarbowych ustalane są raz na trzy lata, co przy niemal stałym ruchu cen, jaki mamy w Polsce, można chyba bez złośliwości nazwać pewną stabilizacją. Jak można natomiast mówić o surowości czy dotkliwości naszego systemu podatkowego, skoro nieuczciwym podatnikom grożą u nas tylko nazwijmy to — restrykcje finansowe.

— Ładne mi „tylko”, skoro często mówi się i pisze o milionowych grzywnach, domiarach.

— Wie pan, określenie „domiar” sugeruje niesłusznie jakąś dodatkową dolegliwość. A

tak przecież nie jest, my to nazywamy bardziej adekwatnie: urealnienie należnego nam podatku. No a grzywny? Cóż, to już jest rodzaj kary za nieuczciwość. Siegamy do tej formy dość często. Grzywny w wysokości 200—300 tysięcy złotych nie należą do rzadkości, a możemy karać nawet do 5 milionów złotych.

— W przypadku owego „urealnienia”, sięga się wstecz, czyli łamiecie starą zasadę, która obowiązuje w naszym prawie: „Lex retro non agit” („Ustawa nie działa wstecz”).

— Zasada ta nie dotyczy skarbu państwa, bo to są przecież należności, które powinny doń wpłynąć w przeszłości, a nie wpłynęły z uwagi na oszustwo.

— I te „urealnienia” czyli domiary sięgają rzeczywiście milionowych kwot?

— Często tak się zdarza, ale proszę mi wierzyć, że przeprowadzamy całą operację, owo wylczenie i sprawdzanie wszy-

stkich okoliczności, bardzo precyzyjnie, wręcz można to nazwać dochodzeniem w majestacie prawa. Zresztą nas też sprawdzają...

— Na przykład Naczelny Sąd Administracyjny?

— Między innymi. Bowiem od decyzji urzędu skarbowego niezadowolony podatnik może się odwołać do Izby, a jeśli decyzja nadal go nie satysfakcjonuje — do ministra finansów bądź do NSA.

— Wiele jest takich niezadowolonych?

— Na pewno więcej niż tych, którzy się odwołują; tych ostatnich było w minionym roku około pięciu procent — to od decyzji pierwszej instancji. Z tego około pół procenta poszło jeszcze wyżej. NSA uznał bodaj kilkanaście spraw. Ale nawet jeśli sąd uchyli decyzję, podatnik nie ma się z czego cieszyć; zwykle badamy sprawę powtórnie, uzupełniamy dochodzenie...

— Rozumiem, czyli najlepiej zapłacić parę milionów „urealnienia” oraz grzywnę...

— ...i od następnego dnia wierzymy już takiemu podatnikowi od nowa. Co nie oznacza, że nie przyglądamy mu się nieco baczniej niż innym...

— Ale pan ciągle twierdzi, że nasz system podatkowy nie jest zbyt dotkliwy. Może by tym nieuczciwym rękę obciążyć, do więzień posłać?

— Niech pan nie żartuje, w Polsce nie można nikogo do więzienia posłać za nierzetelne płacenie podatków, choć taka możliwość istnieje w krajach anglosaskich. Nawiasem mówiąc, Al Capone siedział w Sing-Singu nie za morderstwa, nie za swą mafijną działalność, tylko za oszustwa podatkowe.

— Skoro już mówiliśmy o tych nieuczciwych, niezadowolonych...

Foto: Grzegorz Gałasiński

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałusiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Krzysztof
Drzewiecki, Bohdan
Gadamski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Włodzimierz
Krzemiński, Alfred
Lutrzykowski, Władysław
Malka, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Jerzy Panasewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawni-
ctwo Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch”, Łódź, ul. Armii
Czerwonej 23.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
Instytucji i zakładów pracy: —
zlokalizowane w miastach woj-
ewódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— Instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” — Książka
— Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli. 2. dla indywidualnych
prenumerat: osoby fizyczne
zamieszkające na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów
Oddziałów RSW „Prasa — Książka
— Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli. Osoby fizyczne zamieszkające
w miastach — siedzibach Oddziałów
Oddziałów RSW „Prasa — Książka
— Ruch” opłacają prenumeratę
prenumeratę wyłącznie w urzędach
pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miej-
sca zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłat dokonuje się używając
blankietu wpłaty na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
Oddziałów RSW „Prasa — Książka
— Ruch” 3. Prenumeratę za
zleceniem wysyłki za granicę
przyjmuje RSW „Prasa —
Książka — Ruch” Centrala Kol-
portażu Prasy i Wydawnictw
ul. Towarowa 23 00 958 War-
szawa konto NBP XV Oddział
w Warszawie nr 1153 201045
-139 11. Prenumeratę ze zlece-
niem wysyłki za granicę pocztą
zwykłą jest droższa od prenume-
raty krajowej o 50 proc dla
zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc dla zlecających In-
stytucji i zakładów pracy. Ter-
miny przyjmowania prenumera-
ty na kraj i za granicę — do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następny — do dnia
1 każdego miesiąca — poprze-
dzającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam. 1363. B-2.

Przegląd prasy

Zastanawiam się niekiedy,
czy możliwe jest absolutnie
dokładne odtworzenie przesz-
łości we wszystkich szczegó-
łach i dochodzą do wniosku, że
nie jest to możliwe. Z różnych
przyczyn. Jednym z nich jest
subiektywizm. Można to też
nazwać umownością. Oglądając
na przykład serial telewizyjny
„Pan na Żuławach”, który jak
wiadomo był oparty na auten-
tycznych wydarzeniach i ma
autentyczne pierwowzory bo-
haterów, w pewnym momencie
poczułem wielki żal do realiza-
torów, którzy w początki lat
pięćdziesiątych przeniesli abso-
lutnie współczesny traktor. Też
co prawda z Ursusa, ale z
dawnym urusem nie mający
nic wspólnego. To był zupełnie
inny traktor. Kto go nie wi-
dział, nie pamięta, nie dostrze-
że różnicy. A w serialu —
bądź co bądź historycznym —
taki nieprawdziwy obraz wy-
wołuje dysonans.

Podobnie jest chyba z wszel-
kimi próbami w miarę dokła-
dnie odtworzenia przeszłości.
Skażone one mogą być —
często mimo woli — presją
współczesności. Otóż współcze-
sny człowiek często nie potrafi,
nie jest w stanie, wyobrazić sobie
wszystkiego, jak było, nawet
jeśli ma dostateczną ilość prze-
kazów z danej epoki, z danego
jej okresu.

Ale to jest jedna sprawa. In-
ną sprawą jest skażenie polity-
czne obrazu przeszłości. Nie-
którzy wołają bowiem o „obie-
ktywny obraz historii”. W mar-
cowym numerze, trzecim z 1988
roku, „NOWYCH DROG” Hen-
ryk Bednarski opublikował ar-
tykuł pt. „Wokół problemów
rozwoju nauk społecznych w
PRL”. Są to między innymi

ROZWAŻANIA O „CZYSTOŚCI” NAUK SPOŁECZNYCH

Autor pisze:

„Świadome zaangażowanie w
walkę o naukowe poznanie
rzeczywistości społecznej oraz
jej jednoznaczny światopogląd
interpretację było i jest dla
marksistów podstawową
powszechną powinnością. Dla marksisty
jest to zarazem „nakaz” mo-
ralnego zaangażowania po stro-
nie sił socjalizmu reprezentują-
cych najwyższe wartości ogól-
noludzkie, klasowe i narodowe,
wynikające z ideologii marksi-
zmu-leninizmu. Racje moralne
marksizmu splatają się zawsze
z racjami intelektualnymi, te
zaś wyrażają z racji poznaw-
czych, z naukowego oglądu rzec-
zywistości społecznej”.

Tak się złożyło, że również
na początku marca Radio Wo-
jna Europa nadało cykl audycji
poświęconych falszowaniu wie-
dzy historycznej w nauce his-
torii w szkołach, a co wiąże się
z posądzeniem polskich histo-
ryków o fałszowanie wiedzy
historycznej w ogóle. Autor
tych audycji — a być może au-
torzy — próbowali przedstawić
historię marksistowską jako czło-
wieka prymitywnego, dobrowol-
nie poddającego się manipulacji
przedstawicieli władzy, któ-
ry bardziej jest propagandystą
niż uczonym. Takiemu — zwol-
nionemu — obrazowi
historii przeciwstawia się in-
ny, który ma być pełniejszy,
bo poszukujący prawdy, rzetel-
ny, nikomu nie podległy.

Wszelkie wołanie o pluralizm
— jak z powyższego wynika —
jest czystym kamuflażem, ma-
jącym zamaskować jawny an-
tykomunizm. Mogę zrozumieć,
że ktoś ze względów polity-
cznych odrzuca fakt istnienia
klas, co jest dość dziwnym
postrzeganiem rzeczywistości.
Może też ktoś, ze względu na
ideologiczne odrzucenie walki
klas, przeoczy kierowniczej ro-
li klasy robotniczej, negować ro-
lę partii. Bronią on zatem swo-
ich koncepcji, ale dopuszcza ist-
nienie innych. Zgodnie z ideą
pluralizmu. Również w ramach
tej idei zwalcza przeciwnie po-
glądy, ale metodami naukowymi,
przeciwstawiając marksis-
towskiej interpretacji faktów
interpretację niemarksistowską,
materialistycznemu pojęciu

działów — Idealistyczne i tak
dalej. Natomiast prymitywny
antynomizm usiłuje dyskredy-
tować marksistów przedsta-
wiając ich jako ludzi po pro-
stu głupich. Czynniki te rzekomo w
imię „czystej nauki”, ale prze-
cież z wyraźnym określonym
pobudek politycznych.

„Dlatego też uczony — pisze
Henryk Bednarski — wybiera-
jąc świadomie system wartości
jednoznacznie zorientowanych
na społeczno-polityczne cele tej
klasy, staje po jej stronie, łą-
cząc w toku walki klasowej
swe losy z jej społecznym by-
tem i interesami”.

Związek ten w istocie de-
terminuje naukowe poznanie
rzeczywistości. On właśnie po-
winien sterować indywidualną
i zbiorową praktyką naukową.
Ujawnia się tu zarówno res-
pekt uczyniony wobec społecznej
rangi przedmiotu badań, ideatu
nauki, jak też uświadczniając
się metodologiczne podstawy
procesu poznawczego. Do łam-
sa socjologii wiedzy dawno o-
deszły już naiwne wyobrażeń-
ia o „czystości”, „superobiek-
tywnych badaniach” procesów
społecznych.

Cóż więc oznaczają nawoły-
wania niektórych przedstawicieli
nauki do społecznej neu-
tralności uczonych, nierazkie
odżegnywanie od wyraźnej de-
klaracji ideologiczno-swiatopog-
ładowej? Bliższy ugiąd w
strukturę takich postaw meto-
dologicznych ujawnia, iż rze-
czywisty sens owych nawoły-
wań tkwi w zmianie wzglę-
dów „człowieka i świata”, w powo-
dnie do znanych w przeszłości, a
obecnie podupadłych spo-
łecznych i politycznych opor-
ty nauki. Tylko pozornie mogą się
one wydawać „czyste”, gdyż
ich „nieskazitłość” wynika
głównie z braku rozeznania,
jakie siły sprawcze kreują
naukę i zarazem określają spo-
łeczny status uczonych. Podej-
ście takie można by zrozumieć,
gdyby dotyczyło ono młodych,
niedostatecznie adekwat-
nie dostrzegających zależności
między światem, bytem spo-
łecznym i świadomością a fun-
cjonowaniem nauki i prawdi-
wościściami jej rozwoju. Jeśli
żół poglądów tych bronią ucze-
ni o orientacji antysocjalistycz-
nej, niekiedy zaangażowani w
działalność antypaństwową —
to istnieje powód, by toler-
dzieć, iż za sztydem „mentor-
skiej nauki” kryje się konkre-
na antyamerykańska postawa
metodologiczna”.

W propagandzie antykomuni-
zmu odgrzebuje się stare, obie-
gowe pojęcia, po części już
zmitygowane, jak na przy-
kład, że „Polak i katolik to
jedno”. Pomijam już fakt, że
nawet katolicy socjologowie
przyznają, że polski katolicyzm
jest raczej emocjonalny niż re-
fleksyjny, że jest on po-
wierchowny, często bardziej
wiąże się z obyczajem niż
głęboką wiarą. Ale co to, nie
było w Polsce innowierców,
nie odegrali oni żadnej w na-
szych dziejach roli. A czy i lu-
dzie nie wyrażający się kato-
licyzmu nie mieli na religię
różnych poglądów?

W tym samym numerze „No-
wych Drog” Józef Żuraw o-
publikował bardzo interesujący
tekst, w którym pisze

O TADEUSZU KOŚCIUSZCE TROCHĘ INACZEJ

Miał on bogate życie, ale ca-
łe je poświęcił walce o wolność
ludu. Przebiegał w Paryżu,
gdzie przez 5 lat pobierał nau-
ki, by po powrocie do Polski
jako kapitan stwierdzić z przy-
krością, że nie ma tu dla niego
miejsc. Ruszył więc w świat
szukać dla siebie i swoich
idealiów tego miejsca. Myślał o
wojsku lub dyplomacji. Szukał
szczęścia w Dreźnie, ale bez
powodzenia. Na wieść o walce
Ameryki o wolność rusza tam
bez wahania. Zyskuje sobie o-
gromne uznanie w walkach A-
merykanów, otrzymuje patent
na generała brygady, przyjęty
zostaje do elitarnego „Towa-
rzystwa Cyncynatów”, ale prze-
cież po skończeniu wojny po-
wraca do Polski. Czy z tego
faktu, że Tadeusz Kościuszko
brał udział w wojnie o wol-
ność Ameryki wynika — jak to
we wspomnianej audycji sugie-
ruje RWE — że to Polacy wy-
wołali Amerykę spod kolonial-
nego panowania Anglii? W
walkach tych brał też udział
Kazimierz Pułaski, ale i to
nie zmienia faktu, że była to
wojna Ameryki o jej wolność,
w której Polacy stanęli po

śluszej stronie. Te przykłady
mogą jedynie ilustrować tezę,
że Polacy zawsze byli czuli na
jakiejkolwiek naruszenie wol-
ności i stawali w jej obronie. Ale
to jest tak oczywiste, że aż
przykro taką oczywistość pow-
tarzać.

Sądzę, że największe szkody
w historycznym myśleniu, i w
nauczaniu historii, wyrządza
nam głęboko zakorzeniony po-
locentryzm, który albo nakazu-
je nam uznawać Polskę za
„Chrystusa narodów”, albo ka-
że patrzeć na Polskę, jako
centrum świata. Są autorzy,
którzy do upadłego będą bro-
nić tezy, że wielkie mocarstwa
w czasie drugiej wojny świa-
towej spiskowały przeciw sobie
przy pomocy Polski i gotowe
były się bić między sobą o...
Polskę. Katolików jest na świe-
cie 800 milionów, ale zupełnie
z nieznanymi powodami polskość
ma być szczególną formą kato-
licyzmu. Czyż nie czas spojrzeć
realnie na rolę i miejsce Polski
tak w przeszłości, jak i dziś?

Tadeusz Kościuszko całym
swoim życiem dowiódł, że za-
wsze służył interesom ludu i
wolności. „Naczelna zasada —
pisze Józef Żuraw — wolność i
szczęście ludów — legła też u
podstaw kościuszkowskiej kon-
cepcji stosunków z narodem
rosyjskim. Nie z narodem ro-
syjskim, lecz z jego reakcyjną
władzą walczący powstańcy pod
Racławicami. Zrozumieli to ro-
syjscy rewolucyjni demokraci.
Ich mieszczyński „Sowremien-
nik”, redagowany przez Czer-
nyshewskiego i Dobrolubowa,
pisze: „Tadeusz Kościuszko to
odwieczny człowiek swojej e-
poki, człowiek pozostający pod
wpływem współczesnej nauki o
równości wszystkich obywateli
i o nowym ustroju Europy”.

Koncepcja sojuszu i przyjaź-
ni Polski i Rosji nie miała —
w pojęciu Kościuszki — żadnej
rocznej alternatywy. Dawał
on temu niejednokrotnie wy-
raz w listach między innymi
do cara Aleksandra I i jego
ministra ks. Adama Czartory-
skiego. Mimo odtrącenia przez
cara wyciągniętej ręki, Ko-
ściuszko do końca życia pozostał
wierny idei braterstwa polsko-
rosyjskiego, w którym widział
rękojmię wzajemnego bezpie-
czeństwa”.

Stosunek do Tadeusza Ko-
ściuszki jest u nas podobny do
stosunku do świętego. Wyraża
to hasło: „Patrz Kościuszko na
nas z nieba”. Nikt nie ma za-
miaru przedstawiać Naczelnika
Insurekcji jako ateisty. Byłoby
to bzdura. Ale Tadeusz Ko-
ściuszko był człowiekiem oświe-
cenia. Miał więc swoisty stosu-
nek do Boga, nie bezkrytyczny,
nie pozbawiony racjonalizmu.

„Kościuszko — pisze J. Żu-
raw — zakładał istnienie Boga
jako istoty najwyższej i przy-
czynę świata, jednocześnie
wskazywał na nadużywanie
przez duchowieństwo i despo-
tyczne rządy. (...) Jego argu-
mentacja jest zbliżona do ar-
gumentacji Staszica, który do-
wodził, że „bez zabobonów
nie mogłoby być stałej niewo-
li”. Obaj są przekonani, że pa-
nujący świadomie popierali re-
ligię jako skuteczne narzędzie
uzarżmienia ludu”.

Tadeusz Kościuszko był zwo-
lennikiem tolerancji religijnej.
„Hasło tolerancji religijnej” —
pisze J. Żuraw — nie było dla
Kościuszki retorycznym zawo-
daniem, lecz wskazówką do
praktycznego działania. Wystę-
pował on w obronie wyznań
mniej licznych, dyskryminowa-
nych przez katolicyzm. W cza-
sie Insurekcji nie wyróżniał
żadnego z nich — wszystkich
pozwalał na swobodę kultu, ale
od wszystkich wymagał lojal-
ności wobec władzy państwo-
wej. Idea tolerancji i równo-
uprawnień kulturowych stanowi-
ła podstawę wydanej 7 maja 1794
r. pod Polanem odczyty do
duchowieństwa polskiego —
wszystkie religie są tam tra-
ktowane jednakowo”.

Różni się wszakże w pojmo-
waniu religii od innych ludzi
Oświecenia. „Był przekonany,
że oparta na detynie religia na-
turalna nie wymaga właściwie
ani kapłanów, ani instytucji
Kościoła”. Z innymi ludźmi O-
świecenia łączył go wszakże in-
ny pogląd. „Zasadą Kościuszki
jest to, czego uznanie Kościo-
łowi rzymskokatolickiemu w
Polsce przychodzi z trudnością
i dziś, a czego już dawno do-
magali się tak sławni Polacy,
jak Staszic, Kołłątaj, Jan Śni-
adecki, Lelelew — rozdział Ko-
ścioła od państwa”.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Przejścia i przeżycia

Jest u Sienkiewicza (nie pamiętam gdzie) anegdota o litewskim
powstańcu, którego udało się współtowarzyszom odciąć z szu-
bienicy. Gdy go pytali, co się na stryczku przeżywa, odpowie-
dział: „Chłodno, smutno, jeść się chce...” (przypatrzam się pamie-
ci). Otóż nawet ważne fakty i daty graniczne, które zamykają
bądź otwierają nowy etap historii, nie każdemu zapisują się w
pamięci jako momenty niezwykle, pozostawiające silniejszy ślad
w przeżyciach.

Oczywiście, inaczej przeżywa dzień i godzinę takiego faktu,
jak np. zakończenie wojny, frontowy żołnierz, który do ostatniej
chwili przed przerwaniem działań wystawiony był na śmiercio-
nośne pociski, a teraz może już bezpiecznie wypiąć się na nie-
przyjaciela, a inaczej ktoś na dalekich tyłach, komu pokój
niewiele odmieni życie, może nawet pogorszy. Dla niego dzień
tej wielkiej nowiny nie wyróżnia się niczym szczególnym z
długiego pasma chwil podobnych.

Mówię tu o różnym przeżywaniu faktu ustania wojny, zależ-
nie od okoliczności zewnętrznych towarzyszących temu. A prze-
cież podobne przejścia nie muszą wywoływać takich samych
przeżyć, wiele bowiem zależy od tego, komu się dana sytuacja
przydarzy. Niby to oczywiste, a jednak mamy naturalną skłon-
ność do utożsamiania czyichś przeżyć wojennych z jego przeży-
ciami; chociaż nawet cios najokrutniejszy z okrutnych — utrata
jedynego dziecka przez samotną matkę, bywa przez różne ko-
biety przeżywany niejednakowo.

Trochę przeraziłem się wymowy tego, co napisałem, bo lepiej
przebiec — z humanitarnymi względami — dać się wprowadzić w
błąd pozornym, czy nawet udawanym cierpieniem niż przeżyć
obojętnie obok cierpienia rzeczywistego, podobnie jak lepiej
puścić wolno winnego niż ukarać niewinnego (dlatego m.in. tak
okrutna jest zasada odpowiedzialności zbiorowej).

Wolno mi jednak, w celach psychologiczno-poznawczych, ob-
stawać przy teoretycznym przynajmniej rozróżnianiu wojen-
nych przeżyć i wojennych przeżyć, do tego bowiem skłania mnie
kolejna już pokojowa rocznica i moje osobiste wspomnienie tego
dnia w okolicznościach całkiem zwyczajnych. Stałem wtedy,
9 maja 1945 r. w pogodnie przedpołudnie na przystanku jakiejś
prowinizyjnej komunikacji na warszawskim Grochowie, gdy
wtem jak spod ziemi, wysypała się na ulicę gromadka gazet-
arzy anonsując donośnym pokrzykiwaniem dodatek nadzwyczajny
„Życia Warszawy” z komunikatem o zakończeniu wojny. I dlatego
pamiętam ten moment wraz ze słoneczną i wietrzną
aurą, że doznałem wtedy odczucia jego „historyczności” (i po-
wiewu historii) i chyba tymi słowami to sobie uświadomiłem. Na-
stępnie skonstatowałem, że ludzie wykupujący dodatek reago-
wali jednak bardzo różnie, że nawet ten i ów skomentował gło-
sno: „No dobrze. I co z tego mamy?”, dając w ten sposób wyraz
swojemu rozczarowaniu, że pokój, jak i wolność nie przyszły z
zachodu.

Bardzo odmienne przeżywanie tych samych faktów wiąże się
we współczesnym świecie (a może zwłaszcza u nas?) z proble-
matyką wojny i pokoju. Polaryzacja postaw i oczekiwań, rachub
i nadziei nasycą przeciwnymi sobie emocjami nawet takie
bądź co bądź losowe wydarzenia, jak niedawne pojawienie się
nad naszymi głowami radioaktywnej chmury, od której, nim
uzyskaliśmy oficjalne wyjaśnienia, wolno było obawiać się po-
ważniejszych ekologicznych zagrożeń.

Ale niezależnie od indywidualnych skłonności do panikarstwa
lub też do wewnętrznej i społecznej zdyscyplinowania, dalo
się zaobserwować, oprócz objawów zrozumiałego zaskoczenia,
występującą u niektórych ludzi postawę „zacierania rąk” w na-
dziei (podsycanej przez zachodnie rozgłoszenie), że rozwinie się
sytuacja znacznie groźniejsza od oficjalnych ocen i prognoz.

Słowem, dochodziła do głosu postawa: „Im gorzej, tym lepiej”,
którą wyznawali też (jak przypominała o tym prasa) ludzie pró-
bujący z częstym skutkiem, wysadzać pociąg i inni, pod-
palający mieszkania związkowców. A u jeszcze innych widoczny
był zawód, że nie doszło obecnie do tragedii, do której ewentu-
alnie może dochodzić w cywilizowanym świecie z winy najno-
wocześniejszych technologii. Ryzyko postępu naukowo-technicz-
nego jest bowiem zawsze wysokie, a przecież powstrzymać tych
procesów nie sposób.

Reagowanie ze skrywaną uciechą na zagrożenia zdrowia i ży-
cia współczesnych (czy w ogóle ludzi) w nadziei, że może uda
się zbic z tego polityczny kapitał, jest miarą moralnej deprawa-
cji, do jakiej doprowadza politykierskie zacietrzewienie.

JERZY KWIECIŃSKI

KOMU NAGRODĘ ODGŁOSÓW?

Niebawem będziemy znać nazwisko laureata nagrody „Odgło-
sów” za upowszechnianie kultury w roku 1985. Instytucje i
organizacje, które regulamin nagrody upoważnił do zgłaszania
propozycji, przedstawiły 11 kandydatów. Są one rozpatrywane
przez jury, powołane decyzją dyrektora Łódzkiego Wydawni-
ctwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

W skład jury wchodzi: Lucjusz Włodkowski (Odgłosy) — prze-
wodniczący, Henryk Hartenberg (Związek Literatów Polskich), Antoni
Kędra (Akademia Muzyczna), Andrzej Mikolajczyk (Łódzkie
Wydawnictwo Prasowe), Jerzy Panasewicz (Stowarzyszenie dzien-
nikarzy PRL), Aleksandra Pakaczewska (Państwowa Wyższa
Szkoła Sztuk Plastycznych), Zdzisław Szymor (Wydział Kultury
UMŁ), Andrzej Karolczak (Odgłosy) — sekretarz.

Nie podajemy nazwisk zgłoszonych kandydatów, nie podamy
ich również po ogłoszeniu wyników — jest to konsekwencja
ubiegłorocznych doświadczeń: żadna z ubiegłorocznych kandyda-
tur nie została powtórzona, co bez wątpienia oznacza, iż uzna-
no, że powtórnie tej samej kandydatury zgłosić nie można. Re-
gulamin nagrody nie wyklucza zgłoszenia ponownie tej samej
kandydatury — nie ogłaszamy zatem nazwisk kandydatów, aby
otworzyć im możliwość ewentualnego powtórnego zgłoszenia w
roku przyszłym i następnych.

9

maja 1945 roku, w Berlinie podpisany został akt bezwarunkowej kapitulacji hitlerowskich Niemiec. Umęczona sześcioma latami najkrwawszej w dziejach ludzkości wojny Europa odetchnęła z ulgą. Ta wojna pochłonęła blisko 55 milionów ofiar. Połowa z nich zginęła w obozach śmierci, ulicznych egzekucjach, podczas bombardowań. Tylko świadkowie tych lat naprawdę rozumieją grozę kryjącą się za suchymi liczbami statystyk podawanych dziś w podręcznikach historii; i tylko oni naprawdę wiedzą, jak smakowało zwycięstwo przypieczętowane w Berlinie aktem bezwarunkowej kapitulacji.

Marszałek Georgij Żukow wspomina:

„Keitel szybko wstał, rzuciwszy na nas nienawistne spojrzenie, a następnie wziął ze stolika buławę i chwiejnym krokiem zaczął się zbliżać do

cy, podnosząc obie — nareszcie obie! — ręce, rozciągając usta w służalczym uśmiechu żębrzącym o życie, z oczami pełnymi strachu najbardziej odczuwającego.

Wszystko jest takie złożone. Wszystko jest inne niż to, co wyobraźnia na te dni sobie ułożyła.

Zwycięstwo nie zawierało w sobie wszystkich tonów. Brak było rzeczy najistotniejszej — szacunku dla pokonanych. Nie z naszej winy znajdowaliśmy dla nich jedynie pogardę.

Oto pokonany został naród, który w ciągu pięciu lat wymordował dwadzieścia milionów ludzi w obozach koncentracyjnych. Dwadzieścia milionów bezbronnym ludzi wszystkich narodowości świata, z których jedna trzecia miała obywatelstwo polskie.

A gdy stolica prusactwa, kolebka wszystkich zbrodni hitlerowskich, miała walczyć już nie o zwycięstwo, lecz o imię

stają strzelać i nastaje koniec wojny, takie proste, a tyle lat minęło, nim ludzie wpadli na ten pomysł! Przejście od chaosu do ciszy wytrąca nas z równowagi, bezradnie obracamy pistolety w rękach — naprawdę nie będą nam już potrzebne?”

Przed wszystkim była jednak radość ze zwycięstwa. Powróćmy znów do wspomnień marszałka Georgija Żukowa:

„O godzinie 0.50 w dniu 9 maja, po przyjęciu bezwarunkowej kapitulacji niemieckich sił zbrojnych, posiedzenie zostało zamknięte.

Rozpoczęło się przyjęcie, które upłynęło w podniosłym nastroju. (...)

Uroczysta kolacja zakończyła się w biały dzień śpiewem i tańcami. Radziecy generałowie tańczyli bezkonkurencyjnie. Ja też nie wytrzymałem i przypomniał sobie młode lata odtańczyłem „barynię”. Rozchodziliśmy się i rozjeżdżaliśmy do domów czy na lotniska przy

Jak świętowaliśmy



Foto: Grzegorz Gałasiński

Tamten smak zwycięstwa...

naszego stołu. Monokl wypadł mu z oka i zwił się na sznurku. Na twarzy wystąpiły czerwone plamy.

Wraz z nim do stołu podeszł generał pułkownik Stumpf, admirał floty von Friedeburg i towarzyszący im niemieccy oficerowie. Poprawiwszy monokl Keitel usiadł na krześle krzesła i bez pośpiechu podpisał pięć egzemplarzy aktu. Stumpf i Friedeburg również złożyli swoje podpisy.

Po podpisaniu dokumentu Keitel podniósł się, nałożył prawą rękawiczkę i znów usiłował zademonstrować swoją wojskową postawę, ale jakoś mu to nie szło; powoli wrócił do swojego stołu.

Pierwszy punkt aktu kapitulacji brzmiał:

„My, niżej podpisani, działając w imieniu Naczelnego Dowództwa Niemieckiego, zgadzamy się na bezwarunkową kapitulację wszystkich naszych sił zbrojnych na ziemi, morzu i w powietrzu, oraz wszystkich sił, znajdujących się w chwili obecnej pod rozkazami dowództwa niemieckiego, Naczelnemu Dowództwu Armii Czerwonej i Naczelnemu Dowództwu ekspedycyjnych sił Sprzymierzonych”.

Upokorzony wróg podpisać musiał także i ten punkt dokumentu:

„W przypadku, gdyby Niemieckie Dowództwo Naczelne lub jakiegokolwiek siły zbrojne, znajdujące się pod jego rozkazami, nie działały zgodnie z niniejszym aktem o kapitulacji, Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej oraz Naczelne Dowództwo ekspedycyjnych sił Sprzymierzonych przedsięwzięć takie środki karne, jakie uzna za konieczne.

Akt niniejszy sporządzony został w języku rosyjskim, angielskim i niemieckim. Jedynie rosyjski i angielski tekst posiada moc obowiązującą.”

Co czuli żołnierze radzieccy i polscy, gdy 2 maja 1945 r. wkraczali w mury zwyciężonego Berlina? Edmund Osmańczyk, ówczesny korespondent wojenny, tak opisuje te chwile:

„Dzień później, oczadzeni niewiścią, po raz pierwszy w tej wojnie nie wewnątrz obleganego kotła, lecz na zewnątrz, przeżywalimy szczęście oglądania wrogiej śmierci. Staliśmy obok radzieckich artylerzystów. Wsłuchiwałem się w lot pocisków i grzmot wybuchów, oni mówili „Stalingrad”, my śpiewaliśmy „Warszawa”.

Gdzieś pod Poczdamem widzieliśmy, jak artyleria niszczy cennie odległe o dwieście metrów koszarę, z których przed sekundą były w naszą stronę pociski. Z góry bombowce zrzucały na śródmieście najcięższy ładunek.

Pod ścianami wypalonych domów biegła polska piechota, jeźdźnia posuwały się sowieckie czołgi, wtaczając trupy niemieckich żołnierzy w roztopione połamane asfalt. Z nielicznych okaleczonych domów jawiły się białe chorągwy wysuwane przez niewidocznych mieszkańców. Z ruin wychodzili Niem-

stolicy walczących jeszcze nadal Niemiec, wówczas skapitulowała po tygodniu pozostawiając jak na sztywność napisy na murach: „Wir kapitulieren nicht!”.

Dla wielu koniec wojny nastąpił jeszcze przed 9 maja. Zwycięskie wojska alianckie niosły wolność ludności znajdującej się na terenach opuszczonych przez wycofujące się nie-dobitki żołnierzy niemieckich, wyzwalały po drodze obozy jeńnicze i koncentracyjne. Tu pierwszy dzień wolności miał smak szczególny. Tak ten dzień wspominał Witold Mieszkowski.

„Jedenasty kwietnia... front jest już tuż koło obozu, widać czołgi amerykańskie stojące na wzgórzach i cofającą się artylerię niemiecką. (...) Tylarię niemiecką powoli mija oboz — jesteśmy na ziemi niczyjej. Widzę, jak jeden z czarnych łebków zrzuci mundur, wyciąga z tornistra cywilne ubranie, ubiera się w nie błyskawicznie, wciśnię na uszy kapelusz i znika w lesie. Za chwilę przewalają się koło obozu, nie zatrzymując się, potężne czołgi. Jesteśmy wolni!”

Jesteśmy wolni, ale nie ma wybuchów radości. Wszyscy zachowują się tak, jakby nie się nie zmieniło. Przychodzą ludzie z podziemnej obozowej organizacji z karabinami i nożycami, przecinają druty. Wychodzą za druty z noszami szukać rannych.”

A oto, jak ten moment przypomniała Stanisława Gogolowska.

„Siedzieliśmy właśnie w tej ich „Gaststube”. Podeszłam do radia i przekreśliłam gałkę. Usłyszałyśmy głos speakera. Mówił po niemiecku. Podał wiadomość o bezwzględnej kapitulacji Niemiec przyjętej i podpisanej przez wszystkich aliantów.

A więc wojna skończona. Wśród kobiet powstał krzyk. Zaczęły się ścisnąć i całować. Szalały. Jedne śmiały się, inne płakały. Nie czułam nic — radości, ani smutku. Byłam jakby wypatroszona ze wszystkiego. Za długo czekałam na tę chwilę. Przyszła zbyt późno.

Jestem sama. Nie ma Janka. Potrafiłam walczyć tylko o własne życie. Janek — dziecko jeszcze, choć już artysta, marzyściel, zanadto był wrażliwy, by móc przeżyć. Zginął jak bohater. To brzmi pięknie, lecz nie zmienia faktu, że zginął, że go nie ma, że go straciłam. Wszystko, co miałam, najdroższego na świecie... I teraz o niczym innym już myśleć nie potrafię.

Przez radio bezustannie przemówienia... Po tylu latach znowu usłyszałyśmy na falach eteru polską mowę. I nagle... „Jeszcze Polska nie zginęła...” popłynęło z głośnika. W pokoju rozległ się głośny płacz kobiet. Pocałowałam pod powiekami palące łyzy...”

Jerzy Filipowicz przeżył to jeszcze inaczej.

„9 maja 1945. Zwykły dzień jak inne, nie mogę pojąć tej „normalności”, póki nadszedł cicho, zwcześnie, bez rozgłosu. Więc to takie proste — prze-

odgłosie kanonady ze wszystkich rodzajów broni na cześć zwycięstwa. Strzały rozlegały się we wszystkich dzielnicach Berlina i na przedmieściach. Strzelano w górę, ale odłamki granatów moździerzowych i pocisków artyleryjskich oraz kule spadały na ziemię, wobec czego chodzenie po ulicach w godzinach rannych 9 maja nie było zbyt bezpieczne. Lecz jakże się różniło owo niebezpieczeństwo od tego, z którym wszyscyśmy się żyli w ciągu długich lat wojny!”

Świętowano też zwycięstwo w wyzwolonej Polsce. Zapisał to Leopold Marschak.

„...po raz drugi w tym miesiącu dzienniki w Warszawie, Łodzi i Krakowie wydały dodatki nadzwyczajne z ogromnym nagłówkiem: „Wojna w Europie skończona. Bezwarunkowa kapitulacja Niemiec”, a Polskie Radio ogłosiło orędzie prezydenta Bieruta, skierowane do rodaków we wszystkich zakątkach świata i powiadamiające o ostatecznym zwycięstwie nad hitlerowsko-faszystowską przemocą.

Nie byłam tego dnia w stolicy, ale to co działo się na ulicach Łodzi, te spontaniczne manifestacje, serdeczność okazywana na każdym kroku żołnierzom i oficerom, kwiaty, jakie całym naręczami zanoszły łodzianki, aby obdarować nimi mężczyzn w wojskowych mundurach, przepelnione kawiarnie i restauracje, gdzie obcy sobie ludzie przepijali do siebie i brali się w objęcia — wszystko to stworzyło obraz, który na długo pozostał w pamięci.

Władze miasta uczciły święto zwycięstwa bankietem w Sali Malinowej „Grand Hotelu”, pośpiesznie przybranej w biel i czerwiec. (...)

Zaproszenia przy wejściu kontrolowano bardzo dokładnie; wiadomo było, że w Łodzi w oczekiwaniu na transport do Rzeszy pozostała jeszcze spora gromada Niemców, zjadłych hitlerowców, którzy nie wyrzekli się myśli o odwecie i mogli właśnie Dzień Zwycięstwa zakłócić jakąś prowokacją. (...)

Zapadł wieczór. Za oknami purpurową luną rozgorzało niebo nad Łodzią. Z hukiem mknęły w górę różnobarwne fajerwerki, zataczając wymyślne esy-floresy na mrocznym tle i gasnąc w drodze do majowych gwiazd. Muzyka rżnęła wojskowego marsza, a nam — w dobrane zaproszonych łbach — majaczył się tego wieczoru gigantyczny, z ognistych liter złożony napis „victoria” obejmujący cały horyzont jak Polska długa i szeroka.

Ale w ferworze owej victorii nie każdy jeszcze zdawał sobie wówczas sprawę, jak straszliwa cena została okupiona, o czym właśnie tylko co doniosła prasa w pierwszym bardzo jeszcze pobieżnym bilansie polskich strat wojennych.”

Opracowała:
DANUTA
ŚMIERZCHAŁSKA

Społeczeństwo polskie jest jednym z najbardziej religijnych w Europie. Nominalnie do Kościoła rzymskokatolickiego należy blisko 95 proc. ogółu ludności kraju. Poza tym około 3 proc. obywateli związanych jest z innymi wyznaniem religijnym. Z badań ogólnopolskich wynika, że głęboko wierzący stanowią 20 proc., wierzący — 62 proc., niewierzący — 6 proc., zdecydowani ateści — 2 proc. Pozostali zaś nie potrafili jednoznacznie zakwalifikować swego światopoglądu. W praktykach religijnych bierze udział regularnie 42 proc. i nieregularnie 36 proc. Polaków.

W PRZECIWIEŃSTWIE DO KRAJÓW ZACHODNICH,

gdzie poziom religijności katastrofalnie spada, w naszym społeczeństwie obserwuje się tendencję wzrostową. Na zwiększenie religijności w ostatnich kilku latach szczególny wpływ miały: wybór Karola Wojtyły na papieża (16.X.1978), dwie wizyty Jana Pawła II w Polsce (2-10.VI.1979 oraz 16-23.VI.1983), głęboki kryzys społeczny, działalność NSZZ „Solidarność”. Wzrostowi religijności sprzyja też niewątpliwie częściowy odwrót od światopoglądu naukowego i fascynacja irracjonalizmem (moda na parapsychologię, mistycyzm, astrologię itp.).

Niektórzy sądzą, że w polskiej rzeczywistości korzystny wpływ na katolicyzm wywiera marksizm i socjalizm. Edward Ciupak zwraca uwagę na pomysłową adaptację Kościoła do ustroju socjalistycznego oraz dobre przygotowanie do konkurencji z marksizmem. A socjolog katolicki Władysław Piwowarski utrzymuje, że marksizm w Polsce sprzyja religijności i nawet ją wzmacnia, ponieważ — po pierwsze — stanowi wyzwanie dla katolicyzmu, i po drugie — hamuje rozwój materializmu konsumpcyjnego.

Kościół katolicki przywiązuje ogromną wagę do działalności wśród młodzieży. W czerwcu 1982 r. papież przypomniał biskupom i księżom, że „na pierwszym miejscu w ich pracy duszpasterskiej winna stać młodzież, która będzie podpora Kościoła i społeczeństwa w r. 2000”. Trzeba przyznać, że w tej dziedzinie duchowieństwo polskie ma duże sukcesy, być może nawet największe w Europie. Według oficjalnych danych w archidiecezji warszawskiej z katechizacji korzysta aż 95 proc. wszystkich dzieci ze szkół podstawowych oraz 75 proc. młodzieży z liceów ogólnokształcących i 60 proc. ze szkół zawodowych. W innych diecezjach prawdopodobnie osiągane są nie gorsze wyniki. W latach 1979-1984 przeszkolono w tzw. oazach rekolekcyjnych około 300 tysięcy młodych Polaków. O ile w 1979 roku uczestniczyło w różnych formach kształcenia i wychowania oazowego 30 tys. osób, to w 1984 r. już około 64 tys. uczniów ze szkół średnich i ostatecznych klas szkół podstawowych (VI-VIII). W latach siedemdziesiątych zaczęto na szerzą skalę organizować duszpasterstwo specjalistyczne, przede wszystkim w środowisku młodzieży akademickiej oraz inteligencji z wyższym wykształceniem.

Na podstawie różnych badań — prowadzonych przez ośrodki kościelne i laickie — Janusz Mariański szacunkowo ustalił, że w drugiej połowie lat siedemdziesiątych udział wierzących wśród młodzieży polskiej wynosił przynajmniej 80 proc. (najmniej w zbiorowości studentów — ok. 70 proc., a najwięcej w grupie młodzieży robotniczej — ok. 90 proc.); niezdecydowanych i obojętnych było od 10 do 15 proc., zaś ateistów od 5 do 10 proc. Z kolei praktykujących regularnie miało być w owym czasie 50 proc. oraz w ogóle niepraktykujących — 10 proc. Razem systematycznie i niesystematycznie brało udział w praktykach niedzielnych 70 proc. młodzieży, co jest wielkością nie-

spotykaną w innych krajach katolickich. W następnych latach odsetki wierzących i praktykujących uległy jeszcze zwiększeniu.

W MAJU 1985 R.

Instytut Socjologii UŁ przeprowadził badania reprezentatywne studentów Uniwersytetu Łódzkiego. Na pytanie dotyczące stosunku do religii uzyskano następujący rozkład odpowiedzi: głęboko wierzący — 15 proc., wierzący — 62 proc., niewierzący — 10 proc., niezdecydowani w sprawach wiary — 13 proc. W badanej populacji regularnie praktykujący stanowili 39 proc., praktykujący nie-

EDMUND LEWANDOWSKI

Młodzież, religia i Kościół

regularnie — 33 proc., niepraktykujący, ale gotowi wziąć udział w praktykach i ochrzcić dziecko — 16 proc., oraz zupełnie niepraktykujący — 6 proc.

Po tym wprowadzeniu przechodzę do prezentacji wyników i wniosków z własnych badań. W styczniu 1986 r., zrealizowałem sondaż wśród 300 studentów historii, socjologii, ekonomii, pedagogiki, biologii, matematyki i fizyki. Badania te nie miały wprawdzie charakteru reprezentatywnego, lecz struktura społeczno-demograficzna populacji była niemal identyczna z próbą reprezentatywną wylosowaną w maju 1985 r. Zdecydowaną większość respondentów (73 proc.) stanowiły kobiety. Natomiast pod względem pochodzenia społecznego dominowała młodzież inteligentna (54 proc.). Z rodzin robotniczych wywodziło się 34 proc. badanych, a z chłopskich zaledwie 5 proc. W zbiorze mężczyzn było 5 proc. żonatych, zaś wśród kobiet 8 proc. mężatek.

WIARA W DOGMATY RELIGIJNE

Władysław Piwowarski twierdzi, że miejsce religijności tradycyjnej zajmuje w Polsce najczęściej tzw. religijność selektywna. W jednym z wywiadów mówił: „Selektywność to jest obecnie wiodącą i główną tendencją przemian religijności w Polsce. Polega ona na tym, że nie przyjmuje się, jak dawniej, całej doktryny religijnej w oparciu o autorytet tradycji i autorytet Kościoła, tylko przyjmuje się niektóre zasady moralne i niektóre dogmaty wiary, zaś inne odrzuca się. Rozkuśnięta się następnie więź z Kościołem przez zaniedbywanie praktyk religijnych, które jeśli są spełniane, to w sposób wybiórczy i niesystematyczny”. Szacuje on, że w pełni ortodoksyjnych katolików jest w Polsce najwyżej ok. jednej trzeciej wierzących, a ok. dwie trzecie stanowią — jak powiada — „nieświadomi heretycy”.

W celu sprawdzenia tej hipotezy w środowisku studentek zapytałem respondentów o ich stosunek do religii reprezentowanej przez Kościół rzymskokatolicki. I uzyskałem następujący rozkład odpowiedzi: wierzę we wszystko, co podaje Kościół — 18 proc., uznaję większość z tego, co głosi Kościół — 46 proc., wierzę tylko w niektóre dogmaty religijne — 21 proc., wierzenia religijne są dla mnie obojętne — 6 proc., wcale nie wierzę w dogmaty religijne — 3 proc., trudno powiedzieć — 6 proc. Interesujące przy tym, że rozkłady odpowiedzi w trzech wyodrębnionych zbiorach młodzieży (studenci, licealiści, technicy) są zdumiewająco podobne. Różnice nie przekraczają nawet 5 pkt. procentowych.

Na podstawie tych rozkładów można skonstruować typologię postaw wobec doktryny kościelnej. Pierwszy typ stanowią katolicy integralni albo ortodoksyjni, których w badanej populacji młodzieży jest ok. jednej piątej. Następną kategorię tworzą katolicy selektywni (ok. dwie trzecie ogółu respondentów). Przy czym w skład tej grupy wchodzi katolicy u-

miarkowanie selektywni (prawie połowa badanych) oraz osoby zdecydowanie selektywne (ok. jednej piątej). Poza wymienionymi kategoriami ludzi wierzących, wśród młodzieży występują jeszcze trzy inne typy światopoglądowe: obojętni, niewierzący i niezdecydowani. Do każdego z nich należy po ok. jednej dwudziestej badanych. Trzeba jednak odnotować, że znacznie więcej wierzących jest w zbiorze studentek (niemal 90 proc.) niż wśród studentów (73 proc.).

Zwraca uwagę mały odsetek osób całkowicie niewierzących i obojętnych. Z ustaleń Edwarda Ciupaka wynika, że w naszym kraju mało jest zdecydowanych i konsekwentnych ate-

ist. Jednak idzie w parze z uznaniem katolickiej koncepcji retribucji (odpłatności) za dobro i zło. W 1985 roku w istnienie życia pozagrobowego w niebie, czyśćcu lub piekle wierzyło zdecydowanie 27 proc. i umiarkowanie 26 proc. badanych studentów UŁ. Nie uznawało zaś tej perspektywy eschatologicznej 27 proc., a dalsze 20 proc. nie potrafiło określić swego poglądu.

ROSNAĆ SCEPTYCZYM

wobec chrześcijańskiej wizji losów pośmiertnych człowieka jest szerszą prawidłowością, znaną w socjologii religii. „Dzi-

śnią coraz więcej jest ludzi — stwierdza Władysław Piwowarski — którzy wierzą w Boga, w Tróję Świętą, a w ogóle nie wierzą w życie pozagrobowe i smartwychwstanie ciała. Na Zachodzie jest to zjawisko bardzo rozpowszechnione, a nas obejmuje około 10 proc. wierzących. Wiara w Boga, ale bez życia pozagrobowego”. Na tym min. polega selektywny charakter religijności. W latach 1968 — 1981 udział osób wierzących w piekło zmniejszył się we Francji z 22 do 15 proc., w Holandii z 28 do 15 proc., w Republice Federalnej Niemiec z 25 do 14 proc. Na początku lat osiemdziesiątych na Zachodzie wierzyło w życie po śmierci 52 proc. katolików i 38 proc. protestantów, a w piekło tylko 30 proc. katolików i zaledwie 16 proc. protestantów. Jako ciekawostkę warto podać, że ponad jedna piąta katolików z protestantów wierzy w reinkarnację.

Osobliwością współczesnego katolicyzmu polskiego jest dość powszechna wiara w zjawiska nadprzyrodzone, czyli cudowne wydarzenia i objawienia. W cuda wierzy 57 proc. studentów oraz 65 proc. maturzystów w liceach i 67 proc. w technikach łódzkich. Na pytanie — czy wierzą w to, że czasami Matka Boska ukazuje się wybranym ludziom? — twierdziło odpowiednio 50 proc. studentów oraz 62 proc. licealistów i 65 proc. uczniów techników. W populacji młodzieży akademickiej nie wierzy w cudowne objawienia Matki Boskiej 39 proc. mężczyzn oraz 26 proc. kobiet, a jedna piąta badanych nie ma w tej kwestii własnego zdania.

Przy takim nastawieniu do cudów ludzi młodych i wykształconych (każdy respondent miał za sobą co najmniej 11 lat nauki) trudno się dziwić, że opinia publiczna Polski łatwo i nieradko porusza się doniesieniami o cudownych zdarzeniach. W pewnych kręgach istnieje społeczne zapotrzebowanie na cuda, które — wbrew pozorom — może wskazywać na słabość wiary oraz na niski poziom intelektualny religijności. Hegel twierdził, że wiara w cuda jest niemądra i niedorzeczna, ponieważ zakłada się, że „boskość interweniuje w sposób jednostkowy i skończony dla celów skończonych i szczególnych”. A Fiodor Dostojewski nie bez racji sądził, iż „cud wiary zabija”.

Badania i obserwacje katolicyzmu polskiego wskazują, że jest to religijność emocjonalno-objawowa, a w minimalnym stopniu refleksyjna. Wśród młodzieży zaskakująco słaba jest znajomość Pisma Świętego. Uczniowie i studenci, choć długo uczęszczali na lekcje religii, przeważnie nie znają nawet podstawowych mitów i dogmatów. Nie odczuwają zresztą potrzeby samokształcenia i pogłębiania wiedzy religijnej. Zdaniem Mieczysława Gogacza z Akademii Teologii Katolickiej również księża w Polsce reprezentują niski poziom wiedzy teologicznej i np. często nie potrafią wyjaśnić dogmatu o Trójcy Świętej.

Młodzież ma wyraźne kłopoty z jednoznacznym określeniem swego światopoglądu. Jest to bowiem z reguły elektryczny, niekoherentny zbiór idei i poglądów pochodzących z różnych systemów teoretycznych. Sondaż przeprowadzony wiosną 1985 r. przez Ośrodek Badań Społecznych ZSP wykazał, że 39 proc. studentów uważa, iż ma „religijny” światopogląd, lecz prawie tyle samo wybiera określenie „inni”, tylko 9 proc. „naukowy” oraz 13 proc. „idealistyczny”.

Indagowani studenci Uniwersytetu Łódzkiego mają selektywny stosunek także do marksizmu-leninizmu. Większość zasad tego systemu uznaje 10 proc. mężczyzn i 7 proc. kobiet, niektóre zasady akceptuje

46 proc. mężczyzn i 42 proc. kobiet. Całkowicie odrzuca marksizm-leninizm co piąty mężczyzna i co dziesiąta kobieta. A pozostali respondenci zajmują postawę indyferentną lub nie mają wyrobionego zdania. Należy tu wszak podkreślić, że znajomość marksizmu jest nie większa niż katolicyzmu.

UDZIAŁ W PRAKTYKACH RELIGIJNYCH

Już na podstawie potocznej obserwacji można stwierdzić, że młodzież polska masowo uczestniczy w różnych formach kultury religijnej. Z omawianych tutaj badań wynika, że niewielki jest odsetek tych, którzy wcale nie chodzą do kościoła. W każdą niedzielę bierze udział w mszy świętej 30 proc. studentów oraz 39 proc. studentek. Natomiast w ogóle nie uczestniczy w niedzielnej mszy 17 proc. mężczyzn i 10 proc. kobiet. Jeszcze wyższe wskaźniki praktykujących odnotowano wśród maturzystów w łódzkich liceach ogólnokształcących.

Edward Ciupak zestawiał rezultaty różnych badań na temat udziału młodzieży w praktykach religijnych. Wynika z nich, że niepraktykujący stanowili od 2 do 15 proc. uczniów szkół średnich, od 17 do 29 proc. studentów i od 2 do 20 proc. młodzieży pozaszkolnej. We wszystkich próbach przeszło cztery piąte badanych stanowiły łącznie praktykujący regularnie i nieregularnie. Pod tym względem najbardziej religijna była młodzież pozaszkolna, a najmniej studencka.

Jak zachowują się studenci podczas mszy świętej? Na to pytanie częściową odpowiedź dał sondaż zrealizowany przez OBS ZSP. Spośród ogółu respondentów z Warszawy, Krakowa, Lublina, Opola i Kielc 11 proc. wcale nie chodzi na mszę (podobnie więc jak w grupie studentów UŁ), 29 proc. śpiewa i bierze czynny udział w mszy, 12 proc. aktywnie słucha, a 45 proc. przyznało, że zdarza im się myśleć o innych sprawach.

Ten sam sondaż Ośrodka Badań Społecznych ZSP wykazał, że zaledwie 2,2 proc. studentów nie było chrzczonych, a 4,7 proc. nigdy nie przyjmowało komunii świętej. Modli się bardzo często co dziesiąta osoba i często prawie co druga. Nigdy nie modli się tylko 12 proc. respondentów. W pielgrzymkach lub obozach organizowanych przez Kościół uczestniczyła jedna trzecia badanych.

RELIGIA A ŻYCIE CODZIENNE

W katolickiej socjologii religii wyróżnia się trzy warianty moralności: moralność naturalną, związaną z dziesięciorgiem przykazań; moralność ściśle religijną, związaną z ideałami ewangelicznymi; moralność ściśle kościelną, sprowadzającą się

do udziału w praktykach religijnych. Zdaniem Władysława Piwowarskiego najbardziej przestrzegana jest ostatnia z wymienionych, druga jest słabo uświadomiona, a z moralności naturalnej ludzie w różny sposób respektują poszczególne normy. W życiu codziennym katolicy rzadko kierują się zasadami etyki religijnej. W badaniach socjologicznych sami respondenci dostrzegają ten paradoks i przyznają, że nie odczuwają wpływu religii na konkretne sytuacje w swoim życiu.

Rozdźwięk między wiarą i kultem a życiem moralnym jest również oczywistą sprawą dla studentów i uczniów. W ankiecie z 1985 r. postawiono pytanie: „Czy podzielasz pogląd, że ludzie, którzy nie wierzą w Boga są zazwyczaj niemoralni i źli?”. Zdecydowanie przeczące odpowiedzi udzieliło aż trzy czwarte studentów oraz 56 proc. licealistów i 44 proc. uczniów techników, a dalsze 22 proc. studentów, 30 proc. licealistów i 39 proc. techników odpowiedziało „raczej nie”. Zaledwie 2 proc. młodzieży studenckiej i 6 proc. szkolnej zgodziło się (raczej) z tym poglądem, który notabene głosili w owym czasie z ambon niektórzy księża i biskupi, obwiniając ateizm i ateistów o demoralizowanie społeczeństwa.

Na temat związku między religijnością a moralnością ksiądz Janusz Mariański pisze: „Odrzucenie Boga nie staje się automatycznie przyczyną życia niemoralnego, podobnie zresztą jak wiara w Boga nie gwarantuje postępowania moralnie dobrego. Pozytywne przykłady godne najwyższej aprobaty moralnej można znaleźć wśród wierzących i niewierzących, podobnie jak negatywne przykłady godne najwyższej dezaprobaty moralnej. Ludzie odcho-
dzą powoli od opinii, że wartość moralna człowieka utożsamia się z wyznawaniem przez niego światopoglądem religijnym, a dobru w sensie moralnym mogą być tylko wierzący lub uczęszczający do kościoła”. Podaje on przykłady różnych badań, z których wynika, że młodzież nasza nie utożsamia religijności z uczciwością.

Jak wiadomo, Kościół rzymskokatolicki przywiązuje dużą wagę do etycznego unormowania życia seksualnego. Obowiązują zakazy stosunków przedmażeńskich, stosowania środków antykoncepcyjnych, przerwania ciąży. Jednakże w świadomości społecznej nastąpiła desakralizacja etyki seksualnej. Większość ludności w krajach europejskich i w Polsce nie łączy religii z życiem intymnym i moralnością małżeńską.

W styczniu 1986 r. zapytano studentów UŁ, czy uważają za dopuszczalne współżycie seksualne przed ślubem? Twierdząco odpowiedziało 62 proc., a przecząco 26 proc. Lecz wyraźnie różnicującym czynnikiem była płeć. W zbiorze mężczyzn osoby akceptujące stanowiły 75 proc., a przeciwnicy 19 proc., wśród kobiet zaś jest 56 proc. zwolenniczek oraz 29 proc. przeciwniczek. Pozostali respondenci (6 proc. mężczyzn i 15 proc. kobiet) nie mieli zdania.

W badanej zbiorowości studenckiej nigdy nie miało stosunku seksualnego 53 proc. kobiet oraz 25 proc. mężczyzn, a regularnie utrzymywali stosunki 18 proc. kobiet i 29 proc. mężczyzn. Należy podkreślić przy tym, że tylko co czwarty student oraz co piąta studentka dopuszczają możliwość przerwania ciąży. Natomiast zdecydowana większość badanych wypowiada się w tej kwestii negatywnie. Za niedopuszczalną uważa ów zabieg trzy czwarte kobiet i niemal dwie trzecie mężczyzn.

POSTAWY WOBEC KOŚCIOŁA

Badania prowadzone w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wskazywały na krytyczne nastawienie młodzieży do Kościoła i duchowieństwa. Małe też było wówczas zaangażowanie młodych katolików w działalność instytucji religijnych. Sytuacja ta uległa jednak zmianie w ostatnich kilku latach. Wzrost autorytetu Kościoła i księży, zaktywizowały się organizacje kościelne, zwiększyła się liczba powołań kapłanów. Wyższe seminaria duchowne liczyły w 1971 r. 4083

alumnów, a czternaście lat później już 8464 alumnów, czyli przeszło dwukrotnie więcej.

W celu zbadania zakresu identyfikacji z Kościołem katolickim zadano studentom następujące pytanie: „Czy uważasz siebie za katolika w takim stopniu, że możesz powiedzieć o sobie — „Jestem członkiem Kościoła rzymskokatolickiego?” Twierdząco odpowiedziało 56 proc. mężczyzn i 73 proc. kobiet, a przecząco 31 proc. mężczyzn i 17 proc. kobiet. Pozostali nie mogli się zdecydować. Jak widać, kobiety znacznie częściej od mężczyzn identyfikują się z Kościołem. Bardziej też zaangażowane są w sprawy instytucji kościelnych. W organizacjach działających przy Kościele rzymskokatolickim jest 6 proc. studentów oraz 12 proc. studentek. W szkoleniu organizowanym przez ruch oazowy „Światło — Życie” brało udział 7 proc. mężczyzn oraz 14 proc. kobiet.

W ciągu ostatnich kilku lat księża i biskupi upowszechniają tezę, że w Polsce jest za mało kościołów i trzeba wznowić nowe obiekty sakralne. Z poglądem tym zgadza się 39 proc. badanych studentów (stanowczo tylko 14 proc.). Odmienne zdania jest co trzecia osoba, a co czwarta nie potrafi zająć stanowiska.

Respondenci wysoko oceniają materialny poziom życia duchowieństwa. Prawie jedna trzecia uważa, że kapłani mają bardzo dobre warunki materialne, a dalsze 42 proc. — dobre. Za ledwie 7 proc. określilo je jako średnie i 1 proc. zle, zaś co piąta osoba nie miała zdania. Rozkłady odpowiedzi w zbiorach mężczyzn i kobiet były w tym przypadku niemal identyczne.

Interesujące jest, że większość badanej młodzieży — zarówno studenckiej, jak i uczniowskiej — nie chce, aby w klasach szkolnych wisiały krzyże. Na początku 1985 r. uczniowie ostatnich klas z łódzkich liceów i techników odpowiadali następująco: zdecydowanie tak — 17 proc., raczej tak — 19 proc., raczej nie — 24 proc., zdecydowanie nie — 20 proc., nie mam zdania — 20 proc. W sumie więc było 36 proc. zwolenników i 44 proc. przeciwników. Natomiast w środowisku studenckim stwierdzono tyle samo zwolenników, co wśród maturzystów, oraz trochę więcej przeciwników (48 proc.). W badanych populacjach większość młodzieży (63 proc. uczniów i 72 proc. studentów) nie chce również przywrócenia w szkołach nauczania religii przez księży lub zakonników. Postulat ten popiera jedna piąta badanych i to przeważnie w stopniu umiarkowanym.

Ciekawą sprawą jest stosunek studentów uniwersytetu do aktywności politycznej Kościoła. Na pytanie — „Czy twoim zdaniem księża i biskupi powinni podejmować w kazaniach również zagadnienia polityczne?” — twierdząco odpowiedziało 47 proc. mężczyzn oraz 23 proc. kobiet, a przecząco 47 proc. mężczyzn i aż 74 proc. kobiet. Wynika stąd, że kobiety — bardziej przywiązane do religii i Kościoła — w zdecydowanej większości przeciwnie są kazaniom politycznym, mężczyźni zaś dwukrotnie częściej od nich aprobują wystąpienia polityczne kleru. Warto dla porównania dodać, że w reprezentatywnej próbie ludności dorosłej kraju przeciwko wypowiadaniu się Kościoła w sprawach politycznych było 61 proc. respondentów, a za 27 proc. W społeczeństwie naszym dominuje przekonanie, że polityka nie powinna być domeną działalności duchowieństwa.

Niekiedy można odnieść wrażenie, że religijna młodzież wolałaby widzieć Kościół zamiast partii w roli siły kierowniczej w naszym państwie. Zadano więc studentom UŁ pytanie: „Czy chciał(a)byś, żeby w Polsce kierowniczą rolę w państwie sprawował Kościół rzymskokatolicki jako przedstawiciel większości narodu?” I otrzymało następujące rezultaty: zdecydowanie tak — 3 proc., raczej tak — 6 proc., raczej nie — 24 proc., zdecydowanie nie — 50 proc., nie mam zdania — 17 proc. Jeszcze raz okazało się, że Kościół postrzegany jest przez ogromną większość jako instytucja religijna, a nie polityczna.

ze str. 1

Przeglądam książeczkę pt. „Świadkowie Jehowy w XX wieku”. W tabelce wymienienia się w co wierzą Świadkowie Jehowy:

„W Boga Wszechmogącego, którego imię Jahwe, a Chrystus jest synem Boga i Jemu podlega. Biblia jest słowem Bożym i jest bardziej wiarygodna niż tradycja. Do nieba pojdzie tylko mała trzódka 144 tysiące aby panować z Chrystusem, ale ludzie podobający się Bogu będą na ziemi żyć wiecznie w idealnych warunkach, a umarli mają nadzieję zmartwychwstać...”

WACŁAW HOROSZKIEWICZ

Osiem widzeń nieba

Tyle najogólniej, są jeszcze różne stwierdzenia, między innymi „należy przestrzegać wszystkich ustaw ludzkich nie kolidujących z prawem Bożym”. No właśnie, a niektóre kolidują.

— Chodzi panu o służbę wojskową? Tak, zdarzało się, że nasi wyznawcy byli aresztowani za odmawianie służby wojskowej, ale to już dawno, teraz Rząd PRL idzie nam na rękę, wykonujemy w wojsku prace zastępcze. My nie boimy się pracy, ale nie możemy łączyć się z wielkim tłumem, aby wyrzucić z niego, nie możemy więc także na przykład strajkować. Jesteśmy zgodni, ulegli, brzydzimy się rozlewem krwi, nie możemy też przyjmować krwi ani doustnie, ani dożylnie, bo to pogwałcenie prawa Bożego...

— Ale może to stać się pogwałceniem życia ludzkiego. Opowiadano mi, że przedstawicielka waszego wyznania zmarła na skutek odmowy transfuzji krwi.

— Nie znamy takiego wypadku. To są pomówienia ludzi nam niezwiązanych, przecież są ludzie zawiśni, żli.

„Zli zostaną wytraceni” — czytamy w broszurce. Państwo Czyżowie są łagodni, delikatni, trudno mi skojarzyć z nimi to kategoryczne „zostaną wytraceni na zawsze”. To brzmi okrutnie.

— Właśnie dlatego chodzimy po domach i głosimy słowo Boże, są tacy, którzy mają nam to za złe, uważają, że jesteśmy nachalni, a my walczymy o ich wiarę, walczymy ze złem.

Przedstawiciele wszystkich znajdujących się w Wiśle wyznań głoszą zasady czystego, prawego życia, tolerancję, miłość, ale przecież walczą ze sobą o wierne. Na przykład Kościół Adventystów Dnia Siódmego zakłada, żeby codziennie pozyskiwać na świecie 1000 nowych wyznawców.

TROCHĘ W BOK OD GŁÓWNEJ DROGI

wśród drzew mieści się zbiór adventystów, kaplica, ośrodek katechetyczny i mieszkanie pastora Adama Plesa. Zbiór liczy 79 osób ochrzczonych i 36 dzieci do piętnastego roku życia, po którym to dopiero następuje świadome przystąpienie do chrztu. Starannie ubrany, kulturalny pastor, absolwent Seminarium Duchownego, mgr Adam Ples wyjaśnia na wstępie, że adventyści to ruch religijny nawiązujący do haseł reformatorów, dla których najwyższym autorytetem jest Pismo Święte. Nauczają adventyści biblijnych zasad wiary w Boga w Trójcy Świętej Jedynego i do jego programowych zasad, należy nadzieja na drugi advent, czyli powtórne przyjście Chrystusa.

— W Polsce jest około 4,5 tysiąca adventystów, dzielimy się na trzy zjednoczenia, władzą zwierzchnią, tzw. wydział jest w Londynie. Niewieli nas, ale apostołów było jeszcze mniej,

tylko 12. Przychodzą do nas ludzie z różnych wyznań, najmniej z prawosławnych, ale w samej Wiśle przynajmniej, że przyrost jest minimalny...

— Może to być źle widziane przez pana zwierzchników, więc musi pan walczyć o nowych wyznawców.

— Latem wynajmujemy pola namiotowe lub sale na przykład w domach kultury czy remizie straży pożarnej, rozdajemy zaproszenia, wieszamy plakaty i przychodzi mnóstwo ludzi. Słuchają. To kiedyś musi zaowocować. Nie mam bliższych kontaktów z duchownymi innych wyznań, ale stosunki są poprawne. Nigdy na przykład nie doszło do wzajemnego dyskryminowania w czasie kazań,

zgrupowań, przemówień. Nigdy... Wyznawcami adventyzmu są przedstawiciele różnych środowisk — rzemieślnicy, pracownicy umysłowi, ludzie pracujący a przecież adventyzm zakłada dzień święty, dzień wolny od pracy w sobotę.

— Konflikt z pracodawcami?

— Sprawa rozwiązana indywidualnie, na ogół udaje się. Dajmy na to jak ktoś pracuje na zmiany, to kierownictwo zakładu na naszą prośbę tak ułoży harmonogram naszego wyznawcy, żeby w sobotę miał wolne; u rzemieślników nasz człowiek pracuje w niedzielę; na przykład jeden z naszych wyznawców jest psychologiem zakładowym, więc w sobotę nie chodzi do pracy, a w niedzielę odwiedza hotel robotniczy, kierownictwo to odpowiada. Zresztą teraz jest o wiele łatwiej, bo wiele zakładów w sobotę nie pracuje. Nasze dzieci też nie chodzą w sobotę do szkoły, no cóż, odpisują potem lekcje od swoich kolegów, muszą to nadrobić, nie spotkaliśmy się z protestem nauczycieli. Nasz Kościół posiada fundusz między innymi ze składek, które są rozdzielane, utrzymujemy seminarium, dom starców i radio, audyjo, adventystyczne nadawane są i w Warszawie, i z innych zagranicznych stacji.

Pani pastora podaje nam herbatę ziołowo-owocową, bo prawdziwa herbata a także kawa to u niej jak alkohol czy tytoń, które należy eliminować.

— W ogóle zalecamy jedzenie jaskie, chociaż nie wykluamy zupełnie mięsa, oprócz wieprzowego, które jest szkodliwe. Inne rodzaje mięsa — jeśli już, to starannie eliminujemy z niego krew, na przykład moja żona kilkakrotnie przeprobuje mięso. My po prostu wiemy, że i chcemy propagować życie czyste, życie zdrowe, życie zgodne z normami również społecznymi, na przykład jako Polacy zobowiązani jesteśmy do służby wojskowej, ale nie chcemy strzelać, więc pełniimy tam pomocnicze funkcje albo zastępcze, tak jak przedstawiciele innych wyznań o podobnych zasadach.

Powtarzają się te sformułowania i wśród wyznawców Zjednoczonego Kościoła Ewangelickiego i wśród Wolnych Chrześcijan i wśród baptystów.

Pastor tego ostatniego kościoła, też magister po Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, Stanisław Malina przyznaje, że Kościół baptystów nie posiada w Wiśle tradycji, ale przecież wywodzi się też z protestantyzmu, więc podobne są zasady i źródłem poznania jest Pismo Święte. Mgr Malina był kiedyś pastorem ewangelickim, odszedł od kościoła dużego do małego, bo bardziej przekonuje go nabożeństwo proste, bez szat liturgicznych, medytacje, kazania a raczej mowy, które wygłasza, nie tylko pastor, ale także inni bracia i siostry.

— Nasz Kościół jest bardzo zbliżony do gmin wczesnochrześcijańskich, pomagamy sobie, żyjemy ze sobą jak rodzina w Bogu. Gdy na przykład ktoś buduje dom, to wszyscy mu pomagamy, ale nie za pieniądze

tylko za pokarm i wydzierżamy się też jakąś pracą. Jesteśmy lojalni wobec władzy, bo pochodzi ona od Boga. Tolerujemy wszystkie wyznania, ale przyznam, że mnie po odejściu od ewangelików też nie spotkała z ich strony żadna przykrość.

— Na świecie baptystów jest około 36 milionów, w Polsce 3 tysiące...

— Ale są tendencje wzrostu, pozyskujemy nowych wyznawców — zapewnia pastor Malina. — W Wiśle też umacniamy się, będziemy budować kaplicę w centrum Wisły, mamy już pozwolenie...

Właśnie pastor Stanisław Malina w jednym z wydawnictw

napisał: „Źródła i pierwszy etap najdłuższej w Polsce rzeki związane są z trzema wiślanymi dolinami, Czarnym, Malinką i Nową Osadą. W tym pięknym zakątku Polski mieszka wielu, którzy prawdziwy sens życia znaleźli w Jezusie Chrystusie... Są tu w Wiśle u źródła”. Bardzo to piękna alegoria, ale przecież nie dlatego w Wiśle nastąpiło takie zgromadzenie wyznań i kościołów, zdecydowały o tym specyficzne warunki.

W wiślańskim Muzeum Beskidzkim szperam w dokumentach i wydawnictwach. Udośćpnia mi te materiały mgr Jan Krop, nauczyciel i kustosz.

OKOŁO POŁOWY XVI WIEKU

cała ludność byłego księstwa cieszyńskiego przyjęła religię ewangelicką, w ślad za władcą księciem Wacławem Adamem, który był gorącym zwolennikiem reformacji i nauki Marcina Lutra. W tym też czasie tworzyła się pasterska osada Wisła. Pierwsza historyczna wzmianka o niej pochodzi z 1615 roku. Kiedy nadeszły czasy kontrreformacji, szczególnie nasilające się w drugiej połowie XVII wieku, prześladowani ewangelicy zaczęli chronić się w górach, lasach, a teren obecnej Wisły był szczególnie korzystny. Do Wisły nie było drogi dojazdowej, osada w kotlinie, wśród gór, stała się enklawą, tu chronili się zwolennicy reformacji. Do Wisły nie docierali kontrreformatorzy, a zarząd dóbr książęcych chętnie osadzał w Wiśle prześladowanych protestantów nadając im ziemie, dając wolność religijną ale pobierając za to przywileje czynsz od nieruchomości, owiec i bydła. Tak więc Wisła zaludniła się ewangelikami. Wkrótce wybudowano w Wiśle kościół ewangelicki, potwierdza to nawet dokument katolickich wizytatorów z Wrocławia, którzy w 1688 roku pisali:

„W Wiśle istnieje stary — około stuletni — kościółek zbudowany z drzewa przez heretyków, ale w nim nie odprawia się nigdy nabożeństw”.

Rzeczywiście wtedy już nie, bo w 1654 zgodnie z rozkazem cesarskim zamknięto w księstwie cieszyńskim, należącym do cesarstwa austriackiego, kościoły ewangelickie i zabroniono odprawiania nabożeństw. Dwory i ludność miejska powracała do katolicyzmu, lud pozostał przy wierze ewangelickiej. Habsburgowie byli katolikami, więc wraz z katolicyzmem szła niemieczyna. Ewangelicy zbierali się na nabożeństwa w obecnej Malinie w jaskiniach w pobliżu Malinowej Skali i w ukryciu modlili się po polsku. Dopiero Patent Tolerancyjny ogłoszony przez cesarza Józefa II w 1781 roku zezwolił ewangelikom wyznawać swą wiarę i budować domy modlitw. W 1936 roku budowano nowy kościół ewangelicki w Wiśle, bo dotychczasowy, drewniany, był za mały dla rozwijającego się zboru, potem dobudowano wieżę, sprostowano dzwony. Na dzwonach napisy biblijne w języku polskim.

W 1882 przybył do Wisły i pozostał tu na stałe Bogumił Hoff, który wydał monografię pt. „Lud Cieszyński, obraz etnograficzny” t. 1 „Początki Wiśły i Wiślanie”. W monografii tej znajduje stwierdzenie: „Góra w Wiśle gdy się kto pyta jakiej jest narodowości odpowiada, że jest Ślązakiem polskim” i dalej: „Kazania i nabożeństwa ewangelickie odbywają się w języku czysto polskim. Nauczyciele są rodowici Śląscy, rozmawiają dosyć często po polsku”.

Namawiał Bogumił Hoff przyjaciół i znajomych do osiedlenia się w Wiśle. Wisła stała się żywym ośrodkiem polskości. Przebywali tutaj Bolesław Prus, Maria Konopnicka, Władysław Reymont, później Władysław Orkan, Tadeusz Boy-Zeleński. Po zakończeniu I wojny światowej Wisła znalazła się w granicach Polski. Wybudowano szosę asfaltową, kolej. Dobrze sytuowani ludzie napływali tu z całej Polski, wykupywali ziemie, budowali pensjonaty, wille. Przybyli, przeważnie katolicy, utożsamiali, nie znając historyczno-religijnych uwarunkowań, ewangelików — luteranów z Niemcami. Była to obelga dla tych, którzy bronili się przed germanizacją. Wzory staropolskiego języka górale brali z Biblii, zbioru kazań księdza Samuela Dąbrowskiego (tzw. Dąbrowski), śpiewników kościelnych, są one w domach górali do dziś, pamiętającą czas modłów w lasach.

Ksiądz Karol Samiec, pastor Kościoła ewangelicko-augsburskiego z satysfakcją podkreśla zasługi protestantyzmu dla zachowania polskiego języka, dla polskiej kultury. Kościół ewangelicki jest tu największy, te wszystkie wyznania, powstają również z niego, z protestanckiego ducha. „U nas ważne to, co zgodza się z Biblią”. Kościół zreformowany jest zgodnie z naukami Marcina Lutra. Zbyt znane to sprawy z historii, zbyt znane to zasady Kościoła ewangelickiego, żeby ksiądz Samiec wykladał je raz jeszcze.

— Dumni jesteśmy z tego, że właśnie od dawnych czasów ewangelik znacząco Polak, że Kościół ten był zawsze narodowy i nabożeństwa odbywały się w języku polskim. Polskość wiślańska, polskość cieszyńskiego ewangelizmu jeszcze raz zamianistowana została w czasie II wojny światowej. Jeszcze przez parę miesięcy okupacji nabożeństwa odbywały się po polsku. Później życie religijne parafii zamario, aresztowano wielu członków zboru, między innymi kierownika szkoły Jezego Niemca, Jana Szwientnię, organistę i kompozytora, nauczyciela Jana Goszyka, kierownika szkoły Michała Cieślara, księdza dr. Andrzeja Wątulę, ks. Władysława Pawłasa.

Ten ostatni, jak podaje ksiądz Karol Samiec, przed śmiercią w obozie Mauthausen-Gusen określił los polskiego ewangelika: „Dla jednych jako ewangelik nie jestem dość dobrym Polakiem, dla drugich zaś jestem za dobrym Polakiem, bom ewangelik”. Jaka wielka nieznajomość historii Śląska, historii religii wśród Polaków — ubolewa ksiądz Samiec.

— Proszę sobie wyobrazić, że czasem turyści dziwią się, czemu w środku Wiśły stoi kościół niemiecki. Niemiecki? — pytam. — No tak — odpowiadają — bo ewangelicko-augsburski. No widzi pan, zupełnie pomieszanie pojęć...

WIŚLĘ W CZASIE OKUPACJI

przylącono do Rzeszy, miejscowych zmuszono do służby wojskowej w Wehrmachcie. Członkowie Związku Polskiej Młodzieży Ewangelicznej woleli dać wywieźć się w głąb Niemiec na roboty czy do obozów koncentracyjnych niż służyć w niemieckiej armii czy podpisywać volksliste, niektórzy młodzi przyłączyli się do działających w górach partyzantki. Starci ludzie na ogół podpisywali volksliste, żeby zachować rodzinę, gospodarstwo, życie a nabożeństwa odprawiano w domu, po polsku, w domach czytano w ojczyjym języku Słowo Boże.

— Jesteśmy tolerancyjni wobec innych wyznań; to wypływa z głębokiej miłości do bliźniego i z wiary. Przecież tutaj naprawdę nie ma żadnych zadrżnień ani z pomniejszych wyznaniami, ani z Kościołem rzymskokatolickim. Ewangelicy i katolicy chodzą wspólnie na uroczystości do tego lub tego

kościółu na śluby, chrzty, pogrzeby; nierzadko są małżeństwa ewangelików z katolikami...

Państwo Ewa i Stanisław Biskupowie są małżeństwem od 11 lat. Ona jest wyznania ewangelickiego, on katolickiego. Ona rodowita wiślanka, z domu Pinakas, on przybył tutaj w 1964 roku.

— Chodzimy do swoich kościołów — mówi pani Ewa. — Staszek uczęszcza na mszę do katolickiego, a ja do ewangelickiego. Nie przekłada to nam. Razem chodzimy raz do tego kościoła, raz do tego, na różne uroczystości kościelne naszych krewnych czy przyjaciół. Katolicka rodzina Staszka przyjęła mnie zupełnie naturalnie, to nie są ludzie, którzy sądzą, że luteranie mają rogły. Moja rodzina też przyjęła katolika życzliwie. Obok, w sąsiedztwie, też mieszka kilka małżeństw ewangelicko-katolickich. Wiele świąt obchodzimy tak samo, na przykład Boże Narodzenie i z choinką, i z opłatkami, i z karpim. A w ogóle nie wiem, dlaczego to ktoś może dziwić takie małżeństwo...

W szkole numer 5 w Wiśle Jaworniku dyrektor mgr Stanisław Dudys stwierdza, że w czasie swego 17-letniego pobytu tutaj nie zauważył nigdy między dziećmi jakichkolwiek utarcezek na tle religijnym. Stwierdza i nie więcej nie może dodać, ale sugeruje, że może ciekawszym rozmówcą będzie były dyrektor szkoły Korneliusz Niemczyk, teraz na emeryturze, mieszka tu koło szkoły. Starszy pan opowiada, że kiedy jeszcze w szkole uczono religii to było dwóch wykładowców, ksiądz katolicki i ksiądz ewangelicki i też nie było zadrżnień. Bywało, że księża dwóch kościołów nawet wyrzeczali się wzajemnie, dawali sobie zastępstwa, a w czasie przerwy spacerowali razem. Nie było przykrych historii, bo tu w ogóle dobrzy ludzie. A na dowód jacy dobrzy, opowiada mi pan Korneliusz kilka anegdot:

— Przysła kiedyś do mnie moja uczennica i mówi, że muszę mi coś zapłacić. Co ty będziesz chciała płacić? A za mąż wychodzę i nie chce mieć na sumieniu tamtej sprawy, ukradłam kiedyś z zagonu kapusta i teraz koniecznie chce wyrównać tę stratę.

Albo inna historia. Kiedyś przyszedł do mnie w niedzielę człowiek i przyniósł cztery kiełbaski. Mówi, że chce mi je oddać, bo kiedyś znalazł je u mojej stodoły i zabrał sobie. A kiedyś ty to zabrał? Jak byłem w siódmej klasie, 17 lat temu, ale teraz oddaję, bo chce być w zgodzie z sumieniem. No widzi pan, jacy tu ludzie. Dobrzy, uczciwi, tolerancyjni.

WSZYSCY MI TAK MÓWIĄ

i przedstawiciele miejscowych władz, i mieszkańcy, i ksiądz proboszcz parafii rzymskokatolickiej Rudolf Wojnar, z którym ucinam sobie rozmowę na temat tej mnogości wyznań. Ksiądz Wojnar mówi o innych wyznaniach poważnie, bez cienia aluzji, a sens zamyka słowem: — Współżyjemy. I przypomina o II Soborze Watykańskim, który przebiegał w duchu ekumenicznym.

Trochę mi to jednak wszystko razem zbyt cukierkowo wygląda. Tym bardziej, że czasem któryś z wiślan coś tam szepnął pod warunkiem, że anonimowo:

— Wzajemna tolerancja, ale pod tym maskierkiem drzewia animozje. Przecież któraś wiara najprawdziwsza, najbliższa Bogu. Najwlepiej niechęć budzą Świadkowie Jehowy. Ewangelicy i katolicy czują się urażeni, że w ogóle można ich porównywać i zrównywać według prawa z „jakimiś tam” małymi grupkami wyznaniowymi. Tamci znowu uważają się trochę za apostołów i gdzie mogą podkreślają, że żyją moralnie. Czynieć walczą z alkoholizmem, narkomanią. Rzeczywiście wypełniają tę ważną funkcję społeczną — ale przecież w tym kierunku idą również nauki i działania Kościołów ewangelickiego i katolickiego. Wszyscy wyznania chcą dobrze dla człowieka. Jedno może on uszczęśliwić... bo jednak ile wyznań, tyle widzeń nieba.

(„TAK I NIE — ŚLASK” Nr 1 1986 r.).

nych podatnikach, to powiedzmy jeszcze czytelnikom, jak liczna jest grupa podległa łódzkiej Izbie i jakie to kwoty wpływają do fiskusa w wyniku wyegzekwowania podstawowych tylko podatków.

— W największym skrócie: kilkuset podatników państwowych wpłaca rocznie około 160 miliardów złotych, natomiast 23 tysięcy rzemieślników, a wliczam tu również prywatny handel i usługi, zasila skarb państwa w 5 miliardów złotych rocznie, z tytułu podatku obrotowego, dochodowego i częściowo podatku od wynagrodzeń.

— Niezła suma...

— Bo też Łódź i województwo określić można jako jednego z potentatów w grupie prywatnych podatników. Same Bałuty choćby wyprzedzają w tej mierze wiele województw...

— Najwięcej bodaj zastrzeżeń dotyczy podatku dochodowego, tych progresywnie rosnących stawek. Jakież to dochód roczny — przypomnijmy — jest w przypadku rzemieślnika wolny od opodatkowania?

— Do 160 tysięcy złotych rocznie.

— To ogromne kwoty, ponad 13 tysięcy miesięcznie!

— Ale też przy niewielkim przekroczeniu tej granicy 130 tysięcy stawki są niezbyt wysokie. Chroni się w ten sposób usługi, drobną wytwórczość, niskodochodowe rzemiosło. Mogę sięgnąć do tabel i zaraz podać jakiś przykład...

— No bardzo proszę...

— Przy rocznym dochodzie w wysokości 600 tysięcy płaci się podatek niewiele ponad 263 tysiące, po przekroczeniu półtora miliona — 870 tysięcy „zabiera” podatek, nawet po przekroczeniu 4 milionów rocznego dochodu podatnik płaci tylko 2 700 tysięcy...

— Przyjemnie słuchać, jak pan obraca tymi niewielkimi kwotami, ale przekroczyć 4 miliony, to już chyba nielicznym się udaje?

— Oj, nie jest tak źle. Średnio prosperujący zakład branży dziewiarskiej czy cukierniczej bez wysiłku pokonuje tę barierę.

— Wie pan to oczywiście z pierwszej ręki, od samych podatników?

— To byłoby za piękne. Teoretycznie powinniśmy te dane uzyskać z różnego rodzaju oświadczeń i zeznań podatkowych, ale ja w nie generalnie nie wierzę...

— Dlaczego?

— Ano dlatego, że większość

podatników, nikogo nie urażając, zanika obrotu, zanika dochodu; tak było zawsze.

— Czy chodzi tylko o płacenie niższych podatków?

— Też, ale nie wyłącznie. Jest tajemnica poliszyńska, że większość tak zwanej prywatnej inicjatywy ma koszty zaopatrzenia znacznie wyższe niż może to oficjalnie wykazać. Wielu decyduje się nawet na wyjazd zagraniczny, by zdobyć surowce i materiały, czasem maszyn. By taka „turystyczna” eskapada opłaciła się, koszt całej imprezy z materiałami wliczając wkalkulowane się później w cenę wyrobu. Ale dolara czy markę liczy się już wówczas po kursie czarnorynkowym. Otrzymujemy oczywiście sygnały od organów celnych o hurtowniach, takich informacjach mamy tysiące rocznie, wszystkich skru-

— To nie jest wcale zabawa. Ale w takim razie sprawdzamy i wujka. Często ma miejsce taki „łańcuszek”, aż w końcu dochodzimy do tego jednego, najętniejszego Polaka i jeżeli się rozsądnie nie wytłumaczy, to musi zapłacić podatek za posiadanie dochodów nieujawnionych.

— Naprawdę uroczo, ale są jeszcze spadki, babcia mogła wnuczkowi zostawić jakąś znaczną kwotę, są jeszcze darowizny...

— Zaprezentował pan akurat typowe tłumaczenia w przypadku trudności z udokumentowaniem kwot wydanych na budowę domu choćby. Głównie wówczas podpisuje się umowy pożyczek, nagle wpływają jakieś darowizny. Ale od jednej i drugiej umowy trzeba zapłacić podatek.

— Ale chyba przy dużych kwotach?

— Tak, w przypadku darowizny decyduje, obok kwoty stopień pokrewieństwa. Matka dla przykładu może synowi bez podatku darować raz na pięć lat do 360 tysięcy złotych, a osoba obca, w tym samym zakresie czasu — do 90 tysięcy złotych. Uznajemy oczywiście wszelkie spadki po rodzinie, zwłaszcza, jeśli przeprowadzone jest postępowanie spadkowe przed sądem i opłacony stosowny podatek. Tu też decydują stopnie pokrewieństwa, są i kwoty wolne od podatku.

— A umowy zawierane notarialnie?

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— To nie jest wcale zabawa. Ale w takim razie sprawdzamy i wujka. Często ma miejsce taki „łańcuszek”, aż w końcu dochodzimy do tego jednego, najętniejszego Polaka i jeżeli się rozsądnie nie wytłumaczy, to musi zapłacić podatek za posiadanie dochodów nieujawnionych.

— Naprawdę uroczo, ale są jeszcze spadki, babcia mogła wnuczkowi zostawić jakąś znaczną kwotę, są jeszcze darowizny...

— Zaprezentował pan akurat typowe tłumaczenia w przypadku trudności z udokumentowaniem kwot wydanych na budowę domu choćby. Głównie wówczas podpisuje się umowy pożyczek, nagle wpływają jakieś darowizny. Ale od jednej i drugiej umowy trzeba zapłacić podatek.

— Ale chyba przy dużych kwotach?

— Tak, w przypadku darowizny decyduje, obok kwoty stopień pokrewieństwa. Matka dla przykładu może synowi bez podatku darować raz na pięć lat do 360 tysięcy złotych, a osoba obca, w tym samym zakresie czasu — do 90 tysięcy złotych. Uznajemy oczywiście wszelkie spadki po rodzinie, zwłaszcza, jeśli przeprowadzone jest postępowanie spadkowe przed sądem i opłacony stosowny podatek. Tu też decydują stopnie pokrewieństwa, są i kwoty wolne od podatku.

— A umowy zawierane notarialnie?

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

— Przykro mi redaktorze, ale musielibyśmy odbyć miłą rozmowę w małym gronie...

— A jednak! Rozumiem zatem, że korzystacie z tak bogatego źródła informacji, a znając naszą narodową cechę —

— Znamy dokładnie — do nas trafiają odpisy.

— Rozumiem, specjalne postępowania, szczerze rozmowy wyjaśniające, różnego typu informacje z urzędów celnych i tak dalej. Ale powiedzmy sobie szczerze: przychodzi „sympatyczny” anonim lub — jak kto woli — donosik, że Dorożyński ma pod Strykowem dwa hektary „pod szkieł”. I co wówczas?

zawisł i zagładanie do cudzego garnka, anonimów nie należą do rzadkości?

— Jest ich rzeczywiście sporo, w codziennej poczcie zdarzają się koperty adresowane imiennie do dyrektora Izby, generalnie zaś — idą w tysiące. Zawsze informację badamy najpierw w ramach tak zwanej kontroli kameralnej, czy jest przydatna, jeśli tak, to wszczynamy dochodzenie, często z udziałem milicji, PIH czy innych organów. Ale coraz więcej informatorów podpisuje się, do rzadkości należą już takie określenia nadawcy jak „zyciel”, „rozczarowany robotnik”, „oszukana matka”.

— A czego dotyczą owe donosy?

— Wszystkich dziedzin życia publicznego i prywatnego. Od marnotrawstwa i zakupów dro-

gich rzeczy poczynawszy, poprzez nieuczciwe dorabianie się, utrzymywanie rodaków zwykle płci odmienniej, na wydawaniu dużych kwot kończąc. Z podaniem dat, kurortu, lokalu, często pory dnia i kwoty...

— Obrzydliwie...

— Ale prawdziwie, bowiem w znacznym procencie te informacje znajdują pokrycie w rzeczywistości...

— Ech, zmienimy nieco temat. Wspomniał pan, że zatrudniając wysokiej klasy fachowców, biegłych, którzy często uciekają się do dziwnych nieco metod pracy...

— Czy dziwnych? Musimy znać aktualne ceny rynkowe nieruchomości, mieszkań, samochodów. Bez tego, niemożliwe byłoby obliczanie właściwych stawek podatkowych, obserwowane rynkowych tendencji. Ponieważ nikt w tym kraju nie jest instytucją charytatywną, nikt nie daje nic za darmo, więc musimy opierać się na wartościach rynkowych. A że czasem podszycamy się pod kogoś innego telefonując w sprawie ogłoszenia? Cóż, taka praca. Czasem moi pracownicy, udając małżeństwo, idą i proponują kupno lokalu czy działki budowlanej. Tylko w ten sposób można poznać autentyczne obowiązujące ceny.

— Czy dziwnych? Musimy znać aktualne ceny rynkowe nieruchomości, mieszkań, samochodów. Bez tego, niemożliwe byłoby obliczanie właściwych stawek podatkowych, obserwowane rynkowych tendencji. Ponieważ nikt w tym kraju nie jest instytucją charytatywną, nikt nie daje nic za darmo, więc musimy opierać się na wartościach rynkowych. A że czasem podszycamy się pod kogoś innego telefonując w sprawie ogłoszenia? Cóż, taka praca. Czasem moi pracownicy, udając małżeństwo, idą i proponują kupno lokalu czy działki budowlanej. Tylko w ten sposób można poznać autentyczne obowiązujące ceny.

— Czy dziwnych? Musimy znać aktualne ceny rynkowe nieruchomości, mieszkań, samochodów. Bez tego, niemożliwe byłoby obliczanie właściwych stawek podatkowych, obserwowane rynkowych tendencji. Ponieważ nikt w tym kraju nie jest instytucją charytatywną, nikt nie daje nic za darmo, więc musimy opierać się na wartościach rynkowych. A że czasem podszycamy się pod kogoś innego telefonując w sprawie ogłoszenia? Cóż, taka praca. Czasem moi pracownicy, udając małżeństwo, idą i proponują kupno lokalu czy działki budowlanej. Tylko w ten sposób można poznać autentyczne obowiązujące ceny.

— Czy dziwnych? Musimy znać aktualne ceny rynkowe nieruchomości, mieszkań, samochodów. Bez tego, niemożliwe byłoby obliczanie właściwych stawek podatkowych, obserwowane rynkowych tendencji. Ponieważ nikt w tym kraju nie jest instytucją charytatywną, nikt nie daje nic za darmo, więc musimy opierać się na wartościach rynkowych. A że czasem podszycamy się pod kogoś innego telefonując w sprawie ogłoszenia? Cóż, taka praca. Czasem moi pracownicy, udając małżeństwo, idą i proponują kupno lokalu czy działki budowlanej. Tylko w ten sposób można poznać autentyczne obowiązujące ceny.

— Czy dziwnych? Musimy znać aktualne ceny rynkowe nieruchomości, mieszkań, samochodów. Bez tego, niemożliwe byłoby obliczanie właściwych stawek podatkowych, obserwowane rynkowych tendencji. Ponieważ nikt w tym kraju nie jest instytucją charytatywną, nikt nie daje nic za darmo, więc musimy opierać się na wartościach rynkowych. A że czasem podszycamy się pod kogoś innego telefonując w sprawie ogłoszenia? Cóż, taka praca. Czasem moi pracownicy, udając małżeństwo, idą i proponują kupno lokalu czy działki budowlanej. Tylko w ten sposób można poznać autentyczne obowiązujące ceny.

— Czy dziwnych? Musimy znać aktualne ceny rynkowe nieruchomości, mieszkań, samochodów. Bez tego, niemożliwe byłoby obliczanie właściwych stawek podatkowych, obserwowane rynkowych tendencji. Ponieważ nikt w tym

Mężczyzna przekręcał gałkę radiolodbiornika. Cisza. Chwilę siedzi nieruchomo strącając się dokładnie sobie przypominając słowa, jakimi przemówił do niego miękki tenor zza Oceanu.

Od 13 grudnia 1981 r., od chwili wprowadzenia stanu wojennego, mężczyzna niemal

NIE ODCHODZI OD RADIA

„Głos Ameryki” dostarcza „szczegółowych wiadomości” o tym, co dzieje się w kraju, o strajkach, protestach, szarżach milicji, barykadach, krwi na bruku, tysiącach zabitych, setkach rozjeżdżanych co dzień gąsienicami czołgów. Miękkim baryton przytacza fakty: oto w Łodzi wezwano karetę pogotowia do rodzącej kobiety, ale niestety, z lekarzem nie można było się porozumieć, gdyż mówił tylko po rosyjsku; oto wyшло zarządzenie do zakładów szyjących ubrania, że od teraz będą szły jedynie mundury wojskowe, w które w pośpiechu przebierają się oddziały armii sowieckiej... Mężczyzna słucha tych okropności i czuje, że świat wali mu się na głowę. Co prawda sam jakoś nie widział ani walk ulicznych, ani nie słyszał strzałów, choć do Łodzi przejeżdża często, ale czy zwyczajny szary człowiek może wszystko wiedzieć, do wszystkiego dotrzeć? Przecież ten z Ameryki, nie mówiliby czegoś, co się nie wydarzyło. Zresztą Ameryka, to jest Ameryka i nic tu nie trzeba dodawać.

Mężczyzna już od dawna pragnął jakoś zaprotestować, wyrazić swoje oburzenie na fakt wprowadzenia stanu wojennego, tylko nie bardzo wiedział jak. Do „Solidarności” nie należał, choć akceptował jej program, polityką się nie zajmował, pracował jako stolarz, marzył o własnym warsztacie. Wtedy jeździł do pobliskiej Łodzi, szukał kontaktów z tymi „z podziemia”, nawet chciał drukować ulotki, tylko nie wiedział, jak się do tego zabrać. Mieszkał we wsi Samotnik, gmina Zgierz, więc właściwie, co mógł zrobić? Wielka polityka była gdzieś daleko.

WPADŁ NA POMYSŁ

prosty i zarazem skuteczny. Wstał, ubrał się ciepło, bo na dworze mróz, wziął parciańską torbę, w której znajdowały się dwa klucze, „francuz” nastawne oraz jeden sztorcowy własnej produkcji o nietypowych wymiarach, „cicho zamknął za sobą drzwi. Od domu do linii kolejowej miał jakieś 800 metrów.

Pod nogami chrząścił śnieg i zdawało się, że te odgłosy słychać aż w Zgierzu, a już na pewno w Glinniku. Wszedł na odcinek znajdujący się między budką droźnika przy przejeździe w Maciejowie a przejazdem w Glinniku, pierwszym od strony Maciejowa. Odległość między tymi dwoma punktami wynosi około 600 m. Zawczasu wybrał właśnie to miejsce, gdyż było ustronne i zapewniało bezpieczeństwo i mało było prawdopodobne, by ktoś po nocy chciał kontrolować tory.

Siedł więc wzdłuż toru i szukał złącza. Znalazł je dość szybko. Natrafił bowiem na wstawkę szynową długości 3,88 m. Ucieszył się, że los zesłał mu taką gratkę, właśnie tu, blisko domu, na 52,160 kilometrze między Zgierzem a Łowiczem.

Ukląkł i zaczął uwalniać szynę od podkładu. Szło mu sprawnie. Potem poodkręcał kolejne śruby mocujące ten odcinek szyny z sąsiednimi. Uwolnioną w ten sposób wstawkę przewrócił na bok.

Klucze włożył do torby i spokojnie poszedł do domu. Ale zanim dotarł do podwórza usłyszał jakiś rumor i stukot kół po podkładach: wiedział, że akcja się powiedziała i pociąg wyleciał. Otrząsał śnieg z butów, rozebrał się, wiał pod pierzyną i zasnął.

NA KOLEI ROZDZIWNOŚĆ SIĘ TELEFONY

Glinnik zawiadamiał, że pociąg towarowy nr 55176 relacji Łódź Widzew — Łowicz Główny wypadł z trasy, że potrzebny będzie dźwig, służby ratownicze, no i trzeba przysłać ekspertów. Była godzina 2.15.

Służba kolejowa szybko ustaliła przybliżony wypadek: wylupanie się wstawki szynowej, którą w tym miejscu zainstalowano 18 kwietnia 1981 r., a która musiała się poluzować na łubkach i pod wpływem ciężaru pociągu i jego szybkości wyleciała. Za ten stan rzeczy został ukarany zawiadowca odcinka drogowego, który wiedział, że dokonano prowizorycznego zabezpieczenia w miejscu pęknięcia prawego toku szynowego wstawiając niewymiarową wstawkę szynową o długości 3,88 m.

Przerwa w ruchu trwała do 12.15.

Zdarzenie uznano za jednostkowe wobec czego akta powołały do archiwum.

Było to 6 stycznia 1982 r.

I oto nagle niby przysłowiowy grom z jasnego nieba w nocy 20 stycznia, czyli zaledwie czternaście dni po pierwszym wykośnięciu się pociągu, na tej samej trasie w miejscowości Smardzew na 54,600 kilometrze o godzinie 2.58 wyskakują z toru cztery wagony pociągu sieciowego nr 2291. Tym razem komisja stwierdza, że nieznani sprawcy rozkręcili śruby na wstawkach szynowych o długości 5,30 m i 3,80 m. Co prawda ofiar w ludziach nie było, ale straty są znaczne, a przerwa w ruchu pociągów na tym odcinku trasy wyniosła 9 godzin.

Teraz już obarczanie winą przypadku czyli ślepego losu nie wchodziło w rachubę. Natychmiast zostają włączone do prac śledczych spe-

cialne grupy operacyjne Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi. Rozpoczęły się także rutynowe czynności: przesłuchania, zbieranie śladów, tropienie przy pomocy psów itp. Bez rezultatu.

23 marca 1982 r. nad ranem niemal w tym samym miejscu co pierwsze wykośnięcie, o godzinie 4.15 wylatuje z szyn pociąg osobowy nr 17213 relacji Łowicz Główny — Sieradz. Tym razem rzecz dzieje się na ostrym łuku, w miejscu, gdzie nasyp wznosi się ponad otaczające pola na wysokość 18 metrów. Ale na szczęście pociąg elektryczny jechał wolno. Wpadając w wyrwę o długości 11,40 m wyskoczył z szyn i oparł się o słupy trakcyjne będące pod napięciem. W części wagonów ludzie zostali porażeni, co wywołało panikę. Jedni usiłowali uchwycić się ławek, ale zostali siłą odrzucić w bok wraz z ławkami i ciśnięci na innych pasażerów.

Na miejsce przybyły specjalne ekipy ratownicze, karetki pogotowia, bo byli ranni. Dwie osoby odniosły obrażenia, które mimo leczenia,

EUGENIUSZ IWANICKI

Zamiast do historii trafili do rejestru skazanych

pozostawili ślady w postaci trwałego kalectwa. Przybył też prokurator i milicja.

Ponieważ uszkodzeniu uległy tory, nasyp i linia trakcyjna przerwa w ruchu na tej trasie trwała 21 godzin. Trzeba było wprowadzić zastępczą komunikację autobusową na odcinku Stryków — Zgierz. Na odcinkach Łowicz — Stryków i Zgierz — Łódź Kaliska kursowały pociągi wahadłowe. Pociągi dalekobieżne i międzynarodowe skierowano drogą okrężną.

Niestety, i tym razem sprawcy, czy też sprawców, nie udało się ustalić. Ale była już pewność, że wszystkie trzy wykośnienia nie były przypadkowe, że działa jakaś grupa przestępcza, i że w każdej chwili trzeba się spodziewać kolejnego sabotażu czy wręcz zamachu terrorystycznego. Brano także pod uwagę działanie jakiegoś szaleńca, człowieka umysłowo nie zrównoważonego, który w ten sposób stara się zwrócić na siebie uwagę lub wywołać panikę.

ZBLIŻAŁ SIĘ 1 MAJA 1982 ROKU

Święto państwowe, które miało być obchodzone po raz pierwszy w stanie wojennym. Należało więc spodziewać się, że tego dnia może wydarzyć się na tej trasie kolejna katastrofa.

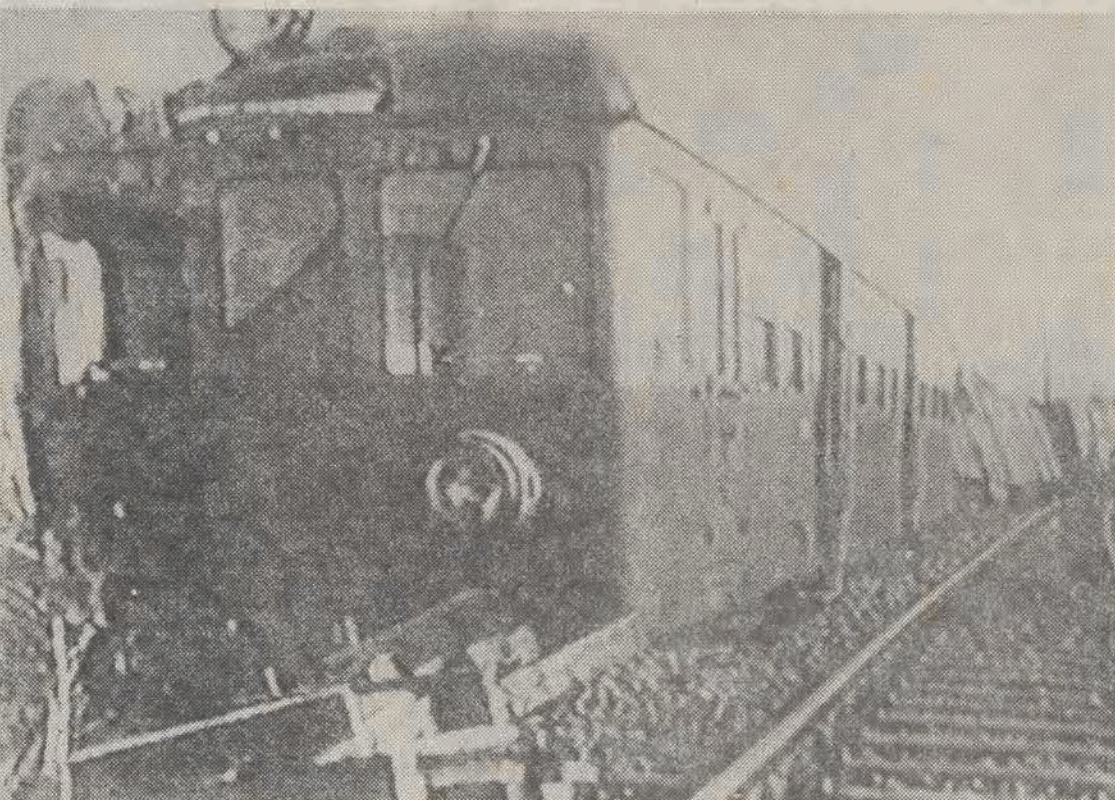
1 maja, obchodowy PKP Józef G. kontrolując tory znajduje o godzinie 11.45 na 48,250 kilometrze, na wiadukcie dwie butle gazowe oraz puszki połączone ze sobą przewodami z drutu. Właśnie ze Strykowa wyjechał pociąg pasażerski nr 515 w kierunku Łodzi. Obchodowy alarmuje stację Glinnik. Pociąg zostaje cofnięty do Strykowa. Na całej trasie wstrzymano ruch. Zjawiają się saperzy. Cały teren jest strzeżony.

Po półgodzinie jest po strachu: butle zostają zabrane, ruch przywrócony. Tylko pozostaje niepewność oraz pytanie: kiedy będzie następny raz?

Ale następnego razu już nie było.

Stan wojenny został zniesiony, życie w kraju wracało do normy, pociągi jeździły bez przeszkód, czas mijął odkładając w banku niepamięci lata 1982, 1983, 1984, 1985... Ludzie zapomnieli już, że gdzieś tam na torach w pobliżu Glinnika ktoś kiedyś rozkręcił szyny i usiłował wysadzić wiadukt przy pomocy butli spawalniczych.

Ludzie zapomnieli, ale nie wymiar sprawiedliwości...



NA JESIENI 1985 ROKU

Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Koninie zwrócił się do WUSW w Łodzi z pytaniem, czy coś wiedzą o zamachach na pociąg. Pytają dlatego, że w Koninie zatrzymano grupę przestępczą dokonującą włamań i kradzieży i jeden z zatrzymanych w trakcie przesłuchania powiedział, że on i jeszcze dwie inne osoby wysadzały pod Łodzią pociąg.

W taki oto sposób do aresztu trafili trzej mężczyźni: Wiesław R. lat 30, Janusz W. lat 30 oraz Ryszard W. lat 24. Dwaj ostatni to bracia, a Wiesław R. jest ich kuzynem. Cała trójka mieszka w odległości 1 kilometra od Glinnika. Wiesław R. posiada zakład stolarski w Glinniku, jest dobrze sytuowany. Wykształcenie zasadnicze zawodowe. Zna czworo dzieci: najstarsze — 7 lat, najmłodsze nie ma jeszcze roku. Dochód miesięczny — 80 tys. zł. Natomiast Janusz W. jest rolnikiem, hodowcą owiec.

na ofiar w ludziach”. Okazało się, że lepiej nie mógł trafić: od północy do 4 rano kursowały jedynie towarowe.

Kiedy przygotowywał się po raz trzeci do rozkręcania toru, wziął już ze sobą pomocnika, kuzyna Ryszarda W. Rozkręcał z pół godziny. Wiesław R. podejrzewał, iż trakcja elektryczna posiada specjalną sygnalizację, która alarmuje maszynistę i dyżurnego ruchu, jeśli gdzieś nastąpi rozłączenie szyn. Dlatego też kawałek usunięty połączył z szyną na torze drutem wziętym ze siupa trakcyjnego. Zacierając ręce z uciechy, że przechrzcił wszystkich, wrócił do domu i poszedł spać. Nazajutrz dowiedział się, że wykośił się pociąg wiozący ludzi do pracy. „Dla mnie było to szokiem” — powie w śledztwie.

Do wysadzenia wiaduktu poszli już całą trójką. Wpiero ukradli butle wraz z wózkiem z Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Glinniku. Wiesław R. kiedyś pracował w łódzkim „Mostostalu” jako monter i raz zapalił mu się butle. Ledwo ugasił, ale starzy robotnicy mówili, że mogłoby być wybuch, że w powietrzu wyleciałyby domy. Teraz postanowili skorzystać z tamtej wiedzy. Nawet w domu usiłował początkowo z różnych kwasów skonstruować bombę, ale tylko się poparzył i spalił sobie sweter. Zostały butle. Kradzież poszła gładko, wózek utopił w stawie, a butle na rowerach przewieźli w pobliże wiaduktu. Schowali je pod miedzą. Nazajutrz w nocy zanieśli na wiadukt. Wiesław R. odkręcił zawory łączące, że gazy wydobywające się pod ciśnieniem spowodują wybuch. Nawet kazał obu braciom uciekać jak najdalej od wiaduktu. Dla pewności jednak Wiesław R. rozpałił ogień w pobliżu zaworów. Brał pod uwagę także możliwość, że sam nie zdąży odskoczyć, że zginie na miejscu.

Niestety przeliczył się. Butle nie wybuchły. Znalazł je nazajutrz obchodowy PKP.

CO ŁACZY WIESŁAWA R.

oraz jego kuzynów z grupą przestępczą dokonującą kradzieży i włamań, którą zatrzymano w Koninie. Okazuje się, że wiele. Prokurator obok wymienionych przestępstw na kolei, zarzuca Wiesławowi R., że razem z braćmi W. włamał się do magazynu podmiejskiego Łódzkiego Przedsiębiorstwa Instalacji Przemysłowych, skąd zabrali gwintownicę elektryczną oraz inne narzędzia hydrauliczne. Zarzuca także, że Wiesław R. z Ryszardem W. dostali się do Będzińskiego Przedsiębiorstwa Konstrukcji Stalowych i Urządzeń Przemysłowych w Łodzi w celu ograbienia kasy.

Kiedyś Wiesław R. tu pracował i widywał ową kasę. A skoro jest taka duża kasa, muszą być w niej pieniądze. Przecież nie postawiono jej dla ozdoby. A więc postanowił zrobić skok. Teren znał dobrze. Wziął ze sobą ową wiertarkę skradzioną w Łagiewnikach, wiertło 10 mm, nożyce elektryczne i na twarze obaj wciągnęli pończochy. Początkowo szczęście im dopisywało: portier smacznie spał, więc go tylko obudzili i przywiązali do krzesła, zakazując krzyku: bo wróca, a wtedy on ich popamięta. Wzięli klucze z tablicy i spokojnie poszli do pomieszczenia z kasą.

I tu szczęście ich opuściło. Kasa nie poddała się. Była jakaś nietypowa, albo oni coś sknocił, bo ani drgnęła. Wtedy Wiesław R. postanowił ją wysadzić przy pomocy butli acetylenowych. Znalazł takie butle. Przez wyborowany otwór wpuścił gaz do środka. Podpalili. Huknęło potężnie ale zatrząsły się mury budynku. A kasa ani drgnęła. Natomiast gdzieś blisko rozszarpał się pies, ujadł jakby tuż za drzwiami. Szybko więc skoczyli w kierunku płotu zostawiając na miejscu wiertarkę. Do domu wrócili pieszo rozgoryczeni i mocno zawiedzeni.

W kilka miesięcy później ponownie udali się do Łagiewnik. Tym razem upatrzyli sobie magazyn materiałów. Po drzewie wspięli się na dach magazynu, stamtąd sztybem windy towarowej zeszli do środka. Drzwi od windy okazały się otwarte. Brali bele materiału jak popadło. W sumie wynieśli przez tenże szyb 6 bel, ułożyli na rowery i zawieźli do piwnicy w domu Wiesława R. Potem przędali to hurtem niejakiemu Andrejowi S. z Łodzi za 35 tys. zł.

Zresztą łączyli się w różne grupy, aby kraść. Na przykład Wiesław R. wraz ze swoim młodszym bratem Markiem włamali się do prywatnego zakładu złotniczego w Smardzewie i po sforsowaniu kasy pancernej zabrali pierścienki, koleczyki, wisioriki, obrączki oraz inne precjozja. Straty obliczono wówczas na przeszło pół miliona złotych.

Natomiast we wsi Chorki w gminie Grabów w województwie konińskim „na robotę” poszedł Ryszard W., brat Wiesława i Marek R. i Paweł S. Było to w lipcu 1985 roku. Włamali się do sklepu spożywczego skąd wynieśli 250 butelek wódki, papierosy oraz cukierki. Sklep poniósł straty wysokości 267.346 zł.

Janusz W. jest rolnikiem-hodowcą. Zajmuje się hodowlą owiec na skalę przemysłową. Taką samą hodowlę prowadzi także Rolnicza Spółdzielnia Przetwórcza w Dąbrowce Janusz rozumował logicznie: po co zajmować się żmudnym powiększaniem stada, kiedy można zrobić to szybko a skutecznie. Więc z bratem Ryszardem, poczynając od 1981 roku, przez trzy kolejne lata nocami podkradali owce z Dąbrowki...

Tak to zwyczajni złodziejaszkowie, postanowili obalić władzę ludową albo przynajmniej jej zaszkodzić. Ich działania w tym kierunku były tyleż niebezpieczne społecznie co głupie. Zaden nawet nie pomyślał, że w pociąg osobowy, który wyleciał z szyn i wpadł na słupy trakcyjne pod napięciem, jechali członkowie ich dalszej i bliższej rodziny. Najgorzej, kiedy za naprawianie świata biorą się domorośli politycy, pragnący trafić na karty historii, a trafiają do kartotek rejestru skazanych.

Piosenki

Gra w karty w roku 1812

Panowie, przerywamy grę, te karty są znaczone! Hrabia na stół podrzucił je, nie widział pan, baronie — o, proszę: na walecie znak, rozdanie się nie liczy! Pan oszukuje, hrabio, tak! Pan oszukuje, hrabio, tak! Spokamamy się o świecie.

E, pański honor. Tyle wart, co i te pańskie karty!

A tam granicę akurat a tam granicę akurat przekraczał Bonaparte.

Naturellement, znaczone są! Pan odda te brylanty, książę — panowie — proszę was na moich sekundantów! Po cóż ten urażony ton, tak śmieszny u szulera, no, panie hrabio — jaka broń? No, panie hrabio — jaka broń? Słuchamy — pan wybiera...

To nie da się obrócić w żart, w tych sprawach nie ma żartów!

A tam granicę akurat a tam granicę akurat przekraczał Bonaparte.

Czym sprawnie włada pańska dłoń? Co panu odpowiada? Panu pasuje — och pardon — damskie dessous, nie szpada... Już wiem — rapiery! Bronią tą walczyłem w stu bataliach! Lecz pańska ulubiona broń! Lecz pańska ulubiona broń to ta znaczone talia!

Tym razem, hrabio, miałem fart, pan zią wyciągnął kartę!

A tam granicę akurat a tam granicę akurat przekraczał Bonaparte.

Panowie, sam potrafię wstać, tylko ten stół się chwileje, zadęgam hrabiego, psir gą mać, jak trochę wytrzeźwieję, te, baron, milcz, a co mi tam, to co, że służba patrzy? Niech on mi powie, stary drań...

Niech on mi powie, stary drań, jak się te karty znaczą...

Zdradź, hrabio, sekret swoich kart, no nie bądź pan uparty!

A tam granicę akurat a tam granicę akurat przekraczał Bonaparte.

Nie chce powiedzieć podły tchórzy! Panowie, ręczę słowem — Jego hrabina może już uważać się za wdowę! Mnie tam nie wnerwia byle co, lecz za te sztuczki głupie to ja naprawdę udęgam go, to ja naprawdę udęgam go, excuse — moi, w poidupek!

Będzie dokładnie właśnie tak, o świecie padnie martwy!

A tam granicę akurat a tam granicę akurat przekraczał Bonaparte.

I ciebie, książę wyzwę też, bo jesteś dla mnie szmata, no? Czego, książę, mordę drzesz? Wielki arystokrata! O, baroni! Patrzcie, a ten skąd? Idź pan, bo pana kopnę! Do kogo mówię? Poszli woni! Do kogo mówię? Poszli woni! Spać mi się chce okropnie...

W marcowym słońcu grał się świat, był wtorek, albo czwartek —

a tam granicę akurat a tam granicę akurat przekraczał Bonaparte.

Wiem, hrabio, zachowałem się niegodnie i grubiańsko, lecz o pożyczkę proszę śmielem, znając łaskawość pańską... Chciałem już wtedy, podczas gry z tym zwrócić się do pana, ale zaszkodził szampan mi — ale zaszkodził szampan mi — nie znośzę wręcz szampana!

Mam pilny dług i pusty trzes, przepraszam za zniewagę... Pan może mój odmienić los, ja pana, hrabio, błagam! Nie powinienem wtedy pić, ja wiem, mam głowę słabą... Ja — duren? Co? Więc śmiesz mnie lżyć? Pan strzelasz pierwszy, hrabio!

A świat się toczył, jak to świat, był wtorek, albo czwartek —

granice Rosji akurat granice Rosji akurat przekraczał Bonaparte.

Włodzimierz Wysocki

Polowanie na młode wilki

Jak sobacza obroza na szyl wokół nas krag oblawy się zwari — osaczyli mnie dziś, osaczyli, doprowadzić próbują na straż!

Za świerkami ukryci myśliwi wysuwają zza pni lufy strzelb, skamla wilki, ze strachu półżywe, już nie leśni drapieżcy, a cel.

REFREN

Po wilcze dzieci przyszła śmierć, po wilcze matki, i polowanie trwa, już pierwszy wystrzał padł, nagonki słychać zgłęb, i nie ma wyjścia z matni, za nami psy, przed nami rząd czerwonych fladr!

Nieuczciwie gra człowiek z wilkami, ale nigdy nie zdradzi mu dłoń; wpięty im wolność zagradza szmatami, potem sięga spokojnie po broń.

Wilk nie może naruszać tradycji, człowiek może, bo człowiek — nie wilk, z mlekiem matek sse prawdę ród wilczy, że przez fladry nie przedrze się nikt!

REFREN

Jak to jest — mamy kły, mamy łapy, czemu więc ustalilo się tak, że wilkowi nie wolno przez szmaty, czemu wilk musi bać się tych szmat?

Wilk nie może, bo tak było zawsze, szczeniak zamek — to znaczy, że już — właśnie ten, co mnie sobie upatrzył bez pośpiechu pociąga za spust!

REFREN

Co tam szmaty! Wypreżam się w skoku, żądza życia silniejsza niż strach! Krzyk zdumienia rozlega się wokół, kule wściekle trzaskają po pninach!

Jeszcze podmuch mi ucho osmalił, i już zbawczy otwiera się las — osaczali mnie dziś, osaczali, lecz przegrali — choć raz, jeden raz!

REFREN

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIELŁO

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

W TEATRZE

W dawnych czasach był zwyczaj wywoływania ulubionych aktorów przedstawień teatralnych przez rozentuzjasmowaną publiczność po nazwisku. Mogło wówczas dojść do zdarzenia opisanego w zbiorze „Do rozpuku. Dwa tysiące anegdot i dowcipów”, wydanym we Lwowie pod koniec lat 80 XIX w.

Żona bogatego rzemieślnika w Warszawie przyjechała własnym powozem do teatru; wysiadając nakazała służącemu, aby po skończonej sztuce najprzód zajął się jej do domu spieszyć; wszelako pozwoliła mu, zostawiając konie pod dozorem chłopaka, przypatrzeć się z galerii przedstawieniu. Gdy już zasłona teatralna po raz ostatni spadła, zaczęto wywoływać niektórych aktorów. Szymon z podziwieniem słuchał jak wolano: „Zółkowski, Pańczykowski, Urbański” itd. i zapytał obok stojącego co by to znaczyło.

— Jak to? asan nie wiesz? — rzekł filut zwietrzywszy stajennego — tu każdy furman woła na swoich państwach, aby do domu jechał. Natychmiast przewieścił się Szymon przez galerię i zahuczał gromkim głosem:

— Sadowska! Sadowska! bryczka już przed wrotami czeka!

Podobnej treści anegdotę zanotował Sadok Barącz w zbiorze „Bajki, fraszki, podania, przysłowia i pieśni na Rusi” (Lwów 1886) s. 222—223.

DOBRA RADA

Czytaj mało, myśl wiele — tą postępuj drogą, Inaczej wszystkie książki nie ci nie pomogą —

radził niejaki Matuszewski w dystychu zapisanym w „Zbiorze wierszy, zagadek, satyr, polemik, szarad i sentencji z XIX w.” (Rps PAN w Krakowie, sygn. 1772),

ZDUMIEWAJĄCE PODOBIENSTWO

Horacy Safrin, znawca dawnego humoru żydowskiego, którego zbiorki anegdot „Przy szabasowych świecach” cieszą się dużym powodzeniem wśród czytelników, wiele uwagi poświęcił chełmskim „madralom”. Inną anegdotą na tenże temat przytaczam z wydanej w 1898 r. w Warszawie książeczki „Żydowski humor ludowy”:

Pewien chełmianin, nasłuchawszy się cudów o Lublinie, wybrał się raz pewnego do tego miasta po zakupy dla żony swojej. Wtem zapadła noc. Chełmianin, w obawie, by nie zbłądzić, położył się w środku drogi głową do Chełma, a nogami do Lublina. Gdy mocno zasnął, przechodził ktoś drogą i przekreślił go tak, że miał miasto rodzinne w stronie nóg, a drugie w stronie głowy. Chełmianin po przebudzeniu się przypomniał sobie znak, jaki przed zaśnięciem był sobie zrobił; podążył więc do miasta rodzinnego, w przekonaniu, że zbliża się ku Lublinowi. Z daleka widzi już wieże kościoła i myśli zdziwiony: patrzeć, zupełnie jak u nas w Chełmie! Idzie dalej, widzi te same gmachy, ulice i myśli: no widział to kto? Tyle mi cudów opowiadano, a wszak tu tak, jak u nas... a to ładnie byłoby, gdyby tu jeszcze był taki domek, jak ten, w którym ja mieszkam! Idzie dalej, widzi dom, w którym mieszka i mówi: „A to pięknie byłoby dopiero, gdyby tam mieszkała kobieta, podobna do mojej żony”. Wtem wypada żona z krzykiem: „A ty taki, a ty owaki, miałeś być w Lublinie, a ty mi się tu po ulicach szwędasz! A żeby cię nagła śmierć ty próżniaku! ty darmozjadzie!”

— Patrzcie no, państwo! — odzywa się chełmianin — akurat, ale akurat, jak moja żona!

O NALOGU

Nalóg jest naturą drugą. Książd Modest, co ssał pierś długą I dziś trzyma dziewczę noże, Bo bez pierś spać nie może Ignacy Piotr Legatowicz (z rękopisu)

OGŁOSZENIE

25 rubli nagrody! We wtorek, dn. 11 (24) bm. o godz. 8 rano zniknął w tajemniczy sposób z gmachu Szkoły Handlowej NAJJAŚNIEJSZY PAN MIKOŁAJ II, cesarz Wschodrosji i król Zjednoczonej Polski — w 3 kolorowych podobiznach.

Portrety stanowią moją osobistą własność. Łaskawy znalazca zechce takowe zwrócić pod adresem nieutrudzonego w żalu dyr. Wacława Klossa, Łódź, ul. Juliusza 37 m. 7.

Autentyczne to ogłoszenie w języku polskim i rosyjskim formatu 18x14 cm, na lekko żółtawym papierze, było rozklejane na murach łódzkich domów w okresie strajku szkolnego w 1905 r. W ten sposób młodzież starała się upokorzyć znanego lojalistę dyrektora 7-klasowej Szkoły Handlowej Zgromadzenia Kupców Klossa, prawnika z wykształcenia, przyjaciela z lat młodości Ignacego Dąbrowskiego, cenionego powieściopisarza i nowelisty.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

NR 19 (1467), XXIX, 10 MAJA 1986 R.

Judasz jako sędzia

Kolejne — trzecie już — wydanie „Według Judasza” oraz opublikowana po raz pierwszy kontynuacja tej głośnej powieści „Judasza dziennik intymny” zbiegły się w czasie ze śmiercią autora. Henryk Panas zmarł 11 września 1985 r. w wieku 73 lat. Zadebiutował późno, lecz znacznie jeszcze później stał się pisarzem znanym i cenionym. Zaczęło się od roku 1973, kiedy to ukazał się apokryf „Według Judasza”, nad którym pisarz pracował lat przeszło czterdzieści. Nie zresztą dziwnego: nad takim tematem można życie strawić i ciągle mieć coś do powiedzenia.

Pomysł tej przetłumaczonej na kilka języków powieści poraża czytelnika swoją prostotą i przewrotnością. Oto otrzymujemy niejako wersję Ewangelii według Judasza, a więc apostoła, którego postać zyskała w tradycji chrześcijańskiej ocenę zdecydowanie negatywną. Rozpowszechniony ewangeliczny obraz Judasza z Kariothu przedstawia człowieka ograniczonego, nędznika, tchórza i sprzedawczyka. Imię jego stało się synonimem wszelkiej zdrady. Od wspomnianego wizerunku Henryk Panas odszedł bardzo daleko. Przede wszystkim odrzucił okoliczność zdrady, przyjąwszy założenie, iż Jezus był postacią zbyt znaną, aby zachodziła konieczność wskazywania Mistrza przy pomocy wykreślowanego pocałunku. Po drugie — powiada pisarz — jeśli Judasz przyczynił się bezpośrednio do męczeństwa Jezusa to przecież oddał ludzkości przysługę, skoro w następstwie tej śmierci została ludzkość odkupiona z grzechu pierworodnego. Judasz, bohater powieści Henryka Panas, to człowiek majątny i wykształcony, przewyższający swe otoczenie bystrością i dojrzałością myślenia. Tego intelektualistę przeciwstawia autor pospółstwu jako głównemu trzonowi pierwszych zwolenników chrześcijaństwa. Kontrast między człowiekiem znacznym i zręcznym, obeznanym (stosując dzisiejszą terminologię) w psychologii i socjologii, a prostaczkami potrzebującymi współczucia i nadziei — oto jeden z przewodnich wątków dylogii Henryka Panas. U podstaw Panasowej wizji postaci Judasza legło przypuszczenie, iż był to ktoś ważny, na kogo w dramatycznym momencie liczone najbardziej, kto zaś nie sprostał pokładanej w nim nadziei i w chwili tragicznej próby po prostu zniknął. Zniknął, bo miał do spełnienia istotną misję. To właśnie dzięki jego późniejszemu zabiegom finansowym i organizacyjnym — zakłada pisarz — gminy chrześcijańskie mogły się rozwinąć. Gorąca wiara pierwszych chrześcijan dopełniła resztę. Bohater powieści Panas jest sceptykiem. Twierdzi, iż pewne prawdy moralne wynikają po prostu z ludzkiej natury i mogą ujawniać się niezależnie od siebie — w różnych miejscach i w różnych epokach.

Z takim nastawieniem przystaje do wyznawców Jezusa. Trafia do nich przypadkowo. Zakochał się nieszczerliwie w pięknej Marii Magdalenie, która porzucawszy zawód hetery stała się gorącą zwolenniczką nauk Jezusa. Jej to śladem podążył Judasz i ją to adorował. Ponieważ Rabbi Jezus przyjął go życzliwie i miłostliwie — Judasz odnosi się życzliwie do wszystkiego, w czym uczestniczy. Choć spogląda na rzeczywistość inaczej niż ci, z którymi przebywa.

Jego relacje cechuje dystans, co wynika między innymi z faktu, iż snuje ją z perspektywy czasu. Usiłuje poddać weryfikacji wszelkie mity, z jakimi się zetknął: narodowe i państwowe, zwłaszcza zaś religijne. A więc nie mał to wszystko, co składa się na dzieje ludzkości. Nie należy zatem obu powieści Henryka Panas zwracać jedynie do kwestii wiary — stanowią one interesującą powtórkę z wydarzeń ważnego okresu w rozwoju naszej cywilizacji.

Praktyczny Judasz broni się przed nauką Jezusa. Czuje się uwiedziony jego wizjonerstwem, przypowieściami. Odwołuje się do chłodnego umysłu: „Nikt z nas, nawet najbardziej wykształcony człowiek, nie jest wolny od metafizycznych uczuć... Wierzymy i powątpiewamy jednocześnie, a jak powiedział Seneka: człowiek mądry nadzieję przeplata wątpliwością, nie będzie niczego oczekiwał bez powątpiewania i nigdy nie zwątpi bez nadziei... Konieczność wiary i religii — jako przyrodzona właściwość naszej myśliczej natury — wykształciła się w człowieku nie po to, ażeby próbował rozpoznać świat niewidzialny i uczynić go rozpoznawalnym oraz widzialnym, tylko po to, żeby postępował godnie, czyli w sposób zbliżony do ideału”. Z tym zaś ma ludzkość niezmiennie kłopoty. Związczą z umiłowaniem czy poszanowaniem bliźniego. Nieszczerście zaczyna się wtedy, gdy człowiek zamyka się w sobie. Kiedy czuje, że jest częścią żywego świata, uczestnikiem wspólnoty — ma szansę na doskonalenie moralne. Dążenie do nieposzlakowanej uczciwości — oto moralne przesłanie obu powieści Henryka Panas. Zgodnie z przyjętą zasadą pojawia się też musi antyteza: jak zachować uczciwość, skoro prawda nie stanowi siły napędowej dziejów ludzkości? Mundus vult deici — ergo decipiat (świat chce być oszukiwany — więc go oszukujmy). Do syntezy dąży indywidualnie.

Judasz miał poprowadzić dzieło ewangelizacji świata. Nie stało się tak jednak. Dlaczego nie — czytamy w dzienniku intymnym. Jego intymność zasadza się właściwie na celiwości wątku erotycznego: opis landrynkowej miłości pięćdziesięciosześcioletniego Judasza do młodszej o lat czterdzieści niewolnicy, która po licznych perypetiach zostaje jego żoną, nie należy moim zdaniem do najciekawszych kart powieści. I nie

dla kobiety Judasz odszedł od nauki Jezusa Chrystusa: „Jak wieść gminna tworzy świętych i cudotwórców, tak samo buduje coraz barwniejszy wizerunek bohaterów negatywnych. W historii nieudatego buntu zdrajca był potrzebny, więc go wymyślono”. I nie z powodu obrazy na wieść gminną odszedł. Po prostu nie mógł uwolnić się od sprzeczności. Z jednej strony bowiem ogarnęła go trwała fascynacja: „Coś musiało tkwić w tym nowym ruchu, który rozprzestrzeniał się w sposób nieprawdopodobny. Myślę, iż tylko wiara w rychły dzień sądu, ale także miłość bliźniego, którą głosił, wyrozumiałość dla słabości ludzkich, miłosierdzie boskie dla grzeszników, to wszystko, czego brakowało innym religiom i wszelkim ruchom religijnym stanowiło jego siłę napędową”. Z drugiej strony jednak Judasz czuje się obrażoną burzą i demaskatorem tego ruchu. Nie potrafi opanować odruchów patrycjusza, który zwyczajnie brzydzi się pospółstwem. Ceni i podziwia Jezusa, w którym dostrzega „najszlachetniejsze cechy człowieczeństwa”, ale przeciwstawia się temu wszystkiemu, co o Jezusie mają do powiedzenia inni, wykorzystujący tę postać do tworzenia własnych legend, mitów czy apokryfów. Dylogia o Judaszu stanowi więc przede wszystkim anatomię mitu, narastającego jak słońce na drzewie, anatomie konsekwentną, choć subtelna, w myśli hasła: „Wątpliwie można o wszystkim, ale uragać nikomu nie trzeba”.

Jeśli chodzi o sprawy warsztatowe — wiele już o nich pisano. Chwalono, ale też wytykano nieścisłości i potknięcia pióra. Nie ma chyba sensu ich tu przypominać. Powiedzmy tylko, iż „Judasza dziennikowi intymnemu” można postawić jeden zarzut generalny: jest to powieść niejako „peknieta”, niezbyt spójna. Celiwy wątek erotyczny zupełnie nie przystaje do referatowego, drobiazgowego stylu polemicznego wokół fundamentalnej sprawy dla dwóch tysięcy lat dziejów naszej cywilizacji, stylu przypominającego niekiedy — niestety — raczej preparację niżli humanistyczny traktat o duchowych potrzebach człowieka.

Z tym wszystkim dylogia Henryka Panas stanowi lekturę frapującą. Judasz jako sędzia ludzkości okazuje się człowiekiem surowym, wymagającym, niewolnym jednak od licznych przywar. Jest wielkim manipulatorem, ale również słabeuszem. Walczy z mitem, tworząc jednocześnie mit nowy. Mit tkwi bowiem immatnie w naturze człowieka. Bez mitu nie możemy istnieć. Podobnie jak bez prawdy i kłamstwa. Pamiętajmy jednak, iż mit nie jest ani jednym, ani drugim. Jest po prostu czymś pośrednim: deformacją. I to daje nam pod roz wagę Henryk Panas.

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

Henryk Panas: „Według Judasza. Apokryf”; „Judasza dziennik intymny”. Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1985, nakład 29 650+350 egz., cena 1/II zł 480,—

„Na świat spoglądam jak na sieć zdradliwą”

O dwóch przedstawieniach chciałabym napisać, o dwóch różnych spektaklach na odmiennym materiale literackim opartych. Pierwszy z nich to „Proces” Franza Kafki zrealizowany w Teatrze Jaracza, drugi — „Labirynt świata i raj serca” wg. J. A. Komenskigo ostatnia premiera Teatru 77. Odległe epoki, skrajnie różne poetyki, ale podobne odczuwanie świata. Powieść z roku 1925 i XVII-wieczny utwór Komenskigo, udratowany w latach 60 naszego wieku przez Ludwika Kundę.

Zacznijmy od Kafki. Jego enigmatyczna twórczość prowadziła do różnorodnej interpretacji. Najszerzej znany „Proces” doczekał się również kilku, w wielu punktach bardzo odmiennych, wykładów. Podstawowe jednak założenia są bezsporne. Widzja świata opawanego przez wszechwładny aparat biurokratyczny, rzeczywistość, w której nie ma miejsca na bohatera indywidualnego, gdzie człowiek staje bezbronny wobec narzuconej mu sytuacji zagrożenia i odczuwa coraz dotkliwiej swoją przedmiotową rolę wobec anonimowego wroga, którego racji działania dociec nie sposób. Atmosfera tajemnicy, niesamowitości i wszechobecnego absurdu sytuacji Józefa K. na pozycji ofiary walczącej o prawo do indywidualności i stanowienia o własnym losie.

Adaptacja sceniczna „Procesu” to zadanie niełatwe. No tak, właściwie można by rzec o każdej adaptacji, ale w tym wypadku trudności są zwielokrotnione i łatwiejsze do zauważenia niż do pokonania. Każda adaptacja jest przeniesieniem myśli utworu niesamowitego w sferę czysto teatralnych środków wyrazu. Jest więc jednocześnie ukontretnieniem i dookreśleniem motywów w pierwotnym niedopowiedzianym i wieloznacznym. I od sprawności adaptatora i reżysera zależy zasieg tego ograniczenia. Spektakl Jerzego Hutka owej sprawności niestety nie dowodzi.

Adaptator i reżyser jednocześnie chwalebne postawił sobie zadanie i właściwie jedynie, które postawić musi każdy autor, aby usprawiedliwić swoją twórczość — pokazanie spraw nas obchodzących i nam współczesnych. Lecz by tego dokonać wybrał drogę dość wątpliwą wartości. Przebogata interpretacyjnie powieść Kafki przeniósł na scenę trzymając się kurczowo jednego, tego najbardziej „naskórkowego” i naj-

prostszego motywu — światem rządzi biurokratyczna machina, bezlitośnie wciągająca nas w swoje tryby. Sprawa została określona jasno i brutalnie, zabrakło momentu nieświadomości i tajemnicy i złowroga magii. Napięcie zbudowane na kontakcie niesamowitego nonsensu rzeczywistości z normalną przeciętną osobowością Józefa K. jest przecież zadaniem nie przekraczającym możliwości teatru, pod warunkiem, że w przedsięwzięciu to zostaną zaangażowane nieco bogatsze pomysły inscenizacyjne niż te, które zaprezentował Jerzy Hutek.

Recenzenci piszący o „Procesie” w Teatrze Jaracza zwrócili uwagę na małą wyrazistość i jakby niepewność gry aktorskiej, wyciągając stąd wniosek, że zadania dla aktorów nie zostały precyzyjnie określone. Sposób przedstawienia, wnioski chyba nieco błędne. Zadania postawiono konkretne, nazbyt konkretne, stąd nieporozumienie. Każdy z aktorów miał grać normalnych, autentycznych w swoich reakcjach ludzi, tylko sytuacja miała być niemożliwa, ale też w granicach rzeczywistości. Kafkowską niemalże metafizyczną tajemnicę życia ślgniętego do wymiaru bytu wypaczonego przez instytucję. Ekspresjonizm i nadrealizm próbowano zastąpić realizmem. Stąd Bronisławowi Wrocławskiemu (Józef K.) przypadło w udziale zadanie niewykonalne.

Zaszczenie Józefa K., jego rola ofiary, w powieści budowana była poprzez absurdalny spłot okoliczności i niesamowitość aury, w przedstawieniu wszystko to uczyniono domeną aktora. Z Józefa K., symbolu, próbowano stworzyć pełną postać z rozbudowaną psychiką. To poprzez niego, załamana przez przytłaczającą psychikę, rzeczywistość jawi się nam miała jako koszmarny. Zauważmy jak bardzo nieadekwatny jest to zabieg. Zastąpiło zjawisko paradoksalne — adaptacja sceniczna jest mniej sceniczna niż powieściowy pierwowzór. Bo przecież w sferze powieści sprawdza się psychologizm, a w sferze teatru konkretne działanie, prozę wybaczyć, ale czuje się zmuszona do stwierdzenia tej oczywistości. Tak więc, dziwne nie może brak reakcji widowni, bo to nie ja, ale Józef K. zmuszono do „przeżywania”. I tylko wielkiej klasie aktorstwa Bronisława Wrocławskiego za-

wdzięczamy chwile autentycznego zainteresowania przedstawieniem.

Inny materiał wykorzystał Peter Scherhauser do spektaklu „Labirynt świata i raj serca”. Powstał około 1623 r. utwór czeskiego filozofa i poety, wprowadzający motyw wędrówki, poznawania świata w jego rozmałości kojarzy nam się z wcześniejszymi powieściami rycerskimi, przysiadami Don Kichota, a przede wszystkim z o wiek późniejszymi powiastkami filozoficznymi Woltera. Szczególnie z tymi ostatnimi we wnioskach wydaje się zbieżny. Świat jako chaos i siedlisko zła, bezsensowny, niezrozumiały, i zagrażający „ladowi serca”.

Przedstawienie w Teatrze 77 łączy środki wyrazu różnej proveniencji. Mamy więc sceny rodem z teatru plebejskiego, średniowiecznego misterium, tematy biblijne, wreszcie swoistą poetykę teatru studenckiego, ocierającą się (z wdziękiem) o publicystykę. W spektaklu wykorzystano biblijne motywy z wcześniejszych realizacji „Pasji” — Ostatnia Wieczerza, tu sprofanowana przez bandę wygłodziłych zwierzęcych ludzi, wyrwujących sobie z rąk kruszcy się bochenek chleba i przepiękną poetycką scenę z krzyżem — hold dla człowieka poniżonego i umęczonego; lustrzany „zajazdek” wydobywa z mroku coraz to inną twarz na widowni. Ten udręczony to Everyman.

Seria migawek, składająca się na obraz „labiryntu świata” jest świetna teatralnie, plastycznie i bogata w znaczenia. Ale jakże nieprzekonywujące jest wyjście z chaosu w świat własnej indywidualności. Na pytanie: „Co kochochasz?” — odpowiada pielgrzym — „Nie wiem”. I z tą odpowiedzią pozostajemy. Bo czym jest ów „raj serca”, jaka forma bytowania w świecie, albo też bytowania obok świata? Lecz może nie mamy prawa domagać się od teatru odpowiedzi, której sami nie przeczuwamy.

Wspólną cechą tych dwóch, bardzo różniących się formalnie przedstawień, jest nie tylko owo przerażenie światem, ale i coś znacznie istotniejszego. W obydwu przypadkach oglądamy rzeczywistość oczami człowieka z niej wyobcowanego, uczestniczącego w niej z przymusem, wbrew woli, choć oczywiście istnieje tu element zaciekawienia i chęci poznania. Do końca nie utożsamia się ze światem ani Józef K., ani Pielgrzym. Obaj są wędrownymi po labiryncie, zadziwionymi, przerażonymi, lecz nie czującymi się współwzrostami tego co ich otacza. Świat jest dla nich wrogiem zewnętrznym, bezmiennym i niszczącym ich jak intruzów. Nieidentyczność świata i człowieka zaiste dla naszego czasu znamienna...

EWA WESOŁOWSKA

Teatr 77. L. Kundera: Labirynt świata i raj serca. Reż. Peter Scherhauser. Scen. Krzysztof Rykiewicz. Teatr im. S. Jaracza. F. Kafka: Proces. Adapt. i reż. Jerzy Hutek. Scen. Joanna Braun.

Ostro cięte sekwencje nadają monologowi dodatkowego dramatyzmu, choć z pozoru wydawać by się mogło, że akcja filmu powinna nużyć. Relacja przerywana jest niezwyklej sekwencjami starych filmów (archiwum Wytwórni „CZŁOWIEK”) kreślonych w czasie wojny w trakcie powietrznych walk myśliwskich nad Wielką Brytanią. Niezwykły dokument został przez reżysera wykorzystany z najwyższym wyczuciem dramaturgicznym. A przy tym — co konieczne — trzeba zaznaczyć — umiejętnie wykorzystał autor walor plastyczny dokumentalnych kadrów. Oprawa muzyczna, jaką stanowi tu fragment IX Symfonii Ludwiga van Beethovena, nadaje „wojennym” sekwencjom nieprawdopodobnej wymowy dramatycznej i przepięknej wyrazistości plastycznej. Kontrastowe kadry relacji Skalskiego, jego spokojny głos podnoszą temperaturę filmu.

To nieduże dzieło jest jednym z najpiękniejszych filmów poświęconych człowiekowi, jakie miałam możliwość oglądać w ciągu wielu lat. Mądry humanizm, wolny od emfaticznych emocji, piękny pomnik postawiony nieprzeciętnemu człowiekowi — oto wartość filmu.

Pod względem warsztatowym film jest doskonały. Spójny, w dobrym tempie, z pozoru płynący spokojnie, a pełen dramatyzmu. Aż żal, że trwa tylko 20 minut.

Dając tu wyraz swemu podziwowi dla pracy Jacka Bławutę, chciałabym czytelnikom, a i odpowiednim władzom, gorąco polecić ten film. Sądzę, iż „Cyrek Skalskiego” powinien się znaleźć na liście tych, z którymi trzeba zapoznać młodzież, tak rozpaczliwie poszukującą autorytetów i wzorów moralnych. A i dorosłym przysługiwałoby się posmakować wielkiej klasy, jaką pokazał Stanisław Skalski i reżyser filmu Jacek Bławut.

Z nadzieją, że rychło film zostanie przyjęty do powszechnej dystrybucji i nie pokryje go kurz na archiwalnej półce, polecam uwadze czytelników, widzów i decydentów nowe nazwisko polskiej kinematografii.

JOLANTA WRÓŃSKA

Książki Wydawnictwa Literackiego w 1986 r.

Atrakcyjnie jak zwykle zapowiadają się plany edytorskie krakowskiego Wydawnictwa Literackiego. Prawdziwym bestsellerem i wydawniczym superhitem będą „Dzieła” Witolda Gombrowicza. Dziewięciotomowa edycja pod redakcją Jana Błońskiego obejmuje wszystkie utwory zakończone i wydane za życia pisarza w formie książkowej, a więc utwory, które kiedyś w Polsce już się ukazały a także tytuły znane dotąd z wydań zagranicznych tj. „Pornografia”, „Kosmos” oraz — w trzech tomach — „Dziennik”. Sam emocjonuje się tą wieścią i próbuje emocjonować innych choć wiem, że poza instytucjami kulturalnymi, naukowymi i bibliotekami tylko nieliczni będą mogli książkami Gombrowicza się cieszyć. Dwudziestotysięczny nakład „Dzieł” (na taką wysokość nakładu zgodzili się spadkobiercy praw autorskich) w żadnym stopniu nie odpowiada czytelniczemu zapotrzebowaniu nawet jeśli znaczny procent odbiorców będzie zabiegać o Gombrowicza tylko ze względów prestiżowych i snobistycznych: dziewięć tomów na półce domowej etażerki spełniać może taką samą rolę jak porcelanowy serwis w serwanicie.

W kolekcji „dzieł zebranych” ukażą się w 1986 roku także kolejne tomy powieści Krzysztofa Makuszyńskiego oraz pism Kazimierza Wyki. Tu także wznowienie „Utworów zebranych” Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, poprawione i wzbogacone o nowo odnalezione utwory i „Wiersze zebrane” Anatola Sterna obejmujące w dwóch tomach całość poetyckiego dorobku autora (w opracowaniu Andrzeja K. Waszkiewicza).

Pośród dwudziestu tomów poetów współczesnych znajdziemy nazwiska już niejako klasyczne (J. Harasymowicz, U. Kosiłko, T. Różewicz, K. Karasek) i nazwiska debiutantów (E. Kolbus, P. Vogler, U. Zybura, A. Matuszkiewicz). Należy pamiętać o wydaniu w WL zawsze zwracającej uwagę krytyki, można sądzić zatem, że i tegoż roku nie przyniosą zawodu.

W serii wydań dwujęzycznych, którą trzeba uznać za jeden z znakomitszych pomysłów krakowskiej oficyny, w księgarniach znajdą się tomy Belli Achmatuliny, prawdziwej znakomitości współczesnej poezji rosyjskiej („Wyjście na scenę”), Anny Achmatowej (drugie wydanie „Poezji” poszerzone o nowe tłumaczenia), Roberta Lowella, najwybitniejszego poety amerykańskiego obecnego stulecia oraz Cypriana Kamila Norwida (tekstem polskim „Poezji” będzie towarzyszył przekład angielski autorstwa Adama Czerniawskiego).

Pomiędzy wydawnictwami utworów scenicznych warto wymienić dwutomową prezentację całego dorobku dramatycznego Tadeusza Różewicza, „Dramaty wybrane” Jerzego Szaniawskiego, „Dramaty” Alberta Camusa (w tymie cztery najbardziej znane sztuki pisarza: „Kalię”, „Nieporozumienie”, „Stan obłączenia” i „Sprawiedliwi”) oraz cztery kolejne tomy „Dzieł” Williama Szekspira w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

Z próby współczesnej wydawnictwo zapowiada najnowszą powieść Romana Bratnego „Upadek Ludowej”. Na podstawie fragmentów drukowanych obecnie w „Kulturze” można oczekiwać znowu prozy gorącej, żywej i nie omijającej aktualnych problemów politycznych i społecznych. W planie na rok 1986 wyróżniają się też nowe książki Stanisława Lema („Biblioteka XXI wieku”), Krzysztofa Kąkolowskiego („Współczesność”) oraz wznowienia utworów Andrzeja Kuśniewicza, Tadeusza Hołuj, Witolda Zaleskiego i Melchiora Wańkowicza.

Parę prawdziwych literackich rarytasów znajdzie czytelnik w dziale propozycji przekładowych. I tak: nowy tom J. Cortazara („Proza z obserwatorium”), Jose Lezama Lima („Jaskółki i kraby”) i Gustavo Sainza („Kolejka Wilk”). Z próby rosyjskiej najnowszy utwór prozatorski Eugeniusza Jewstuszenki („Tam gdzie rośnie jagody”) i powieść Władimira Orłowa („Demon z altówki”). Z nie mniejszym zainteresowaniem spotkają się powieści Philipa Rotha „Kompleks Portnoya” i Marguerity Duras „Kochanek”, a księgarską sensacją będzie nie wydawany od półwiecza w Polsce „Nowy wschód świata” Aldousa Huxleya.

Zawsze znaczny procent w planach wydawniczych WL zajmują książki o charakterze dokumentalnym (wspomnienia, listy, pamiętniki, prace historyczne itp.). Nie brak ich i w tym roku.

To oczywisty skrót, bo oferta wydawnicza WL jest znacznie bogatsza. Wypada na koniec życzyć szczęścia sobie i czytelnikom w księgarskich poszukiwaniach.

(GRZG.)

Pomnik dla Skalskiego

Być może niektórzy z czytelników „ODGŁOSÓW” pamiętają opublikowany w naszym tygodniku dwuczęściowy wywiad, jaki przeprowadził Marek Miller z pułkownikiem pilotem Stanisławem Skalskim. Płk Skalski, wówczas prezes Aeroklubu Polskiego, a dziś — jego prezes honorowy, po raz pierwszy udzielił wywiadu, w którym opowiedział nie tylko o swej wojennej części życiorysu, ale także o powojennym, dramatycznym rozdziale. Po powrocie do Polski w 1947 roku, rychło został aresztowany pod fałszywymi zarzutami o szpiegostwo, zdradę stanu i inne ciężkie przestępstwa. Postawiony przed sądem wojskowym, został skazany na karę śmierci. Bolesław Bierut skrzyżował z prawą łaski, zamieniając celę śmierci na dożywotnie więzienie. W 1957 roku płk Skalski został uwolniony i zrehabilitowany.

Postać Stanisława Skalskiego należy do tych, których nazwisko sygnuje epokę lub zjawisko. Młodzi czytelnicy książek Janusza Meissnera, Bohdana Arcta czy Arkadego Fiedlera, zwłaszcza tych, poświęconych dziejom walk polskich żołnierzy w armiach alianckich w czasie II wojny światowej, z pewnością znają to nazwisko. Jeden z bohaterów powieści o wojnie obronnej we wrześniu 1939 roku, a potem „Bitwy o Anglię”. Jeden z pilotów, którzy wstawił imię oręża polskiego na całym świecie.

Opowieść o legendarnej formacji lotniczej, operującej w Afryce, zwanej — od nazwiska dowódcy — „Cykiem Skalskiego”, jeszcze dziś należy do kanonu lektur młodzieżowych.

A jednak Stanisław Skalski nie należy do tych postaci, które trwale są obecne w wyobraźni kolejnych pokoleń młodych ludzi, chociaż symbolizuje w sobie wszystkie te cechy i przymioty, jakie składają się na powszechnie aprobowany wzorzec wychowawczy.

Dlatego tym większą wartość wychowawczą ma film świeżo powstały w Łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych, a którego autorem jest młody reżyser i operator JACEK BŁAWUT. Absolwent Łódzkiej Wyższej Szkoły Filmowej, Teatralnej i Telewizyjnej na wydziale operatorskim i inscenizacji telewizyjnej, w roku 1982, zadebiutował najpierw jako operator filmów Marka Kotarskiego (m.in. „Polski bohater współczesny”, „Przyczyny narkomanii”). Wkrótce jednak postanowił samodzielnie poprowadzić reżyserii. Jak się okazało — bardzo szczęśliwie (jak sądzić także dla polskiej sztuki filmowej). Powstały dotychczas takie filmy, jak „Super ciężki” — opowieść o zapasniku Sandurskim, za który to film, otrzymał J. Bławut Nagrodę Kola Młodych Reżyserów Stowarzyszenia Filmowców Polskich oraz Nagrodę „SZTANDARU MŁODYCH”. Potem był film o Waldemarze Marszałku — mistrzu świata w sportach motorowych, pt. „Ślizganie do nieba”. Następny film „Widok” poświęcony ochronie środowiska naturalnego, otrzymał główną nagrodę na krajowym Festiwalu Filmów Przyrodniczych oraz Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Naukowych — Katowice '85. Trzeba także wspomnieć o pięknym plastycznie filmie „Monaster” opowiadającym o bułgarskim zakonniku.

Wreszcie ostatnie dzieło, dwudziestominutowy film pt. „Cyrek Skalskiego”. Jest to dzieło niezwykle. Dziejąca się w dwóch warstwach opowieść, a raczej monolog Stanisława Skalskiego, wspominającego swe życie. Bohater, którego wyrazistą twarz i ruchliwie dionie wyeksponował reżyser czarnym tłem, spokojnie, bez emfazy opowiada. Jedyne skurcz twarzy, pogłębione brzozy wokół ust, świadczą o temperaturze uczuć, zwłaszcza, gdy wspomnienia dotyczą faktów dramatycznych czy wręcz tragicznych.

Pokłon Terpsychorze

Dobrym obyczajem ostatnich lat stała się doroczna impreza baletowa w Teatrze Wielkim z okazji Międzynarodowego Dnia Tańca, uchwalonego przez UNESCO. Zmontowany program z udziałem siedmiorga zagranicznych solistów, w tym trojga Polaków, zatrudnianych przez zagraniczne placówki operowo-baletowe Baletu polski, oprócz teatru gospodarzy, reprezentowały pary tancerz z Warszawy i Gdańska. Oto suchy liczbowy raport z dwukrotnie wykonanego programu Galowego Wieczoru Baletowego, przy sporym (przynajmniej pierwszego dnia) zainteresowaniu publiczności.

Pas de deux ze „Snu nocy letniej” Mendelssohna, z choreografią Patricji Carey, w wykonaniu polskiej pary ze Stadtoper Linz — Jolanty Rybar-

skiej i Antoniego Janaszaka nie okazało się wprowadzeniem zachęcającym z powodu nieco ospałego, pozbawionego polotu, tańca. Co prawda Janaszak w drugiej cz. programu w „Imaginacji” z muz. Manciego do filmu „Victor. Victoria” i chor. D. Marcielle wykazał się znaczną sprawnością techniczną i darem aktorskim, ale jego możliwości interpretacyjne łatwiej byłoby ocenić w utworze wyższego lotu.

Obiecująco zaprezentowała się młodziutka, kończąca gdańską szkołę baletową, Daria Dadun w „Obrazkach” Musorskiego, oprócz. Isao Tomity, chor. Witolda Grudy; ma ona dużą chęć łatwości techniczną i wyrazistość ruchów, a potwierdziła to dobre wrażenie w drugiej części, wraz z doskonale wyszkolonym Mirosławem Ordonem z

Opery Bałtyckiej w pas de deux z banalnego muzycznie, ale dającego pole do popisu „Korsara” Adama, w chor. Tatiany Wasiliewej i Andrzeja Stasiewicz.

Tylko niestety raz pokazał nam się paryżanin Ivan Bataille z Badischer Stadttheater Kalsruhe, w utw. „Cello” (wiołaczela), z muz. Karla Amadeusza Hartmanna (IV symfonia, cz. 3) z własną choreografią. Pokazał tańiec silnie nasycony emocją, pełen ekspresji i silnej dyscypliny ruchowej.

Adagio ze „Śpiącej królowej” Czajkowskiego, w chor. Gusiewa i Petipy, odtaczali stylowo soliści Teatru Wielkiego w Warszawie, Ewa Głowacka i Jan Zdanowicz. Głowacka potwierdziła swoją pozycję czołowej naszej tancerki klasycznej, co jednak słabiej wypadło w słynnym pas de deux z „Jezióra łabędziego” Czajkowskiego, w chor. Petipy, z powodu nadto chłodnej interpretacji.

Wyjątkową indywidualnością okazał się Kevin Haigen z Les

Ballets de Monte Carlo zarówno w „Królu Lirze” (chor. Rus-sillo), dzięki skrupelnej, powścią-ganej emocji, podkreślającej dramatyzm przeżyć nie-szczęsnego bohatera, jak przede wszystkim w „After Dawn” do muz. Mendelssohna i we własnej choreografii, mając za partnerkę Judy Holma. Zabyłszy Haigen i jako twórca płynnie skompono-wanych układów opartych na wymownym ruchu i geście, i jako wykonawca pełen jakby aut-tonion i melancholijnego do-wcipu, lekki i gibki, choć już nie młodzienc.

Następnym tancerzem, w kolejności ukazywania się na scenie był znany nam Krzysztof Pastor, którego wykonanie wariacji z „Pieciu tang „Piazzoli” (chor. van Manen) świadczyło o tym, że artysta nie marnuje czasu w holenderskim Het Nationale Ballet. Wystąpił następnie w skomponowanej przez Rudiego van Dantzig do muz. Chopina „Passe” — co chyba miało oznaczać tęsknotę za minionym (wszak „passe-

izm”). Tu główna bohaterka stała się jednak jego koleżanką z baletu, japonką o nazwisku Caroline Jura. Miękość jej ruchów, zwłaszcza tań-ciec rąk, wymowa dion, każdy skłon głowy, wszystko to złożyło się na sylwetkę pełną delikatnego wdzięku.

Na zakończenie parę słów o nowym rock-balecie Ewy Wycichowskiej, pt. „Faust”, z muz. zespołu The Shade i choreografią Ewy Kwiatkowskiej stwarzającą naturalną tajemniczość i niepokój. Sam początek pomimo (a może — dzięki) niejasnej symbolice manekinów i luster był mocno intrygujący. Bliski zresztą światu wyobraźni z baletu „Miriam”. Potem, jakby w zasługu białej tkaniny spływającej miękko w dół i odginającej silnym podmuchem z bok-u, oznaczającym może wtargnięcie innego porządku rzeczywistości (może metafizyki do realnego świata) rozwinął się coraz bardziej współczesny w wyrazie i jakby orgiastyczny tań-ciec całej grupy, której prze-

ciwstawiały się pantomimiczne działania Czesława Błiskiego (Faust?). Im bliżej końca, tym silniej dominował styl rozrywkowy, żeby nie powiedzieć re-wiowy, co zresztą sprawnie demonstrowali (oprócz wymienionych) Marian Polaszak, Jarosław Biernacki, Artur Lewanowski i Krzysztof Pabijańczyk.

Utwór ten nasunąć może refleksję, że ów genre rozrywkowo-rewiowy, któremu często udzielała wsparcia władze kulturalne, staje się z roku na rok coraz bliższy pojmowaniu zadań artystycznych Teatru Wielkiego przez kierownictwo placówek. Niejako dopełnienie tego kierunku działań stanowił-turnee zagraniczne zespołu z „Wesołą wdówką” i udział w imprezie sopockiej. Niechby każdy robił to, do czego jest po-wołany...

To zresztą osobny temat.

JERZY KWIECIŃSKI

Dzwoni do ciebie Pasternak!
Rodzice wpatrywali się we mnie w osłupieniu. Nic nikomu nie mówiąc, wówczas szóstoklasista, posłałem mu swoje wiersze i list. To co wtedy zrobiłem, zdecydowało o całym moim późniejszym życiu. I oto on odpowiedział mi, i zaprasza do siebie w niedzielę, na drugą.

Był grudzień. Pod szary dom w Ławruszyskim przyszedłem, oczywiście, godzinę przed czasem. Odczekawszy, wjechałem windą na szóste piętro i wyszedłem na ciemną klatkę schodową. Do drugiej brakowało jeszcze minutę. W mieszkaniu widocznie usyszano zatrzymującą się windę. Otworzyły się drzwi.

W drzwiach stał on.
Wszystko zakłócało się przede mną. Patrzył na mnie zdziwiony, wydłużony płomień twarzy. Jakaś wypielżała stearynowa bliza obciągała jego krzepki stan. Wiatr poruszał kosmyki włosów. Nie przypadkiem potem na swoim autoportrecie umieścił płonącą świecę. Stał w przedziagu.

Sucha, silna dłoń pianisty.
Uderzyła mnie ascezą, żebracza przestrzeń jego nie ogrzewanego gabinetu. Kwadratowa fotografia Majakowskiego i kindżał na ścianie. Słownik angielsko-rosyjski Müllera — zajęty był wtedy przekładkami. Na stole leżał skurczony mój szkolny zeszyt, prawdopodobnie przygotowany do rozmowy. Przebiegła po mnie fala przerażenia i uwielbienia. Ale było już za późno na ucieczkę.

Zaczął mówić od środka.
Jego kości policzkowe unosiły się, jak trójkątne trązny skrzydeł, ciasno stulone przed wżlaniem. Ubóstwiałem go. Przyciągał ku sobie, była w nim moc i niebiańskie nieprzystosowanie. Kiedy mówił wyszarpywał, wydychał do góry, podbródek jak gdyby chciał wyrwać się z kółniarką i z ciała.

Wkrótce przestałem się czuć skrepowany. Przypatrywałem mu się ukradkiem. Rysunek jego krótkiego nosa, zaczynającego się wgłębieniem, potem tworzącego garbek i dalej prostego, przypominał miniaturę kołby karabinowej. Usta Sfinks. Krótko ostrzyżone siwe włosy. Ale nade wszystko — płynna, dymna fala magnetyzmu. „Ten, który sam się porównał do konieskiego oka”.

Po dwóch godzinach wracałem, niosąc w objęciach jego rękopisy — do przeczytania — rzecz najcenniejszą — smaragdowy tomik jego wierszy, zszyty purpurowym jedwabnym sznurkiem. Nie wytrzymałem, otworzyłem po drodze i zacząłem czytać zdyszane frazy:

„Wszystkie choinki świata, wszystkie sny dzieciarni,
Dzień płonących świeczek, łańcuchy kolorowe...”

W wierszach były uczucia chłopca z przedrewolucyjnej Moskwy, rzucano swój czar dzieciństwo — największa z zagadek Pasternaka.

„Dzień płonących świeczek, łańcuchy kolorowe...”

W wierszach zachowała się późniejsza kryształowa czystość jego duszy. Widziałem jego jesień, Jesień jasną, aż do jasnowidzenia. I przybliżyła się kraźna jego dzieciństwa.

„Wszystkie jabłka, wszystkie złote kule...”

Ten dzień zadecydował o moim życiu, nabrało ono czarodziejskiego sensu i przeznaczenia: jego nowe wiersze, rozmowy telefoniczne; niedzielne spotkania od drugiej do czwartej, spacer — lata szczęścia i dzieciennego zakochania.

Dlaczego spotkałem się z takim odzewem?

W tamte lata był samotny, zmęczony ciężkimi przeżyciami, pragnął szczerze, czyste przyjaźni, pragnął wyrwać się z zamkniętego kręgu — ale to nie wszystko. Może ta dziwna znajomość z wyrostkiem, uczniem, ta prawie przyjaźń, wyjaśnia w jakiś sposób jego charakter? To nawet nie była przyjaźń lwa z pieskiem, raczej — lwa ze szczeniakiem.

Może widział we mnie samego siebie, tamtego ucznia, który przyszedł do Skriabina?

Ciągnęło go do dzieciństwa. Zew dzieciństwa w nim nie milki. Nie lubił, kiedy do niego telefonowano — dzwonił sam. Dzwonił niekiedy po kilka razy na tydzień. Potem następowały męczące przerwy. Moim zmieszonym domownikom nigdy nie przedstawiał się z imienia i patronimiku, zawsze z nazwiska.

Mówił śpiesznie, nieopamiętanie. Potem w pełnym rozpędzie niespodziewanie urywał rozmowę. Nigdy się nie skarżył, jakieśkolwiek chmury by go mroczyły.

Artysta — mawiał — z natury jest optymistyczny. Optymistyczna jest istota tworzenia. Nawet kiedy się pisze rzeczy tragiczne, trzeba pisać mocno, a smutek i żawość nie sprzyjają mocy twórczej. Wyowiedział płynęła nieprzerwanym, zachylającym się monologiem. Było w niej więcej muzyki niż gramatyki. Nie dzielił jej na frazy, fraz na słowa — wszystko lato się nieświadomym strumieniem świadomości — myśl krążyła, wracała, zaklinała. Jego poezja była takim samym strumieniem.

Kiedy na dobre przeniosłem się do Pieriedielkina, telefon dzwonił rzadziej. Na dacz nie było aparatu, chodził dzwonić na pocztę. Noc rozbrzmiewała echem jego głosu z okna, mówił do gwiazd. Żyłem od dzwonka do dzwonka. Często zapraszał mnie, gdy czytał na dacz swoje nowe utwory.

Jego dacz przypominała drewnianą kopię szkockiej baszty. Jak stara wieża szachowa, stała w szeregu innych dacz na skraju ogromnego pieriedielkińskiego pola, pokreślonego orką. Na drugim końcu pola za omentarzem, jak postacie z innego świata, skrzyżły się cerkiew i dzwonnica z XVI wieku, niby król i królowa, karłowaci krewni Wasyla Błażennego.

Rząd dacz leży się pod zabójczym ostrzałem ementarnych kopu. Do dziś już mało kto pozostał z dawnych właścicieli.

Lektury odbywały się w jego półokrągłym latarnianym gabinecie na pierwszym piętrze.

Przychodziliśmy. Przynosiliśmy z dołu krzesła. Gości bywało zwykle około dwudziestu. Czekaliśmy na spóźniających się Liwanów.

Z wielkich okien widać wrześniowy pejzaż. Goreją lasy. Do ementarta podjeżdża samochód. Jak pajęczyna, ciągnie do okna Z tamtej strony pola, z ementarta, pstra jak kogut, przeziara cerkiew — kogo by dziobać? Drzy powietrze nad polem. Takie samo niespokojne drżenie powietrza czuje się w gabinecie. Drzy w nim nerw i czekiwania.

Zeby skrócić pauzę, D. N. Żurawiew, wielki odtwórca Czechowa i kamerton staroarchaickiej elity, demonstruje, w jaki sposób siedziano na wielkoświatowych przyjęciach, wyprężwszy plecy i ledwie dotykając łopatkami oparcia krzesła. To mnie robi uwagę w tej taktownej formie. Czuję, jak się rumienie. Ale ze zmieszania i przekory garbię się jeszcze bardziej i mocniej wbijam łokcie w stół.

W końcu zjawiają się spóźnialscy. Ona — onieśmiałona, pełna nerwowego wdzięku, tłumaczka się tym, że trudno było dostać kwiaty. On — ogromny, rozkładając ręce i w błazeńskim przerażeniu przewracając oczami: koryfeusz mehatowskiej sceny, homerycki odtwórca Nozdriowa i Potiomkina, typ rubasznego dziecka.

Milkiśmy. Pasternak śladł przy stole. Miał na sobie lekką srebrzystą kurtkę typu frencza, w rodzaju tych, które teraz wchodzi w modę. Mówił wtedy „Biała noc”, „Słowika”, „Bajkę”, no, słowem, cały tomik tamtego okresu. Na końcu szedł „Hamlet”. Mówiąc wpatrywał się w coś nad naszymi głowami, coś, co widział tylko on. Twarz wydłużała się, chudła. I jego kurtka miała odbłask białej nocy.

„Czas odległy dziś mi się przysnił.
Dom w dzielnicy Petersburskiej. Córka
Niebogatej dziewczynki z prowincji.
Rodem z Kurska, i jesteś na kursach”.

Recytacje trwały zwykle około dwóch godzin. Czasem, gdy chciał coś objaśnić słuchaczom, zwracał się do mnie, jakby mnie objaśniając: — Andrieusza, tam w „Bajce” chciałem jak na medalu wybrać emblemat uczucia: rycerz-wybrańca i dziewczica przed nim na siodle. To była nasza gra. Znałem te wiersze na pamięć, jego umiejętność nazywania procesu, rzeczy, stanu, osiągnęła w nich doskonałość. W wierszach stukały kopyta:

„Zamknięte powieki.
Przestworza. Obłoki.
Wody. Brody. Rzeki.
Lata i epoki”.

Litował się nad miłością własną audytorium. Potem po kolei pytał, komu jakie wiersze najbardziej przypadły do serca. Większość odpowiadała: Wszystkie. Zarzucał wtedy wymigiwanie się od odpowiedzi. Wówczas wyróżniał „Białą noc”. Liwanów wymienił „Hamleta”. Nie zagrany Hamlet był jego tragedią, ten ból zagłuszał brawurą wesoła i bufona.

„Szum ścichł. Wyszedłem na scenę”.

Liwanów siałł nosem. Jeszcze wyraźniej wystąpiły worki pod oczyma. Ale za chwilę już był weselszy, bo oto wszystkich proszono na dół, do stołu.

Schodziliśmy. Wokół nas — fajerwerk błękitnych, powietrznych modelek pedzła jego ojca, jednego bodaj rosyjskiego malarza-impresjonisty.

ANDRIEJ WOZNIESIENSKI

Ze wspomnień

Och, te pieriedielkińskie biesiady! Brakowało krzeseł. Znosiłmy taborety. Za stołem królował Pasternak w upojeniu gruzińskiego ceremoniału. Był gościnnym gospodarzem. Wywoływał zażenowanie wychodzących gości, osobiście podając każdemu pałto.

Kim byli goście poety?

Głowa jak z surowego granitu, zmrużone oczy, suchy blask myśli — dobry, cichy Henryk Gustawowicz Neuhaus, Garrick, Roztargniony Richter, Siawa, najmłodszy za stołem, lekko przymykał powieki, degustując barwy i dźwięki. — Mam pytanie do Siawy! Siaw! Proszę powiedzieć, czy istnieje sztuka? — ogłuszając go głośno pytał Pasternak. Obok siedziała zgrabna Nina Dorila, jak z grafiki, jak czarne koronki.

Co to za stół bez samowara?
Samowarem na tych zgromadzeniach był Liwanów. Kiedyś zjawiał się przy wszystkich swoich medalach. Miał wzrost wielkoluła. Sadzano go naprzeciw gospodarza. Hałasował, brylował. Wchodził w niego na pewno kilka wiader.

— Znałem Kaczałowskiego Dżima. Nie wierzyłem — gorączkował się i wychylał kolejne kieliszki. — Daj łapę, Dżim... To był czarny wściekły diabeł. Belzebub! Wszyscy się trzęśli ze strachu. Wchodził do jadalni i kładł się pod stołem. Nikt nie odważył się choćby nogą ruszyć. Co dopiero mówić o głoskaniu po aksamitnej sierści. Zaraz by rękę odgryzł. Taką była sztuka! A on powiedział „Daj łapę, Dżim... Wypijmy za poezję, Borysie!”

Obok nieśmiało i rzewnie uśmiechał się wielkooki Żurawlow, w brązowym garniturze, jak majowy żuk. Marzył Asmus. Rozłapiąc się jak niedźwiedź wchodził Wsiewłod Iwanow, krzyczał:

— Urodziłem ci syna, Borysie!
Pamiętam antyczną Annę Achmatową, boską Augustę poezji i wieku. Małomówna, w szeroki ubiorze podobnym do tuniki. Pasternak posadził mnie przy niej. I na całe życie zapamiętałem jej profil.

Wbiło się w pamięć przybycie Hikmeta. Gospodarz wznosił toast na jego cześć, na cześć zorzy rewolucji za nim. Nazim, odpowiadając, poskarżył się, że nikt naokoło nie rozumie po tu-recku i że on jest nie tylko zorzą, ale i poetą, i zaraz będzie mówił wiersze. Mówił gwałtownie. Cierpiał na dusznicę, ciężko oddychał.

Zeby się nie przeziębnić na powietrzu, kiedy wychodził, włożył na piersi pod koszulę gazety — nasze i zagraniczne — na dacz były tego sterty. Poszedłem go odprowadzić. Na piersi poety szeleściły wydarzenia, szeleściły ziemskie dni.

Zachodził gotycki Piedim, ich dacz sąsiedowały ze sobą. Postawa pary William-Wilmonow pochodziła z Rokotowskich portretów.

Żona Borysa Leonidowicza, z obrażoną kokardką ust, w czarnej aksamitnej sukni, z krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami, przypominała damę art nouveau, denerwowała się, że jej syn, Stasik Neuhaus, na paryskim konkursie powinien grać rano, a są widoki na wieczorny występ.

Ruben Simonow z rozkoszą, czule i władczo recytował Puszkina i Pasternaka. Mignął Wertyński. W homeryckim jęku wspinały Iraklij Andronikowicz naśladował Marszaka.

Jaka ucztą dla oka! Jaka ucztą dla ducha! Piótna Renesansu, a raczej piótna Borowikowskiego i Briuliowa, ożywały w tych biesiadach.

Szczodrze obdarzał mój wzrok wspaniałością swoich współbraci. Była między nami jak gdyby milcząca zмова. Niekiedy wśród pijackiego monologu toastów chwylałem jego rozbawione spojrzenie spiskowca, przeznaczone tylko dla mnie, mówiące to, co jest zrozumiałe tylko nam obu. Zdawało się, że wśród gości siedzących za stołem on był moim jedynym rówieśnikiem. Łaczyła nas owa tajemna wspólnota wieku. Często zachwyty na jego twarzy zmieniały się w wyraz dziecinnej obrzydliwej, a nawet uporu.

Czasem prosił mnie, żebym recytował zebranym wiersze. Jakby nurkując w zimnej wodzie, tępyim głosem mówiłem, mówiłem.

„W zgiełku tramwajów zgłupiał
I gapił się wsparte na łokciach obłoki”.

To były moje pierwsze publiczne recytacje.

Czasem byłem o niego zazdrosny. Oczywiście, o ileż droższe mi były rozmowy tylko nas dwóch, bez gości, ściśle mówiąc — jego monolog skierowany nawet nie do mnie, a obok mnie — do wieczności, do sen-t życia.

Niekiedy rozbrzykiwał się we mnie kompleks krzywdy. Powsta-wałem przeciwko swojemu bóstwu. Zdarzyło się, że zadzwonił do mnie i powiedział, że podoba mu się czcionka mojej maszyny do pisanja i poprosił, żebym przepisał cykl jego wierszy. To zupełnie naturalne. Ale dziecinemu samolubstwu wydało się to obraźliwe — co, uważa mnie za maszynistkę! Jak głuńciec odmówiłem, wymówiwszy się jutrzejszym egzaminem, co było prawdą, lecz nie przyczyną.

Pasternak jest chłopcem.

Są artyści, naznaczeni stałymi cechami wieku. Tak, w Buninie jest wyrazistość wczesnej jesieni, jakby zawsze był czterdziesto-

letnim mężczyzną. Pasternak zaś jest wielecym chłopcem, nieposłusznym — „Jestem stworzony przez Boga, żeby męczyć siebie, rodzinę, i tych, których męczy grzech”! Tylko raz w wierszach narrator określił swój wiek: „Mam czternaście lat”. Raz i na zawsze.

Jak osłepiająco nieśmiały był pomiędzy obcymi, w tłumie, jak, napięty i chmurny, zginał szyję!

Pewnego razu wziął mnie ze sobą do Teatru Wachtangowa na premierę „Romea i Julia” we własnym przekładzie. Siedziałem obok niego, z prawej strony. Moje lewe ramię, policzek, ucho, jakby onieśniały od sąsiedztwa, jak od znieczulenia. Patrzyłem na scenę, ale i tak widziałem jego — jaśniejący profil, grzywkę. Chwilami mamrotał tekst za aktorem. Na scenie w pojedynku z Tybaldem błyszczał Romeo — Jurij Lubimow, podówczas amant Teatru Wachtangowa, nie zamysławiający jeszcze o przyszłym teatrze ani o tym, że będzie wystawiał „Hamleta” w Pasternakowskim przekładzie i jego wojenne wiersze.

Nagle szpada Lubimowa łamie się, i — o cudzie! — jej czubek, zatoczywszy bajeczną parabolę, pada pomiędzy nami na boczne oparcie fotela. Schylam się, podnoszę. Pasternak się śmieje. Ale już rozlegają się brawa i zagłusza wszystkie kalambury skandowanie sali: Autor! Autor! Zażenowanego poetę ciągną na scenę.

Przyjechał były jego odpocznikiem. Pracował jak galeriżnik. Przez dwa miesiące w roku zajmował się tłumaczeniami, „pańską dzie-sięciną”, żeby móc potem pracować na własny rachunek. Tłumaczył po 150 linijek dziennie, mówiąc, że inaczej ta praca jest nieproduktywna.

Wypominał Cwietajewę, że ona — jeśli tłumaczyła — to wszystkie 20 wierszy dziennie.

U niego także poznałem S. Człikowanę, P. Czagina, S. Makaszyna, I. Noneszwili.

Nie lubił mistrz języka nieprzystojności i sytuacji życiowego mata. Tylko raz słyszałem z jego ust niebezpośrednio określone słówko. Zdarzyło się, że drobiazgowi purytanie atakowali jego przyjaciela za to, że publikował nie w tym organie, gdzie by im się podobalo. Pasternak opowiedział za stołem przypowieść o Fecie. Ponoć w analogicznej sytuacji Fet odpowiedział: „Jeśli by Smidit (zdaje się że tak brzmiało nazwisko najgorszego ówczesnego petersburskiego szewca) wydawał brudny papier, który za nazwę miałby czteroliterowe słowo, i tak bym tam publikował. Wiersze mają moc oczyszczającą”.

Jaki był ostrożny i nieskalany! Dał mi kiedyś pakiet nowych wierszy, gdzie była „Jesień” — ze złotą strefą, tycjanowską w swej czystości, pełni uczucia i obrazowości:

„Tak samo twa suknia spada,
Jak z leśniczyny spada liście,
Kiedy w me objęcia padasz
W szlafroku z jedwabną kłiszą”.

Rano zadzwonił do mnie: — Może wydało ci się to zbyt bezpośrednie? Zina mówi, że nie powinienem być dawać go tobie, mówi, że to jest zbyt śmiałe...

Opoką było mi samo jego życie, które świeciło się obok. Nigdy do głowy mi nie przyszło, żeby poprosić go o coś praktycznego, np o pomoc w publikowaniu czy coś w tym rodzaju. Byłem przekonany, że do poezji nie wchodził się przez protekcję. Kiedy zrozumiałem, że nadeszła pora drukowania wierszy, nie mówiąc mu ani słowa, zacząłem chodzić po redakcjach, jak wszyscy, bez protekcyjnych telefonów przeszedłem całą tę przedpublikacyjną mordęgę. Kiedyś wiersze moje dotarły do członka kolegium redakcyjnego grubego pisma. Wolał mnie do gabinetu. Sadza — takie gościnne cielsko. Patrzy jak zakochany.

— Pan jest synem?
— Tak, ale...

— Zadnych „ale”. Teraz już wolno. Niech pan się nie chowa. Przecież go zrehabilitowano. Zdarzały się błędy. Jakiż to był mocarz myśli! Zaraz podadzą herbatę. I pan jako syn...

— Tak, ale...

— Zadnych „ale”. Dajemy pańskie wiersze do numeru. Zrozumieją nas prawidłowo. Ma pan rękę mistrza, szczególnie dobrze przedstawia pan cechy naszego wieku atomowego — i tak na przykład pisze pan „kariatydy”... Moje gratulacje.

(Potem zrozumiałem, że wziął mnie za syna N. A. Wozniesińskiego, byłego przewodniczącego Państwowej Komisji Planowania).

— „To znaczy — jak to nie syn? Jak — to samo nazwisko? Co nam pan głowę zawraca. Znosi pan tu jakieś paskudztwo szkodliwe. Nie dopuścimy do tego. A ja cały czas myślałem — jak u takiego ojca, właściwie, nie ojca... Co? Herbaty?!”

Ale potem zacząłem jakoś drukować. Pierwszą, pachnącą farbą „Litgazetą” z moimi wierszami przywiozłem mu do Pieriedielkina.

Poeta był chory. Leżał w pościeli. Pamiętam pochyloną nad nim bolesną jesienną sylwetkę kobiety, podobną do majolikowej muzy Wrubla. Smagła głowa poety ciężko wciskała się w białą poduszkę. Podano mu okulary. Jak rozjaśnił się, jaki był poruszony, jak ożywiła się jego twarz! — Znaczą, i moje sprawy nie stoją tak kiepsko — powiedział nagle. Z wierszy spodobało mu się to, co miało swobodną formę. — Na pewno szuka pana teraz Asiejew — zażartował.

Asiejew, zapalczywy Asiejew o żywej, pionowej twarzy, podobnej do strzelistego łuku, fanatyczny, jak katolicki kaznodzieja, o cienkich, zjadliwych wargach, Asiejew „Błękitnych huza-rów” i „Oksany”, mistrz placów budowy, reformator rymu. Bystrooki, szybował nad Moskwą, w swej wieży na rogu Gorkiego i przejazdu MChAT, nie opuszczając jej latami, jak Prometeusz przykuty do telefonu.

Nie spotkałem człowieka, który by tak bezgranicznie kochał cudze wiersze. Artysta, organ smaku, wuchu, jak suchy, nerwowy chart, wyczuwał strofę na wiorstę — i tak celnie ocenił W. Sosiura i J. Moric. Poważał go Majakowski i Mandelsztam. Pasternak był jego gorącą miłością. Zjawilem się wtedy, gdy tamci już dawno się rozeszli. Jakże ciężkie są w skutkach różnice zdań między artystami. Asiejew zawsze miłośnię i zazdrośnie wy-wiadywał się — jak tam „twój Pasternak”? Ten zaś mówił o nim z dawnowo, z dystansu — „nawet Asiejewowi ostatnia rzecz wyszła zinnawo”. Kiedy przyniosłem mu tom Asiejewa, zwrócił mi nie czytając.

Asiejew — katalizator poezji, babelki w szampanie poezji. — Pana, o ile wiem, zwa Andriej Andrieicz? Kapitał! My zawsze trafiamy dublet. Majakowski to Władim Władimycz, ja — Nikołaj Nikołajewicz, Durluk — Dawid Dawidycz, Kamiński — Wasilij Wasiljewicz, Kruczonych... — A Borys Leonidowicz? — Wyjątek tylko potwierdza regułę.

Asiejew wymyślił mi przezwisko — Ważnoszczenski, podarował wiersze — „Twoja gitara — Głtana, Andrieusza”, w ciężkich chwilach uratował artykułem „Co jest z Wozniesińskim?”, skierowanym przeciw zwykłej krytyce „czytania w myślach”. Po rycersku odpiął w prasie ataki na młodych rzeźbiarzy, malarzy. W swojej panoramie „Majakowski zaczyna się” w kręgu osób obok nazwisk Majakowskiego, Chlebnikowa, Pasternaka, wymienił nazwisko Aleksieja Kruczonych.

(Powyższy tekst jest fragmentem wspomnień Andrieja Wozniesińskiego „Mam czternaście lat...”)

Przełożyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Polemiki • Listy • Opinie

KARTKA ZE SPAŁY

W Spale niemal wszystkie obiekty użyteczności publicznej znajdują się pod administracją dyrekcji FWP. W centrum na głównej ulicy zakładane są kable telefoniczne. Trwają prace porządkowe, lecz nieco dalej nie widać tej troski o ład, porządek i czystość.

Robotnicy z pobliskiej budowl, ściślej przeprowadzanego od lat remontu DW „Rogacz” od samego rana biegają po sklepach, zaopatrując się w produkty żywnościowe, chociaż mają stołówkę pod bokiem. Teoretycznie rozpoczynają pracę o godz. 7.00. Praktycznie gdzieś około 9.00, po dokonaniu zakupów, spożyciu śniadanka. A kończą pracę razem z ostatnią turą wczasowiczów wychodzącą z obiadu tj. o godz. 14.00. Ciężka to praca... Rzecz można „roboty pali się w rękach”. Widoczne są i efekty tej pracy...

Nie też dziwnego, że remonty niektórych obiektów przeciągają się w nieskończoność. Weźmy dla przykładu remont kawiarenki położonej na terenie Ośrodka Wczasów Wodnych FWP w Spale. Remonty pomieszczeń DW „Rogacz”, które ciągną się całymi latami.

Nawet etatowy przewodnik oprowadzając wczasowiczów w ramach „Spaceru po Spale” starannie omija z daleka Ośrodek Wczasów Wodnych FWP. Widoczna tafla brudnej wody w basenie nie da się ukryć przed ludźmi. Żenujące to. Rowery wodne w liczbie sześciu sztuk nadal niszczą pod gołym niebem. Ziomu nie brakuje w Zakładzie Remontowo-Budowlanym FWP. Natomiast narzekamy na jego braki w hutach.

Niewątpliwie to zaszczyt posiadać własną bazę w postaci Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego, Transportowego. Własna stolarnia z kompletnym wyposażeniem technicznym. Ale mimo woli nasuwa się pytanie: czy aby sprzęt i ludzie są właściwie wykorzystani w dobie reformy gospodarczej? Jakoś mi się nie udało przez dwa tygodnie skoryzować tych podstawowych rzeczy. I znowu posłużyć się przykładami, zaczerpniętymi z obserwacji pracy i organizacji Zakładu Remontowego FWP. Przez brudne szwy w stolarni mogłem dojrzeć grupę „stolarzy”, waleśających się po obszernej hali produkcyjnej, gdzie jeden pracuje przy maszynie, a reszta mu asystuje dosłownie i w przenożeniu. Sam sztyd — jeszcze o niczym nie świadczy. Nie przynosi zasłużonego szpandora ani dla pracowników, ani dla instytucji. Potrzebna jest właściwa organizacja pracy, dbałość o powierzone mienie społeczne, państwowe na każdym jednym odcinku.

To, że zakładowy autobus odwozi wczasowiczów do miejsca zamieszkania, oczywiście za specjalną opłatą — nie świadczy o wzorowej gospodarności zakładu. Inicjatywa pożyteczna i godna uwagi, lecz to kropla w morzu istniejących potrzeb wczasowiczów. Nie samym chlebem człowiek żyje na wczasach. Chociaż na wyżywienie nie można było narzekać, gorzej z innymi towarzyszami imprezami kulturalnymi np. organizowanie dosłownie na „dziko” turniejów gry w ping-ponga, bilard itp., itd.

Daje się zauważyć przerost etatów nie tylko administracyjnych, lecz i gospodarczych. W każdym niemal domu wczasowym kat. I zatrudnia się kilka sprzątaczek, w tym jedną „kierowniczkę”. Wszystko byłoby w porządku, gdyby pokoje świeciły czystością. Jednak tak nie jest. Przyczyna — absencja choroby. Jedni pracują, drudzy chorują i tak na zmianę. Strach pomyśleć, co będzie w trakcie sezonu turystycznego i wzmocnionych prac żniwnych, jako że większość pracowników rekrutuje się z okolicznych wsi.

Z mego dwutygodniowego pobytu w Spale odniosłem wrażenie jakoby czas zatrzymał się w miejscu. Spala wygląda ospała. Niewątpliwie jedyną bezsporną atrakcją dla wczasowiczów — były dziki. W poszukiwaniu karmy przychodzili pod obie stołówki, a nawet pod bloki mieszkalne. Jadły pokarm z ręki. Nie bały się ludzi, ani „zuba”, stojącego na cokole, pod którym fotograf robił pamiątkowe zdjęcia dla wczasowiczów.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

JAK MA SIĘ NAZYWAĆ BOHATER POWIEŚCI?

W związku z wydrukowaniem w numerze 14 z 5 kwietnia 1986 r. „Dziur” (fragment powieści „Perla Powiatu”) umieszczono nazwisko mojego syna Leśniewicza, lekarza ginekologa, opisując oszczerstwem pod jego nazwiskiem. Na jakiej podstawie pisze się nieprawdopodobne zdarzenia i tym samym podrywa autorytet i etykę lekarską. Proszę o niezamieszczanie nazwiska Leśniewicza w powyższej powieści jak również w tygodniku „Odgłosy”.

Nadmieniam, że obecnie mój syn jest za granicą i proszę o wyjaśnienie w niniejszej sprawie.

IRENA LEŚNIEWICZ
(Olsztyn)

OD AUTORA:

W związku z listem Ireny Leśniewiczowej z Olsztyna wyjaśniam, że nazwiska jej syna użyłem przez przypadek. Bohater mojej powieści jest postacią fikcyjną i z olsztyńskim doktorem Leśniewiczem nie ma absolutnie nic wspólnego. Przeproszam za niezamierzoną zbieżność nazwisk, ale powieść nie jest komunikatem prasowym, w którym używa się jedynie enigmatycznych inicjałów i opisywane postaci muszą się jakoś nazywać. Na całe moje szczęście nie posłużyłem się nazwiskiem Kowalski i mam nadzieję, że moje wyjaśnienie usatysfakcjonuje zarówno matkę pana Leśniewicza, jak i jego samego.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

GÓRNICZY W ŁODZI

Zarząd Zakładowy ZSMP i Zarząd Koła RSTK przy Kopalni Węgla Kamiennego im. XXX-lecia PRL z Jastrzębia-Zdroju, ustosunkował się pozytywnie do propozycji Zarządu RSTK w Łodzi nawiązania współpracy, w wyniku czego mieliśmy okazję oglądać i podziwiać występy Kapeli Górniczej RSTK „Walynioki”. Młodzi robotnicy kopalni zaprezentowali się tódzkiej publiczności z jak najlepszej strony. Ich występy cieszyły się dużym powodzeniem.

Ponownie gościliśmy Kapelę Górniczą RSTK „Walynioki” wraz z 50 pracownikami kopalni. Przyjechali, by wziąć czynny udział w pracach społecznych przy budowie Szpitala Pomnika — Centrum Zdrowia Matki Polki. By oddać swoją krew dla potrzeb przyszłego szpitala.

Przebywając w Łodzi w październiku 1985 roku członkowie kapeli górniczej poznali plany budowy Szpitala Pomnika. Prosto z marszu o godz. 9.00 rano 19 kwietnia 1986 r. przystąpili do pracy na budowie. Pracowali solidnie przez cały dzień, jak górnicy potrafią. W tym samym dniu po pracy, Kapela Górnicza RSTK „Walynioki” wystąpiła z bezpłatnym koncertem przed publicznością Pabliano.

W niedzielę, trzeci dzień pobytu naszych miłych gości, po śniadaniu, udali się do Stacji Krwiodawstwa, by oddać krew dla potrzeb Szpitala.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

WAŻNE DLA PRZYSZŁYCH FILMOWCÓW

Rektorat Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi zawiadamia, że w roku akademickim 1986/87 odbędą się przyjęcia kandydatów na następujące wydziały studiów stacjonarnych: REŻYSERII FILMOWEJ I TELEWIZYJNEJ, OPERATORSKIM I REALIZACJI TELEWIZYJNEJ, AKTORSKIM oraz na WYŻSZE STUDIUM ZAWODOWE ORGANIZACJI PRODUKCJI FILMOWEJ I TELEWIZYJNEJ.

Warunkiem dopuszczenia kandydata do egzaminu wstępnego jest złożenie odpowiednich dokumentów oraz prac twórczości własnej (złożenie prac twórczych nie dotyczy Wydziału Aktorskiego i Wydziału Studium Zawodowego Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej).

Na Wydział Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej należy składać próby twórczości własnej z następujących dziedzin: literatura, film amatorski, plastyka. Na Wydział Operatorski i Realizacji Telewizyjnej z fotografii i plastyki.

Wydział Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej prowadzi również rekrutację na studia w zakresie montażu filmowego do AMU — Praga (CSRS) — a Wydział Operatorski i Realizacji Telewizyjnej z fotografii do AMU — Praga (CSRS).

Szczegółowych informacji udzielają poradnie konsultacyjne działające przy: Wydziale Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej — w poniedziałki i piątki w godz. 14.00 — 16.00; — Wydziale Operatorskim i Realizacji Telewizyjnej — we wtorki i piątki w godz. 15.00 — 17.00; Wydziale Aktorskim — w poniedziałki i soboty w godz. 16.00 — 18.00; — Wyższym Studium Zawodowym Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej w poniedziałki i czwartki w godz. 12.30 — 13.30 oraz dodatkowo środy w godz. 10.00 — 13.00 w Zespole Filmowym „PERSPEKTYWA”, Warszawa, ul. Puławska 61.

Przewidywany termin egzaminów wstępnych: 9—28 czerwca 1986 roku.

Tegoroczni absolwenci szkół średnich składają dokumenty o przyjęcie na I rok studiów poprzez szkolne komisje rekrutacyjne, zaś maturzyści z lat ubiegłych oraz absolwenci wyższych uczelni bezpośrednio do sekretariatu Uczelni pod adresem: 90-323 Łódź, ul. Targowa 61/63, tel. 74-39-43.

Termin składania podań na rok akademicki 1986/87 upływa 31 maja 1986 roku.

RATUJĄCIE LASY!

Przygębiam nas to, co dzieje się z lasami w gminie Przedbórz, na terenach nadpiliczańskich. Lasy tutejsze są naszym zdaniem, w sposób rabunkowy wycinane. Nie tylko niszczy to krajobraz, ale i nasze ziemie rolnicze, które wysychają i pustyńnią z braku wilgoci. Brakuje wody w studniach i coraz mniej jest jej w rzecze Pilicy. A ta przecież zasilia wielkie miasto włókiennicze Łódź w wodę pitną! Poza tym nie tak daleko powstaje Zagłębie Bełchatowskie, jego działalność pozbawia wody olbrzymie pola cieple ziem i bardzo dużym promieniu. Zdrowy rozsadek nakazuje, żeby zostawić te większe lasy, które stanowią naturalną ochronę wody, powietrza, wilgoci i przede wszystkim naszej ziemi. Pisała na ten temat już „Trybuna Ludu” i „Odgłosy”. Tymczasem lasy nawet przy drodze Przedbórz—Włoszczowa, jeszcze niedorodnięte i male idą pod siekiere.

Ludzie się śmieją, że Międzynarodowy Rok Lasu zainicjował nam negatywnie to resztki lasu, jakie jeszcze posiadamy.

JOZEF SOLTYSIK
(Dobromierz)

NOTATKA URZĘDOWA

Autorytet sądu buduje się w różny sposób. W głównej mierze składa się na niego praca sędziów, ich wiedza fachowa, styl pracy, ogólny poziom kultury. Ale nie można zapominać, że nie mniej ważny jest obraz sądu, który powstaje na tzw. rzut oka.

Sądy rozpoznają rocznie setki spraw, ale dla każdego „klienta” sądowego każda sprawa jest jedyna, niepowtarzalna, najważniejsza. Jego kontakt z sądem może być krótki, jednorazowy, ale na tej właśnie podstawie ukształtuje się obraz wymiaru sprawiedliwości. Ważne jest zatem wszystko to, co łączy się z sądem jako instytucją. Sytuacja sądu przy ul. Nowotki 21 jest najlepszym (?) przykładem: jak mnie widzą, a jak mnie widzieć nie powinni.

W szczególnie trudnym położeniu znajduje się sąd pracy (VIII Wydział), który nawet nie ma własnej sali posiedzeń w macierzystym budynku. Sesje odbywają się po sąsiedzku, w budynku państwowego biura notarialnego. Wodróżki uczestników postępowania oraz składów sądujących przez, łączący oba budynki, dziedzińce, a jakże, przypominają o obrazie, który miał się ukształtować przez baczną obserwację. W tym konkretnym przypadku niepotrzebna jest baczną obserwacja, niepotrzebna jest jakakolwiek obserwacja.

Na pierwszy i drugi rzut oka wiadomo o co chodzi, na dalszy na trzeci. Otóż: na pierwszy rzut oka widać śmietnik, na drugi — sterty nie uprzątniętego gruzu, na trzeci — odrapane mury. Na więcej rzutów nikt się nie zdobywa, tylko czym prędzej znika w głównym budynku, chyba tylko przez zapomnienie nie nazwanym pałacem (sprawiedliwości, oczywiście).

Zimą sprawa uatrakcyjnia się podwójnie; przepychając się przez zasypy śnieżne, przepychając się może skoncentrować się na oblodzonej drodze, gdyż musi bacznie rozglądać się na wszystkie strony, aby w razie upadku, ktoś nie upomocnił w tej materii nie ogłoszono upadłości sądu. Nie wspomnę już, że wraz z wysokością nie sprzątniętych śnieżnych zasp rośnie także autorytet sądu. Wiosna też ma swoje dobre strony: błoto, roztopy, kałuże, tylko czekać na kumkanie żab — w takim akompaniamencie publikacja wyroków stanie się upojną muzyką. Jesień prezentowała się równie okazale, wzbogacona jednakowoż o odgłosy kichania wszystkich tych, którzy w trakcie sesji sądowej mieli akurat coś do załatwienia w jednym lub drugim budynku, a nie posiadali kompletnego stroju do podwójnego joggingu.

Na uwagę zasługuje także oryginalny wystrój wnętrza sal sądowych, ze szczególnym uwzględnieniem sal nr 3 i 4 (szare-bure obydwie). Ściany w kolorze „szara maść” zdobią gustowne pajęczyny, kotki z kurzu i inne nie mniej uroklive drobniaki. Wzruszony tym dogłębnie personel wydelegował sędziów, aby w przerwach między przesłuchaniami świadków a naradą z ławnikami, chwycili za szotkę, ścierkę, tudzież inne akcesoria wymienione w przypisach do poradnika sądowego higienisty. Godne najdłuższej zażądności są pomieszczenia pracy całego personelu; już sekretariat, jako wizytówka sądu, ale i pokoje sędziów powodują ścisłą duszę. Dusza czarna. Ściany — także same.

Problem sądu pracy jest o tyle przykry, że najczęściej na ławę sądową trafiają ludzie, którzy spotkali się z balaganem we własnym zakładzie pracy. Teraz mogą służyć fachową radą, jak ów balagan pogłębić.

Kierownictwo sądu niejednokrotnie zwracało się z uprzejmą prośbą do władz miasta o przydzielenie nowego lokalu dla sądu pracy o cokolwiek znośniejszym wyglądzie. Podobno wkrótce sytuacja ma ulec zmianie, ale jak mówi stare polskie przysłowie: na świętego Nikodema jest deszcz albo go nie ma.

BARBARA KEMPA

„SŁODKA CHATKA Z MARCEPANA”

Przed ukazaniem się artykułu Jolanty Wrońskiej w nr 7/86 „Odgłosów” z 15.02.86 autorka przeprowadzała liczne rozmowy z mieszkańcami bloku przy ul. Zamenhafa 1/3. Jako użytkownicy „Bólki” podaliśmy szereg krytycznych uwag pod adresem projektanta i wykonawców, z których autorka wykorzystała tylko część i to w formie wyidealizowanej. Zdziwiła nas odpowiedź mgr inż. J. Kaźmierczaka w „Odgłosach” nr 11 z 15.03.86, w której uważa, że „autorka skierowała najbardziej kasiwe słowa krytyki za złą jakość... nie oszczędza robotników budowlanych zarzucając nieuczciwość i złodziejstwo”.

Na spotkaniu mieszkańców bloku z Zarządem ŁSM i kierownictwem robót, lokatoryzy podawali liczne przykłady kradzieży materiałów budowlanych, opieszałość w wykonywaniu prac, marnotrawstwo materiałów oraz niewłaściwy front robót.

Pisząc w imieniu mieszkańców, stwierdzamy, że wszyscy domagamy się poszanowania także naszej pracy. Nie tolerujemy i nie będziemy bronić wątpliwego prestiżu pracujących na ciagle trwającej budowie naszego bloku. Jeżeli uważa się, iż autorka i my nie mamy racji, że ucierpiał honor robotnika, to zapraszamy do nas w godzinach pracy, aby na miejscu ocenić obowiązkowość, rzetelność, uczciwość i efekty pracy robotnika budowlanego. Chętnie pokażemy zalane betonem piwnice, ze zniszczonym sprzętem i zimowymi zapasami, hałdy gruzu wysypywane na każde wolne miejsce, zakrzepły beton na chodnikach. Prestiżu budowlanych nie podnieś głoś z za biurka, ale uczciwa, solidna i fachowo wykonana praca.

Już w czasie odbioru kluczy, lokatoryzy zgłaszali liczne usterki, których usunięcia normalnym trybem nie można było wyegzekwować, podczas gdy te same prace w ramach „fuchy” wykonywane były natychmiast. Proponujemy dla jasności obrazu, sięgnąć do protokołów mieszanej komisji ŁSM i ŁKB — Śródmieście dokonanej na interwencję mieszkańców, przed upływem roku eksploatacji budynku. Lektura tego protokołu rzuci pewne światło na jakość prac budowlanych i będzie naprawdę interesująca.

Szkoda tylko, że nikt z zainteresowanych tym prestiżowym budynkiem nie znalazł nigdy chwili wolnego czasu na spotkanie z bezpośrednio zainteresowanymi. Ciagle jeszcze czekamy i wierzymy, że do takiego spotkania może dojść.

Do napisania tego listu do redakcji „Odgłosów” zostaliśmy zobligowani na spotkaniu Komitetu Domowego z użytkownikami, jakie odbyło się 12 marca 1986 roku.

Za Komitet Domowy
ANDRZEJ WÓJTOWICZ
TOMASZ NOWOSIELSKI

OD REDAKCJI: Powyższy list publikujemy na zasadzie, że trzeba wysłuchać każdą ze stron. Sądymy jednak, że wszystkie sporne sprawy należy wyjaśnić wśród samych zainteresowanych. Mamy nadzieję, że do takiego spotkania dojdzie i będzie ono pożyteczne dla wszystkich. Na tym zamykamy dyskusję wokół „Słodkiej chatki z marcepana”.

SKĄD TO SIĘ BIERZE?

Przeczytałam w „Odgłosach” felieton „Dwadzieścia centymetrów”. Otóż i ja miałam podobne zdarzenie i to niejednokrotnie. Kolejki, a zwłaszcza zachowanie się „kolejkowego motłochu” to egipska plaga. To pchanie się z tyłu na czołwieka, podstawianie śmierzącego cielska — proszę wybaczyć, ale jak to nazwać? — Kichanie, kasłanie, smarkanie w tył głowy toż to obraz zdżdzienienia obyczajów.

I ja miałam scysję z łódkami paniusiami, gdy — nie reagowałam słowem — ale odsuwałam się tylko, by mnie nie macyły po tylnej części mojej osoby. Usłyszałam: „że jestem wariatka, że mnie powinno się zamknąć w zakładzie zamkniętym” itp. epitety. Nie reagowałam, tylko wyszłam. Wstyd, ale bałam się oponować słowem, boby mnie może złinczowano.

Z obławami bezinteresownego już chamsztwa mamy do czynienia na co dzień. I tu nie wystarczy ani postawa stoicka, ani te „20 centymetrów”, gdyby człowiek był w pancerzu z opuszczoną przybicią, też by go zagryzł. Ze straszynem brudem fizycznym, bo że ludzie śmierzają to fakt, idzie w parze chamsztwo...

Przeżyłam wojnę, powstanie, rzeczy straszne, ale ludzie się szanowali, nie było takiej podłości. Pomagali sobie, a warunki — jakże, jakże były.

Sprawa brudu fizycznego bliźnich jest wstydliva, ale równie obrzydliwa. Ludzie się nie myją, nie piorą odzieży. To jest niechlujstwo zwykłe, bo co jak co, ale mydła, proszków było i jest u nas w bród. I na każdą kieszeń. Rozgadałam się, przepraszam.

Łącząc moc serdecznych pozdrowień!

Z poważaniem.

(J.P.)

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

BOLESŁAW BIERUT I KLEMENT GOTTWALD

„Odgłosy” nr 13 opublikowały „Przegląd prasy” poświęcony Bolesławowi Bierutowi. Pisząc o śmierci B. Bieruta „Odgłosy” cytują następujące zdanie prof. Zenobiusza Kozika:

„W podobnych okolicznościach i podobnym czasie zmarł Klement Gottwald, I sekretarz KC KPCz i nie znam wokół tego żadnych domysłów”.

Trudno zgodzić się z tym zdaniem. Bolesław Bierut zmarł 12 marca 1956 roku w Moskwie, ponad dwa tygodnie po zakończeniu obrad XX Zjazdu KPZR. Klement Gottwald zmarł 14 marca 1953 roku w Pradze, w parę dni po powrocie z pogrzebu J. Stalina (9 marca). Klement Gottwald nigdy nie był I sekretarzem KC KPCz tylko przewodniczącym KC KPCz oraz prezydentem Czechosłowacji.

Stanowisko I sekretarza KC ustanowiono w pół roku po śmierci Gottwalda.

W latach 1953—54 stanowisko I sekretarza utworzono we wszystkich europejskich krajach socjalistycznych. W Polsce w 1954 roku. Wyjątek stanowiła Jugosławia. Obecnie w krajach socjalistycznych na czele partii stoją sekretarze generalni KC z wyjątkiem Polski i Albanii, a w Jugosławii przewodniczący Prezydium KC.

Przesyłam pozdrowienia

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

Wojtek studiuję medycynę. Kilka wakacyjnych miesięcy spędził w Kenii. Któregoś wieczoru siedzieliśmy ładnych parę godzin, przy niskim stoliku, obstawieni czarnymi rzeźbami przedstawiającymi przerażające postacie ludzkie. W rogu pokoju bęben z matpiej skóry. Oto opowieść Wojtka.

— Do Nairobi leciałem Lufthansą. Przez Frankfurt. Bardzo długi lot. W Polsce zima. Święta Bożego Narodzenia, a w Kenii gorąco. Jedynie w Nairobi można wytrzymać. Miasto leży na płaskowyżu, na wysokości około 1800 metrów. Klimat jest śródziemnomorski. Dla Europejczyka wymarzony. W pozostałej części kraju — zwrotnikowy. Gorąco i wilgotno.

Jechałem do ojca, który mieszka w przyzwolonej dzielnicy. Ładne domy, szerokie aleje, dywany kwiatów, wystrzyżone trawniki. Niedaleko od jego domu zaczynały się dzielnice nędzy. Były jak skłcone budy, w których mieszkała biedota. Ściągali do miasta ze wsi i nie byli ani mieszkańcami miasta, ani wsi. Budy kleili z tektury, dyktu, starych opakowań, z blachy samochodowej. Nędza, brud i okropny smród starego przypalonego tłuszczu i prażonej kukurydzy.

NAJBIEZPIECZNIEJ W SAMOCHODZIE

Każdemu przyjeżdżającemu po raz pierwszy do Kenii udziela się niezbędne informacje jak ma się zachowywać w różnych sytuacjach. Nieprzestrzeganie tych zasad może pociągnąć za sobą bardzo przykre konsekwencje. Nie wolno poruszać się po mieście pieszo po godzinie 19.00. Zmrok zapada pod równikami bardzo szybko. I wtedy robi się niebezpiecznie. W ciągu dnia, owszem można spacerować, ale też nie wszędzie. Nie można zatrzymywać się samochodem jadąc przez przedmieścia. Biedota z przedmieść jest demoralizowana i agresywna. Nie tylko dzieci, ale i dorośli rzucają kamieniami w przejeżdżające samochody. Co innego we wsiach położonych z dala od Nairobi. Tam gdzie nie ma tylu turystów.

Jechałem do ojca, który mieszka w przyzwolonej dzielnicy. Ładne domy, szerokie aleje, dywany kwiatów, wystrzyżone trawniki. Niedaleko od jego domu zaczynały się dzielnice nędzy. Były jak skłcone budy, w których mieszkała biedota. Ściągali do miasta ze wsi i nie byli ani mieszkańcami miasta, ani wsi. Budy kleili z tektury, dyktu, starych opakowań, z blachy samochodowej. Nędza, brud i okropny smród starego przypalonego tłuszczu i prażonej kukurydzy.

Gnał jak szalony. Chyba z siedemdziesiąt mil na godzinę. Po kilku minutach, gdy rozwił się za nim tuman kurzu, wjechał do wioski. Na środku drogi leżało to, co zostało z przejechanego dziecka. Krwawy ośmiopalcowy, który mieszkańcy mijali z pozorną obojętnością. Ani kierowca, ani my nie zatrzymaliśmy się. Gdybyśmy to zrobili, rozszarpano by nas w okamgnieniu. Nie miałyby znaczenia to, czy byliśmy sprawcami wypadku, czy chcieliśmy nieść pomoc ofierze.

Ta reguła obowiązuje w mieście i na wsi. O wypadku melduje się na najbliższym posterunku policji, podając swoje dane.

MASAJ STOI ZAWSZE NA JEDNEJ NODZE.

To, że dzielnica była elegancka, nie zapewniało ani ojcu, ani innym mieszkańcom bezpieczeństwa. W Nairobi grasują bandy, które napadają na eleganckie domy. Wtedy trzeba wskazać miejsce, gdzie się przechowuje żądane przedmioty. Opór nie ma sensu. Wprawia ich we wskleśność i wtedy zabijają bezlitośnie. A w koszt ubezpieczenia wliczone są z pewnością straty poniesione w napadzie.

Przed domem jest dozorca, u bogatych czterech. Ale dozorca na ogół ucieka i nie stanowi praktycznie żadnej ochrony. Dlatego niektórzy zatrudniają Masajów. To dumni ludzie, którzy nigdy nie ustępują pola przeciwnikowi. Masaj zginie, ale nie podda się. Ubrani w swoje tradycyjne przepaski spleta na ramieniu, nadszy pod materiałem w czerwone wzory, stoją na straży przez całą noc na jednej nodze. Druga ugięta w kolanie. Zazwyczaj uzbrojeni są w dżdż i tarczę.

— Gdzieś tutaj taką mam — Wojtek rozgląda się po pokoju, wychodzi do kuchni i za chwilę zjawia się uzbrojony w krótką dżdż i tarczę w brązowo-czerwono-białe, symetryczne wzory. Dzida jest w środkowej części z drewna. Górny i dolny odcinek, długości około 50 centymetrów, to pręty żelazne. Górny zakończony ostrym szpicem.

— Dzida jest oryginalna. Wprawdzie dziecięca, bo chłopcy masajscy od małego dziecka przyzwyczajają się do broni, ale była używana przez dorosłego Masaję. Natomiast tarcza jest wyprodukowana specjalnie dla turystów.

Byłem w wiosce masajskiej. Domki, lepianki wystają moze metr ponad ziemię. Masajowie hodują kozy i specjalną odmianę bydła. Maleńkie krowy. Gdy pastwiska się kończą, to przenoszą się na inne tereny. Kobiety budują domy. Szkielet konstrukcji z gałęzi. Ściany lepią z krowiego łajna zmieszanego z gliną. Masajowie żyją na bardzo suchym terenie. Brakuje tam wody i wilgoci. Toteż mokre łajno pełni funkcję zaprawy i cementu. Myją się tylko raz do roku i to jest wielkie święto. Nawet ci, którzy mieszkają w mieście nie myją się dużo częściej.

Masaj przenosi się do miasta tylko na krótki czas, a potem wraca na sawannę. Naczylnia myja krowim mocem. Spotkanie z Masajem wcale nie należy do przyjemnych doznań estetycznych. Zaropale do nieprawdopodobieństwa oczy, w których kąkicach zawsze gnieżdżą się po dwie, trzy muszki. Mimo ciemnej skóry, ich rysy wcale nie są negroidalne — nie są Murzynami. A młode dziewczyny masajskie, dopóki nie urodzą dzieci, są według naszych, europejskich kanonów urody bardzo ładne, szczupłe, wysokie, zgrabne. To plemię ludzi wysokich. W tej chwili nie są czysci rasowo, gdyż w latach sześćdziesiątych dziesiątkowała ich kila. Kobiety i mężczyźni byli nieplodni. Dlatego Masajowie kupowali z sąsiednich plemion murzyńskich dzieci i wychowywali je na Masajów.

Nie wolno ich fotografować bez zapytania o zgodę. Zwykle nie stawiają przeszkód, lecz ci żyjący bliżej miasta domagają się niewielkiej opłaty. Pamiętam takiego starca masajskiego, który siedział pod stacją benzynową, w stroju narodowym, miał stałą taryfę i za drobną sumkę można go było obfotografować. A przed moim przyjazdem, kilku Niemców robiło zdjęcia we wsi masajskiej z powoli jadącego samochodu. Po kilku godzinach wracali przez tę samą wieś. A nazajutrz znaleziono ich martwych. Masajowie ulegają wpływowi cywilizacji białego człowieka. Ale ci, z dala od Nairobi położonych regionów kraju, zachowali jeszcze stare obrzędy. Na przykład chłopak, który wchodzi w wiek męski, dla zademonstrowania swojej dojrzałości, musi samotnie, taką właśnie dzidą i chroniąc się tarczą upolować lwa.

KŁUSOWNICY NA SAFARI

Największą atrakcją są oczywiście parki narodowe — safari. Od kilkunastu lat nie wolno tam polować, ale kłusowników nie brakuje. Są nieuchwytni. Polują z helikopterów. Dysponują nowoczesniejszą bronią szybkostrzelną. Zabijają na zlecenie bogatych Europejczyków albo handlarzy. Stoją, nosorożce i żyrafy. Dla skór, kłów i kości. Największy park to — Tsavo National Park i najciekawszy. Jechałszy przez wysokie trawy sawanny. Gdzieś niedaleko drzewa. Dalej busz i łagodne pagórki. Nagle w oddali zobaczyłem poruszające się niewielkie punkciki. Zatrzymał się samochód. Powoli, jak na zwolnionym obrazie zbliżył się do nas słonie. Cała rodzina, ze śmiesznymi małymi słoniatkami. Nagle za nami klakson, ktoś krzyczy, że zatarasowaliśmy drogę. Słychać śpiewy. To Amerykanie na safari. Jeź-

dzą po parkach narodowych z szybkością 70 mil, trąbią na wszystko co im staje na drodze i filmują.

Nosorożce są niezgrabne, ociężałe. Są szybko nogi gazy i antylopy. Na safari nie wolno wysiadać z samochodów, można jeździć tylko samochodami z dachem, bo zdarzały się wypadki, że zwierzęta wskakiwały do środka stojących na drodze samochodów. Kilka lat temu wyświetlano film o mroźnej krew w żyłach historii, jaka zdarzyła się w Ambuselli — parku narodowym, w którym żyją Masajowie.

Przy drodze znalazła się lwa rodzinna. Oczywiście ciekawi turysci natychmiast zatrzymali się i po chwili utworzył się długi rząd samochodów. Robiono zdjęcia, filmowano. Z jednego ze stojących na czele samochodów wyszedł kierowca i z bezpiecznej odległości filmował zachowanie się lwicy z małymi. Nie zauważył, że z tyłu skrada się lew. Nikt nie krzyknął. Nie ostrzegł. Lew rzucił się na człowieka. W następnym samochodzie siedział facet, który całą scenę filmował. Nikt nie ruszył napadniętemu z pomocą. Podjechał jeep ze strażą parku. Zatrąbił i lwy uciekły. Poszarpany zmarł. Facet, który filmował zbił na tym duży majątek. Jego film zrobił furorę na całym świecie.

ŚLADY LWA NA PIASKU

Siedzieliśmy większą grupą na tarasie jednego z trzech wynajętych przez nas domków. To dawne domki myśliwskie. Stąd oprócz kuchni i dużego pokoju, także pomieszczenie z hakami wbitymi w ściany. Tam wieszano upolowane zwierzęta. Teraz domki wynajmują się turystom, którzy chcą, jakiś czas spędzić w parku narodowym. Wieczór. Czworku z nas gra w brydża. Dwoje siedzi na barierce okalającej ganek. Sączymy drinki i rozmawiamy o dniu spędzonym na safari. Nagle z pobliskiego buszu dobiega pomruk zagniewanego zwierzęcia.

Gdy na ganku siedzi lew

— To lew — krzyczy Paweł. Wszyscy zrywamy się na równe nogi i wpadamy do domku. Barykadujemy drzwi. Uzbrojeni w jeden noż myśliwski-bowie, pangę i dżdż, nie zdajemy sobie sprawy w zdenerwowaniu ze śmiechów naszej broni. Rzeczywiście widać za oknem lwa. Trudno go zauważyć, bo kolor skóry zlewa się z kolorem sawanny. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że lwy nie atakują grup ludzi, a rzucają się tylko na pojedynczego człowieka. Lwica z małymi paradyła przed domkiem. Po pewnym czasie, który wydał nam się wiekiem, a tak naprawdę to był trzy godziny uwieczniony, lwica znika. Ośmielamy się wysunąć nos zza barykadę i chylkiem uciekamy do swoich domków.

Ja mieszkam z Pawłem. Jesteśmy bardzo zmęczeni, bo to był nasz pierwszy dzień na sawannie. Toteż szybko zasypiamy, ale w położonym na samym skraju polanki domku mieszkają dwie Agaty. Całą noc lew chodzi koło ich domku, który kryty trzcinowym dachem jest raczej symbolicznym zabezpieczeniem. Wystarczy pachać łapą, a gliniane ściany rozsypią się. A co dopiero lwia łapa! Przerażenie naszych Agat sięga szczytu, gdy tuż obok, metr za drzwiami, słysza stapanie i pomruk lwa paradyłującego na ganku. Z hukiem leci przewrócona szafka na naczynia. Dziewczyny do rana nie zmrzą oka. Natomiast my, wypasni, rzeżcy, wypoczęci, wstawamy rano i śmiejemy się z dziewczyn. Robi nam się nieswojo, gdy widzimy przewróconą szafkę i gdy na piasku, tuż koło schodków prowadzących na ganek domku Agat, dostrzegamy wyraźnie odciski śladów lwiej łapy.

Noc kenijska nie należy do najspokojniejszych. Opętane wrzaski nocnego ptactwa, chrobotanie winnych, zielonych jaszczurek, które żają po ścianach, charczenie nieszczęśliwych ofiar nocnych polowań, pomruki lwów, harce małp dokuczających na dachach domków i chichoty hien — taki koncert trwa do świtu.

CO TO ZNACZY JECHAĆ MATATU?

Większą grupą młodzieży, w ośmiorgo, czy dziesięciorgo planowaliśmy wybrać się na prawdziwą wyprawę, wysoko w góry Kenii. Ponad 2000 metrów. Najpierw trzeba by było jechać matatu.

Poza komunikacją autobusową i bardzo drogimi kolejami, matatu są najbardziej popularnym środkiem komunikacji. I najniebezpieczniejszym. Kenijczyk, który zaoszczędził trochę pieniędzy kupuje starą, zdezelowaną furgonetkę. Stan techniczny nie gra roli, bo w Kenii nie ma przeglądów. Brak hamulców i wady w układzie kierowniczym są najczęstszymi przyczynami wypadków. No i brawura, i niefrasobliwość kierowców. Nie było

dnia, żeby na naszej drodze do domu w Nairobi nie dopałały się wraki samochodów. Widziałem, jak w centrum miasta, dwóch Murzynów przez otwarte okna jadących obok siebie samochodów podawało sobie ogień. A pędzili z szybkością 70 mil na godzinę.

Matatu są obciążane pasażerami poza wszelkie dopuszczalne przez producenta furgonetek normy. Ludzie siedzą na przyczepie, wiszą poza kabiną. Trochę to przypomina tramwaje z ery sprzed automatycznych drzwi. Tylko, że kierowca matatu stawia sobie za punkt honoru gnać tak szybko jak tylko się da. A to, że pasażer wypadnie? Straty muszą być, nikt się tym nie przejmie. Najważniejsza jest szaleńcza jazda przed siebie.

Są takie rejonu kraju, dokąd dojazd jest możliwy tylko matatu. W taki sposób mieliśmy przeżyć pierwszy odcinek trasy, dalej dwudniowa, piesza wędrówka górkami bezdrożami, na wysokości tysiąca metrów. Niestety musieliśmy zrezygnować z tej wyprawy i zamiast niej wybrać się nad Jezioro Wiktorii, przez które przebiega granica trzech państw: Kenii, Tanzanii i Ugandy.

Mamy zatrzymać się blisko brzegu jeziora na farmie znajomego jednej z dziewcząt. Do rancha dojeżdża się autobusem, a białe autobusy to prawdziwa sensacja. Siadamy na tylnym siedzeniu, a wszyscy pasażerowie jakby się umówili, na trzy cztery odwracają się w naszą stronę i tak gapią się na nas przez całą, trwającą kilka godzin podróż. Komentarze poparte przyjacielskimi uśmiechami są wyrażnie życzliwe. Niestety, nie możemy się porozumieć z próbującymi nawiązać z nami kontakt mężczyznami. Kobiety i młodzież zachowują ostrażną rezerwę. Nikt nie zna angielskiego, ani suahili, drugiego obok angielskiego języka urzędowego. Masajowie mówią językiem maa, ci tutaj bantui. Także na dworcu autobusowym, którym jest ogromnej wielkości klepisko z małą, obokurką budą, w której czarni chłopiec sprzedaje napoje, towarzyszy nam zainteresowanie. Przychodzi do nas, wyciąga ręce, ostrożnie, mówi coś, pobliksując w uśmiechu białymi zębami, białkami oczu.

Wreszcie wyładowaliśmy u farmera. Willy Burnley jest starszym panem, około siedemdziesiątki, suchym, wysokim. Nosi na głowie kapelusz kowbojski i wcale nie wygląda na arystokratę. Przed wielu laty, jeszcze przed II wojną światową, prowadził tak hulaszczy tryb życia, że bogata, arystokratyczna rodzina angielska postawiła mu ultimatum: albo Australia lub Afryka, albo wydziedziczenie. Wybrał Kenię, dostał trochę pieniędzy na założenie farmy i żyje razem z żoną Mable od 40 lat.

Namiot rozbił na skraju łąki. W nocy z niego nie wychodził, bo grasują w pobliżu hipopotamy. Całe pole mi straszały. Namiotu nie zaatakują, ale jak z niego wyjedziecie, to może być różnie, powiedział nam na powitanie.

Hipopotamy wyraźnie przstraszyły się naszego Helu-3, bo noc minęła spokojnie.

Następnego dnia wybraliśmy się na ryby. Przy brzegu nie chcieli brać.

— Popłynęliśmy do tamtego konaru, który wystaje z wody, powiedział Paweł wskazując na szary bal sterujący przy przeciwnym brzegu zatoczki. Podpłynęliśmy. Próbowaliśmy zacumować, a tu jak na filmach rysunkowych — bal rusza się. Odpływa od nas i po chwili wynurza się małe uszka, a pod nimi potężny łeb hipopotama. Był bardzo sennie i łaskawie usposobiony. Zaprezentował nam w potężnym ziewnięciu, żółte zębiska w potężnej paszce i pożegłował przed siebie prując uszkami taflę Jeziora Wiktorii.

Z ryb wyszły nici, ale za to mogliśmy się wykapać. Wprawdzie Paweł musiał już kiedyś mocno wyciągnąć nogi, gdy chcąc wykapać się przy brzegu natknął się na krokodyla, lecz na środku jeziora, na głębokiej wodzie można się śmiało kąpać. Nie ma tam ani krokodyli, ani wywołujących bilharezję — pałczytów. I jedne, i drugie taplają się w płytkiej wodzie przybrzeżnych kałuż. Wskoczyliśmy więc do wody, na środku zatoczki Jeziora Wiktorii, ale nie była to przyjemna kąpiel. Wciął to uczucie, że coś podplynie i złapie pod wodą za nogę.

CO TO JEST MACONDA?

Na sawannie najpiękniej jest o świcie. Mgły niczym szale owijają się wokół drzew. Czerwień i brąz ziemi nie są tak nachalnie drażniące, a przetykają mgłę niczym delikatne rudawo-żółte nici. Ponad mgłą i koronami drzew wznosi się ubrany w białą czapę lodowca szczyt Kilimandżaro. Nie jest to jedyna śnieżna góra Kenii i Afryki, ale tylko Kilimandżaro sprawia wrażenie czegoś nieosiągalnego, nierealnego, co wzbudza tęsknotę za nieodgadnionym. Na dole upały, czerwony kurz, a tam het ponad mgłami i wypaloną równiną słońcem ziemią lśni śnieg.

Ciekawe zwierzęta można spotkać tylko na sawannie. Jedną z kawiarenek na granicy Kenijskiego Parku Narodowego, który jest prawie parkiem podmiejskim Nairobi, słynie z gerez rudych. To niewielkie, śmieszne małpki, które platają prawdziwe matpie figle. Zachowują się jak absolwenci dobrej szkoły cyrkowej, co najmniej z Jelinka. Zmęczony wrażeniami i upałem turysta siedzi wygodnie przy stoliku. Sącząc przez słomkę lodowaty koktajl. Niepotrzebny w takiej chwili aparat położył obok siebie. Na białe stoliczka. Jest pod ręką. Nagle zjawia się pierwszy małpizjon. Podskakuje, stroi śmieszne minki. Zajmuje uwagę turysty. Wykrzywia się cudacznie, jakby chciała powiedzieć: „Ale jesteś sztywniak! Chodź, powyglądaj się trochę. Rusz się!”. Tymczasem kompan pierwszej, inny kuty na cztery nogi cwaniak, też gerez rudy, łaps po aparat i w nogi. Atrakcją dla wszystkich są pogonie poszkodowanych turystów za gerezami rudymi. Kenierzy śmieją się do rozpuku, bo pogoń za małpizjonami jest ważnym punktem programu kawiarenek. Sami jednak mocno ścisną zęgarki, długopisy, bloczek z rachunkami. Ale biada beztrojskiej widowni. Wystarczy chwila nieuwagi, a już zagapienie w salwach śmiechu pędzi za kolejną parką rudych gerez.

Przyznam się, że lubiliśmy chodzić z Pawłem na tyły wielkich hoteli. Tam obserwowaliśmy pawiany, które przychodziły całymi stadami. Zjawiały się też obrzydliwe trupojady. Pawiany walczą z nimi bez pardonu. A gdy są same, można zauważyć bardzo silną hierarchizację ich społeczności. Oto młody pawian znalazł coś interesującego. Jeszcze nie zdążył tego dobrze obejrzeć, przysunął do pyska, a tu nagle cap, prask, dostaje po plecach łapą albo zębami od starszego. Temu odbiera jeszcze większy, też przy użyciu zębów i łap. Wreszcie pora na bossa. To najczęściej posiwały, olbrzymie pawiany. Wcale nie musi szczyrzyć kłów, jak to robią mniejsze i młodsze pawiany. Wolniutko, prawie mimochodem, idzie panisko po porzucony kawałek. Wszyscy przed nim się rozstępują, prawie w pas kładą. On pewny ewolucyjnej siły, łaskawy, jeżeli delikcie postawiło się bez zbytnich ceregieli. Dla zadufanego, albo takiego, który bossa nie zauważył, kara jest straszna. Bliźni po klach i pazurach pozostają na całe życie.

Natura jest tam tak silnie związana z człowiekiem, tak blisko, że nie można o niej zapomnieć ani na chwilę. Myślę, że i Maconda jest wyrazem strachu przed żywiołami. To rzeźba przedstawiająca płatannę ciał. Otacza ją tajemnica. Nawet taki znawca przedmiotu jak Jan Odrobą-Pieniążek, który od blisko 30 lat mieszka w Kenii i kolekcjonuje Macondy nie potrafił mi wyjaśnić pochodzenia tej nazwy. Pozostałe rzeźby, które tu widzisz nie mają większej wartości. To „Cepella”. Tylko ta jedna jest autentyczna. To własność szefa plemienia. Pokazuje się na zgromadzeniach publicznych zawsze z nią. W ten sposób daje do zrozumienia, że ma władzę nad plemieniem.

Przyglądam się czarnej rzeźbie z hebanu. Przedstawia człowieka o wydatnych murzyńskich wargach, podłużnej głowie i dwóch brzuchach umieszczonych jeden nad drugim.

Zanotował:
ANDRZEJ BETULSKI



Swiat arabski lub „ojczyzna arabska” liczy 21 państw suwerennych i niepodległych zajmujących obszary rozciągające się od Oceanu Atlantyckiego na zachodzie aż po Ocean Indyjski na wschodzie, czyli północną Afrykę i część wschodniej oraz cały wschodni Bliski Wschód. Jest to terytorium w przybliżeniu równe całej Europie bez europejskiej części ZSRR. Natomiast ludność zamieszkała w tym rejonie świata w 1980 r. wynosiła około 170 mln osób — według szacunków ONZ.

KTO NALEŻY DO „OJCZYZNY ARABSKIEJ”

Do świata lub ojczyzny arabskiej zalicza się wszystkie kraje należące do Ligi Państw Arabskich, która liczy 22 członków. Są to: Algieria, Arabia Saudyjska, Bahrajn, Dżibuti, Egipt, Irak, Jemen Północny, Jemen Południowy, Jordania, Katar, Kuwejt, Liban, Libia, Maroko, Mauretania, Oman, Somalia, Sudan, Syria, Tunezja, Zjednoczone Emiraty Arabskie oraz Organizacja Wyzwolenia Palestyny, która od 1976 r. jest pełnoprawnym członkiem organizacji jako legalny reprezentant narodu palestyńskiego.

Wymienione państwa w odróżnieniu od innych rejonów świata zamieszkałe są przez społeczeństwa należące do jednej grupy narodowej, a mianowicie — arabskiej. Przynależność do jednej nacji oznacza istnienie wspólnych więzi między ludnością zamieszkałą w poszczególnych państwach arabskich. Do nich należą: wspólny język (arabski), historia, kultura oraz religia (islam). Ponad 90 procent społeczeństwa arabskiego wyznaje tę religię, co jest podkreślone w konstytucjach państwowych. Nawet w Jemenie Południowym, który obrał drogę rozwoju socjalistycznego opartą na założeniach marksizmu-leninizmu, w konstytucji podkreślono, iż oficjalną religią państwa jest islam.

CZY JEST ISLAM?

Islam stanowi nie tylko system wyznaniowy, obejmujący zarówno dogmatykę religijną-filozoficzną (iman), jak i praktykę obrzędową (din). Islam praktycznie reguluje wszystkie strony życia członków wspólnoty — normy zachowania się ludzi w społeczeństwie, problemy rodziny i małżeństwa, problemy spadkowe, stosunek do świata zewnętrznego itd. Bowiem Koran jako święta księga muzułmanów składa się z 114 sur (rozdziałów) i 6226 wersów czyli „znaków Boga”. Dwie trzecie z nich regulują stosunki międzyludzkie w formie różnych nakazów i zakazów natury moralnej, rodzinnej, społecznej i ekonomicznej, zaś pozostała jedna trzecia reguluje stosunek człowieka do siły nadprzyrodzonej. Stąd odpowiednie wersy Koranu w krajach muzułmańskich, m.in. arabskich, stały się podstawą organizacji państwowej, czyli inaczej zasadami konstytucji oraz normami postępowania i zachowania danej społeczności.

Aby bliżej wyjaśnić tę kwestię, przytoczymy pewne wersy, które regulują postępowanie władzy i członków społeczności muzułmańskiej. Na przykład werset drugi sury IV dotyczy sierot i obowiązków opieki nad nimi. Nakazuje on zarówno władzy jak i poszczególnym członkom społeczeństwa, sprawiedliwie ich traktowanie i czuwanie nad ich majątkiem.

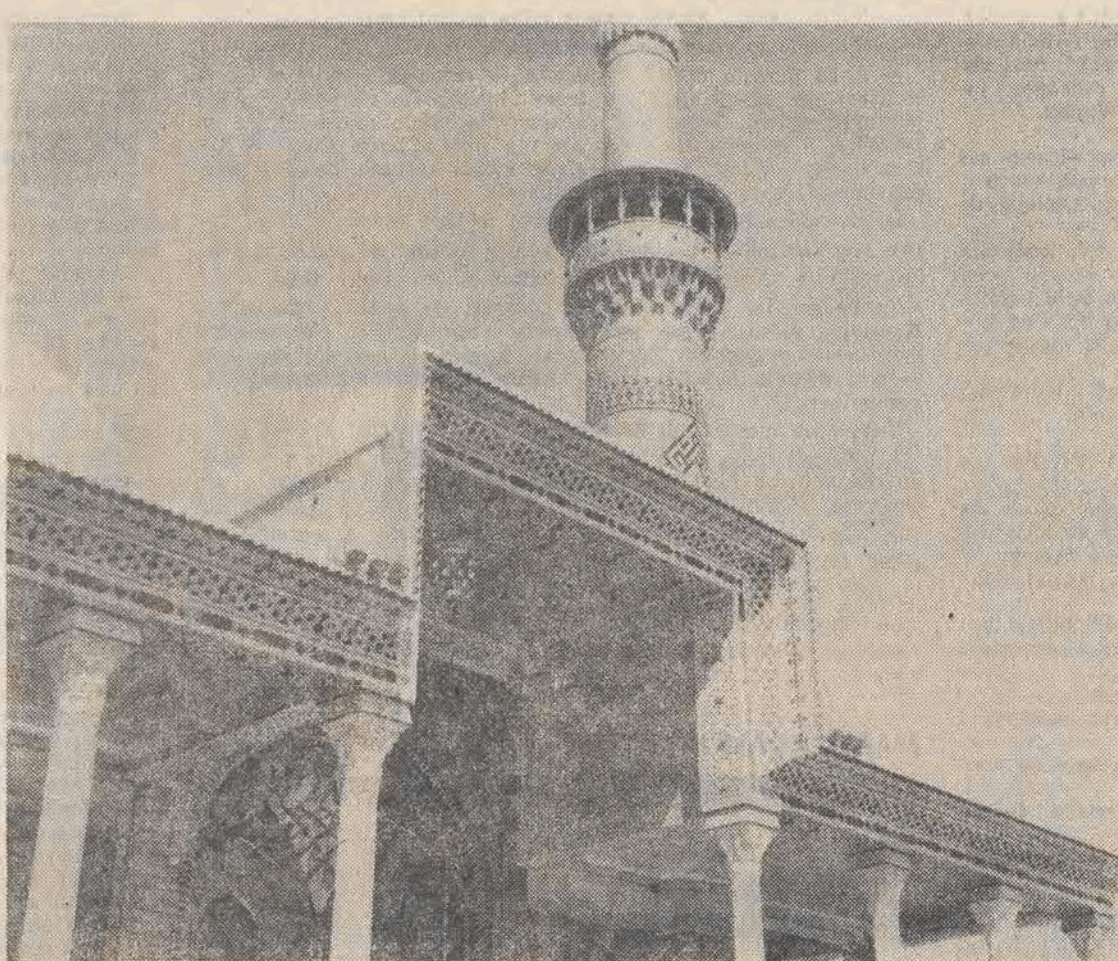
Werset ów brzmi następująco: „Dawajcie sierotom ich mienie, i nie zanieniacie tego, co dobre, na to, co jest złe. Nie zjadacie ich majątku, dołączając do waszego majątku. Zażę, to wielki grzech”.

Z fragmentu tego wyraźnie wynika, iż normy i przepisy prawa dziedzicznego oraz opiekuńczego państwa powinny zapewnić sprawiedliwość społeczną, eliminując jednocześnie przejawy wyzysku. Ponadto przepisy zawarte w Koranie regulują pewne aspekty życia ekonomicznego i postępowania władzy.

Na przykład w islamie znajdujemy takie pojęcia jak „zakat i sadaqa”, które oznaczają jałmużnę obowiązkową i dobrowolną. Pierwsza z nich polega na obowiązkowej przekazywaniu przez bogatych części dóbr na rzecz państwa. Państwo zaś jako reprezentant podzielił zgromadzone dobra pomiędzy biednych bądź przeznaczy je na cele dobroczynne. Natomiast zgodnie ze współczesną terminologią ekonomiczną przepisy, które miały miejsce w owych czasach w tym zakresie, można uznać za system podatkowy, który regulował i zapewniał w taki czy inny sposób sprawiedliwość społeczną. Ponadto islam zwraca uwagę na zjawisko stopy procentowej od depozytów lub pożyczek pieniężnych, które występuje pod nazwą „Riba”. Uważa się to za rodzaj lichwy i nie usprawiedliwiony sposób bogacenia się. Dlatego wśród społeczności muzułmańskiej osoby wierzące i praktykujące nie pobierają procentów od swoich depozytów pieniężnych, a przeznaczają je dla biednych i potrzebujących.

W Koranie istnieją również odpowiednie przepisy normujące sposób rządzenia. Jeden z nich nakazuje, iż osoby będące przy władzy winny rządzić sprawiedliwie. Nazwamy zdaniem oznacza to, że postępowanie i zachowanie każdej jednostki musi być sprawiedliwe bez względu na jej pozycję społeczną czy przynależność klasową. Innymi słowy, wspomniany nakaz powinien obowiązywać zarówno rządzących jak i rządzonych. I tym głównie tłumaczy się, że w krajach arabskich o tendencjach prosocjalistycznych dokonuje się nacjonalizacji kapitałów obcych, przeprowadza reformy rolne, wprowadza nieodpłatne szkolnictwo i opiekę zdrowotną itd.

Oczywiście trudno tutaj przytaczać treść wszystkich sur Koranu, bo zajęłoby to wiele miejsca. Jedynie można stwierdzić, iż islam w odróżnieniu od innych religii wyraźnie określa normy postępowania w życiu społeczno-ekonomicznym. Prof. J. Bielawski, specjalista od zagadnień islamu, określa w trafny sposób rolę tej religii wśród jej wyznawców, a mianowicie: „Islam wraz ze swoją świętą księgą — Koranem stanowi system norm politycznych i praw-



Islam i socjalizm w świecie arabskim

MUZHIM AL-NOORACHI

nych, zbiór zasad moralno-etycznych i reguł ekonomiczno-społecznych regulujących życie każdej wspólnoty muzułmańskiej od blisko czterech wieków. Stąd też jego znaczenie w świecie współczesnym i dokonywające się przemianach na obszarze zamieszkanym przez wyznawców jest bardzo duże. W takiej też sytuacji ścisłe więzi i obecność islamu w życiu politycznym i istniejących ideologiach świata arabskiego jest sprawą oczywistą, gdyż on sam jest ideologią, jest zarazem religią i państwem”.

ISLAM I SOCJALIZM

Wspomniany charakter islamu czyni z niego ważny czynnik wykorzystywany w określaniu strategii rozwoju społeczno-gospodarczego zarówno w krajach arabskich jak i muzułmańskich. Wszystkie bowiem rządy państw arabskich o tendencji rozwoju neokapitałistycznego czy prosocjalistycznego powołują się w programie przemian społeczno-gospodarczych na zasady islamu.

Zaś w grupie państw arabskich o zdecydowanej orientacji socjalistycznej, żeby nie wejść w konflikt z klerem, jak i ortodoksyjną interpretacją założeń Koranu, tłumaczy się wszelkie przemiany tym, iż islam jako system religijno-społeczny i polityczny obejmujący prawie wszystkich Arabów, jest prekursorem socjalizmu. Dlatego m.in. budowa socjalizmu w Algierii, Iraku, Libii, Syrii, Jemenie Południowym oraz Egipcie (do czasów rządów Gamala Abdela Nadera) nie jest traktowana jako etap przejściowy do budowy komunizmu, jak to ma miejsce w krajach, które opierają swój rozwój na ideologii marksizmu-leninizmu. Pozwoli to stwierdzić, iż budowa socjalizmu w tych krajach jest dążeniem do stworzenia nowych stosunków społeczno-ekonomicznych nie zawierających elementów wyzysku człowieka przez człowieka, do umocnienia pozycji państwa w życiu politycznym i gospodarczym jako reprezentanta ludu. Powyższe stwierdzenie wynika z samych przemian jakie dokonują się w tych krajach, a które polegają na rekonstrukcji i reorganizacji struktur politycznych, ekonomicznych i społecznych, likwidacji feudalizmu, uspołecznieniu środków produkcji, rozwijaniu różnych form spółdzielczości. Innymi słowy można to określić jako dążenia do likwidacji wadliwych struktur społecznych i ekonomicznych odziedziczonych po kolonializmie.

CO DAJE SOCJALIZM KRAJOM ARABSKIM?

Droga przemian typu socjalistycznego we wspomnianej grupie państw jest określona w konstytucjach. Na przykład w konstytucji algierskiej artykuł 10 wskazuje, iż socjalizm jest wyborem narodu i zarazem stanowi jedyną drogę rozwoju, która zapewni pełną niepodległość narodową. Poza tym uważa się iż nie wynika on z żadnej filozofii materialistycznej i nie wiąże się z żadnymi ideami obcymi. Natomiast budowa socjalizmu musi być zgodna z wartościami islamu, należącymi do podstawo-

wych filarów narodu algierskiego. Powinna ona zapewnić: po pierwsze — likwidację wyzysku człowieka przez człowieka; po drugie — wszechstronny rozwój zapewniający odpowiedni poziom dobrobytu i aspiracji osobistej człowieka; oraz po trzecie — niepodległość narodową.

W artykule 12 konstytucji irackiej pisze się co następuje: „państwo jako siła napędowa planuje i kieruje gospodarką narodową w celu budowy ustroju socjalistycznego na podstawie naukowych i rewolucyjnych oraz realizacji arabskiej jedności ekonomicznej”. Również konstytucja syryjska w artykule 13 określa ekonomicznie kraj jako planową gospodarkę socjalistyczną mającą na celu likwidację wszelkich przejawów wyzysku.

W obu tych krajach, tzn. Iraku i Syrii, ideologiczną podstawą wszelkich przemian jest ideologia Socjalistycznej Partii Odrodzenia Arabskiego — BAAS. Reprezentuje on nurt panarabski, a jej hasłami sztandarowymi są: jedność, wolność, socjalizm. Ogólnie biorąc założenia ideologiczne tej partii opierają się na koncepcji sprawiedliwości i współpracy między jednostkami, rozwoju zdolności osobistych i realizacji aspiracji. Ponadto ten typ socjalizmu musi być kierowany przez państwo, które reprezentuje wolę ludu, czyli wszystkich jego podstawowych klas czy warstw: robotników, chłopów, inteligentów, żołnierzy i wszelkich postępowych grup społecznych. Świadczy o tym myśl jednego z założycieli i ideologa partii BAAS, Michela Aflaka, który określa socjalizm w następujący sposób: „socjalizm nie jest tylko systemem ekonomicznym. Jest on znacznie ważniejszy, gdyż stanowi zbiór wartości, które dążą do podniesienia prestiżu człowieka i zaspokojenia jego potrzeb bytowych. Taki socjalizm opiera się na ideach sprawiedliwości i współpracy między członkami zbiorowości, a nie na walce klasowej lub dobrobycie klasowym. Walka musi być skierowana przeciwko nędzy, chorobom i niewiedzy”. Ponadto uważa on, iż państwo, które reprezentuje wolę narodu, a więc biednych, robotników, chłopów, inteligentów oraz wszystkich ludzi dobrej woli, powinno adoptować taki rodzaj socjalizmu. Socjalizm ów różni się od europejskiego tym, iż nie opiera się na walce klasowej, lecz stanowi wynik współpracy międzyklasowej. Również nie jest on związany z żadnym ruchem międzynarodowym i nie odrzuca wolności indywidualnej. W skrócie jest to ustrój socjalistyczny, który odpowiada warunkom i potrzebom społeczeństwa arabskiego.

NA PRZYKŁAD W LIBII I EGIPCIE

Z kolei w Libii pożądanym modelem socjalizmu określa 6 artykuł konstytucji. Jest to droga przemian prowadząca do urzeczywistnienia przez państwo sprawiedliwości społecznej i likwidacji wszelkich przejawów wyzysku. Państwo bowiem przez rozwój socjalistycznych stosunków w społeczeństwie, wzrost produkcji oraz sprawiedliwy podział międzyklasowy, dąży do dobrobytu społeczeństwa. Natomiast realizacja socjalizmu musi być zgodna z kulturą islamską i jej humanistycznymi wartościami oraz specyficznymi warunkami społeczeństwa libijskiego.

Podstawą ideologiczną realizacji socjalizmu w Libii stała się tzw. trzecia teoria światowa zawarta w „Zielonej Księżce”, którą opracował przywódca rewolucji Muammar Al Kaddafi. Jest to w skrócie teoria, która odrzuca wszelką ideologię burżuazyjną, a także marksistowską, i uznaje socjalizm jako pojęcie łączące się przede wszystkim z islamem oraz ideą jedności arabskiej.

Natomiast w konstytucji egipskiej artykuł 4 zapewnia, iż podstawą ekonomiczną dla egipskiej republiki arabskiej jest ustrój socjalistyczny oparty na wystarczalności i sprawiedliwości, co wyklucza wyzysk i prowadzi do likwidacji różnic między klasami. Podstawą ideologiczną takiego socjalizmu jest „Karta Narodowa” zmarłego prezydenta Egiptu G. A. Nadera z 21 maja 1962 r. Zakłada ona, że Egipt jest awangardą walki narodowowyzwoleńczej Arabów, ostoją arabskiej jedności i postępowej muzułmańskiej społeczności. Zaś ci, którzy przeciwstawiają się nowemu egipskiemu socjalizmowi (i socjalizmowi jako drodze rozwoju społecznego w ogóle) są w rzeczywistości przeciwni jakimkolwiek postępowi w świecie arabskim, przeciwni konsolidacji, wzmocnieniu i koniecznej modernizacji społeczeństwa muzułmańskiego. W tym miejscu należy podkreślić iż G. A. Naser był jednym z głównych popularyzatorów pojęcia socjalizmu w społeczeństwie arabskim.

NURTY I TENDENCJE

Z tego przeglądu najważniejszych nurtów socjalizmu w świecie arabskim można wysunąć pewne wnioski o charakterze ogólnym, a mianowicie:

1. Droga przemian socjalistycznych w państwach arabskich opiera się na różnych ideologiach, lecz wspólnym ich mianownikiem jest islam, który jest uznawany w taki czy inny sposób za prekursora socjalizmu. Islam jako system polityczny i prawno-ekonomiczny wywarł wielki wpływ na społeczeństwo arabskie, stając się podstawą materialną, z której wywodzi się najrozmaitsze trendy myślowe pro czy antysocjalistyczne.

2. Rozpoczęcie budowy socjalizmu w krajach arabskich miało miejsce po dokonaniu rewolucji lub przewrotu politycznego, jako konsekwencja buntu społeczno-politycznego przeciwko reakcyjnemu reżimowi monarchistycznym prozachodnim. Na przykład w Algierii zaczęto budować socjalizm dopiero po zakończeniu rewolucji narodowowyzwoleńczej i proklamowaniu niepodległości 5 maja 1962 r. W Libii po dokonaniu rewolucji i objęciu władzy przez grupę młodych postępowych oficerów 1 września 1969 r. W Iraku po rewolucji z 17-30 lipca 1968 r. i objęciu władzy przez Socjalistyczną Partię Odrodzenia Arabskiego — BAAS. W Syrii po rewolucji 8 marca 1963 r. i objęciu władzy przez partię BAAS. Zaś w Egipcie zaczęto przeprowadzać postępowe reformy o charakterze prosocjalistycznym z chwilą objęcia władzy przez grupę młodych oficerów 23 lipca 1952 r.

3. Wymienione wyżej państwa dokonują na początku różnych przeobrażeń społeczno-politycznych i ekonomicznych o charakterze socjalistycznym, jak nacjonalizacja bogactw naturalnych, banków, przedsiębiorstw, przeprowadzanie reformy rolnej, wprowadzenie nieodpłatnej opieki zdrowotnej i oświaty itd. Zaś motywacja teoretyczno-polityczna i doktrynalno-ideologiczna pojawia się zazwyczaj później, po uzyskaniu pewnej sumy doświadczeń (np. ukazanie się „Zielonej Księżki” M. Al Kaddafiego po kilku latach od objęcia władzy, „Karta Narodowa” G. A. Nadera z 1962 r. itd.).

4. Wszystkie owe państwa realizując hasła socjalistyczne dążą do rozbudowy sektora państwowego, uznając go za główny motor wszelkich przemian społeczno-ekonomicznych. Natomiast w odniesieniu do działalności sektora prywatnego raczej nie mają wyraźnego stanowiska. Jedynie można powiedzieć, iż nie kwestionują one jego istnienia i prowadzenia działalności gospodarczej nie zawierającej elementów wyzysku. Np. w raporcie centralnym IX konferencji regionalnej Socjalistycznej Partii Odrodzenia Arabskiego odbytej w Bagdadzie w czerwcu 1982 r. czytamy, co następuje:

„Idea Socjalistycznej Partii Odrodzenia Arabskiego — BAAS, uznaje od początku prawdziwość istnienia własności prywatnej i działalności inicjatyw prywatnej zgodnie z ideami i prawami socjalistycznymi oraz interesem państwa i społeczeństwa. Państwo musi panować całkowicie nad wszystkimi kluczowymi dziedzinami i gałęziami gospodarki narodowej, które łączą się z zasadniczymi interesami mas ludowych, nie dopuszczając do rozwoju burżuazji w celu wyzyskiwania ludu”.

5. Socjalizm realizowany w krajach arabskich nie uznaje walki klasowej, lecz podkreśla konieczność współpracy międzyklasowej, jako środek realizacji sprawiedliwości społecznej. Wynika to z faktu, iż wśród socjalistów jest niewiele osób reprezentujących drobną burżuazję narodową. Dlatego po upływie pewnego czasu w niektórych przypadkach rezygnuje ona z socjalistycznej drogi rozwoju, czego przykładem jest stosowanie polityki „otwartych drzwi” w Egipcie przez A. Sadatą po śmierci G. A. Nadera.

Można więc stwierdzić, że islam stanowi ważną podstawę ideologiczną myśli socjalistów w społeczeństwie arabskim. Jego dotychczasowa interpretacja jest adekwatna do rzeczywistości i specyficznych warunków społeczeństwa arabskiego. Socjaliści w tych krajach biorą pod uwagę realia, jakie ukształtowały się od wieków w społeczeństwie arabskim. W przeciwnym razie oderwanie się od tradycji i powszechnych uczuć społeczeństwa prowadziłoby do fiaska wielu reform społeczno-gospodarczych oraz oskarżeń ekip rządzących o ateizm i materializm, co byłoby zjawiskiem niekorzystnym dla postępu i socjalizmu w tym rejonie świata.

OD REDAKCJI: Autor jest adiunktem w Katedrze Planowania i Polityki Ekonomicznej UŁ.

Uciekł kolejny pociąg. Grabowski przestał już spoglądać na zegarek. Po tym królewskim obiedzie, obficie zakropionym alkoholem, i to przedniej marki, czuł się znakomicie. Ale coś mu nie grało z tą rąbancą, po którą rzekomo miał pojechać do kolegi Wojtek. Zapytał wprost:

— Elżbieta, ty coś kręcisz! Wojtek wyjeżdża na wieś, aby coś przywieźć na święta. Ale co on właściwie ma przywieźć, skoro u ciebie i tak jeden wielki sklep delikatesowy z najpiękniejszych pierwszych lat gierkowskich?

— Kiedy ma się znajomości, a lekarz musi je mieć, wszystko się znajdzie. Z Wojtkiem nie bujałam, rzeczywiście go nie ma. Jeśli zaś chodzi o rąbancę to też prawda. Mam dwie duże lodówki, muszę je czymś zapelnąć. Nigdy nie wiadomo, kto mnie odwiedzi, co będzie trzeba załatwić, więc odpowiedni zapas muszę posiadać. Co, niby nie?

— Dobrze, ale dlaczego Wojtek ma się zajmować handlem? Wypaczasz jego charakter. Dzisiaj rzadko kto tak jadł!

Uderzyła go po kolanach.

— Nigdy się nie zmienisz! Powiedz niby, dlaczego mój syn nie ma mieć wszystkiego? Ma biednych rodziców? Już chyba wystarczy, że ci rodzice mieszkają osobno? Myślisz, że chłopak nie zdaje sobie z tego sprawy? On ma przecież wykoślawione dzieciństwo. Nieważne, czy z twojej, czy z mojej winy. Fakt jest faktem. W ramach rekompensaty coś mu się należy. Czy wiesz, jak on pięknie kieruje samochodem?

— Co? Samochodem? Przecież on ma dopiero siedemnaście lat!

— Siedemnaście, ale może kierować wożem, kiedy siedzą obok niego.

— I może teraz pojechać na wieś samochodem? Sam?

— Nie, bądź spokojny! Wpakował się na nas z tyłu wartburg i wóz musiałam oddać do reperacji.

Grabowski wyciągnął papierosa. Elżbieta wstała i zapaliła nocną lampkę. W pokoju zrobiło się przytulniej.

— Nie zimno ci? — spytała. — Tu są jeszcze bardzo świeże mury, wszystko musi się uleżeć.

— Zimno? Właśnie zastanawiałam się, czy nie zdjąć marynarki.

— A może... — zawahała się.

— Może jeszcze chce się czegoś napić, tak?

— Nie, miałam na myśli coś innego. Obejmij mnie mocno, mocno, tak jak kiedyś... — osunęła się na wersalkę i przywarła do niego całym ciałem, poczuł na twarzy jej gorący oddech.

(...) Poprowadziła go do drugiego pokoju i nerwowo, pośpiesznie zaczęła rozścielać pościel. Podała jej bezwładnie. Początkowo ona była stroną atakującą, potem rolę się odwróciły.

Leżeli nago obok siebie. Znowu razem po dziesięciu latach, a zdawało mu się, że jest z nią po raz pierwszy. Nigdy nie była dlań tak czuła, nigdy nie brała tak czynnego udziału w czasie zbliżenia.

— O czym myślisz? — spytała, gładząc go po policzkach.

— O niczym. A ty?

— Też o niczym. Ale ja wiem, że jednak o czymś myślisz.

— Słucham ciebie.

— Zmieniam się?

— W łóżku? Zmieniał.

— Dobra teraz jestem, co? Gdybym była taka kiedyś, nadal byłibymy razem, prawda? Powiedz, że prawda.

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem... — poczuł wielkie zmęczenie.

— Zdradziłeś swoją żonę z byłą żoną... To się nadaje do powieści. Szkoda, że nie pisujesz, miałbyś temat z własnego życia... — przytuliła się do niego.

(...) Sen przyszedł nagle. Krótki, niespokojny. Oto Elżbieta w białej garsonce i on w czarnym garniturze. Idą pod rękę długą, bardzo długą aleją. Nad horyzontem — kula słońca. Z tego słońca odrywa się jakaś postać, zbliża się do nich coraz bardziej. Poznaje — to Rychlik, zmierzający zastępcą naczelnego. Rychlik wyciąga dłoń i mówi: „Mam dla was prezent. Zaproście mnie na wesele?” A potem, nie czekając na odpowiedź, cofa się i ginie gdzieś w oddali. Grabowski bezskutecznie usiłuje go zatrzymać, przez moment biegnie za nim, ale nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Upada na ziemię.

— Wstawaj, szybko wstawaj! — Nie, to nie sen. Grabowski otwiera oczy i słyszy, wyraźnie słyszy, głos Elżbiety: — Wojtek wrócił, zaraz może tu wejść.

— To niech wchodzi! — powiedział machinalnie, ale natychmiast uświadomił sobie groteskowość sytuacji. Syn zastaje ojca w łóżku z matką. Po dziesięciu latach. Kiedy już oboje założyli nowe rodziny. Matka się wprawdzie rozeszła, ale to wiele nie zmienia.

— To co mam robić? Wejść do szafy? Wymyśl coś na miłość boską!

— Wymyśl, wymyśl! Dobry jesteś! Co mam wymyślić?

Elżbieta pośpiesznie nałożyła na siebie szlafrok.

— Udawaj, że jesteś chory. Masz tu ręcznik, narzuć go sobie na głowę. Spróbuj Wojtkę zagadać, a ty też. Leż i nie odzywaj się. Będę coś kombinować.

Wyszła z pokoju. Słyszal głosy dochodzące z korytarza, ale nie mógł się zorientować o czym mówiono.

Pospiesznie, w ciemnościach, próbował się ubrać. Cicho, jak najciszej. W żaden sposób nie mógł jednak znaleźć jednej ze skarpetek. Ostatecznie położył się ponownie, ale już na koldrze, a nie pod nią, w spodniach i w koszuli. Głową okrył ręcznikiem. Tymczasem Elżbieta wraz z synem znalazła się w sąsiednim pokoju, w tym samym, w którym uprzednio biesiadowali. Teraz mogli już słyszeć rozmowę ich obojga.

— Tatusi za dużo wypili, a to już nie te lata...

— Po co mu dawałaś kękę? Co mu jest? Może sprowadzić doktora.

— Głupi jesteś, sama jestem lekarzem. Zrobiłam mu okład i dałam proszki na uspokojenie. Nie się nie bój, wszystko będzie dobrze. Byłam przed chwilą u niego.

— A ty, mamo, jeszcze nie śpisz?

— Położyłam się na chwilę u ciebie w pokoju, a kiedy ty wróciłeś, właśnie zaglądałam do ojca. Spi. Nie przeszkadzajmy mu. Nie ma to jak sen.

— A ja chciałam z nim porozmawiać. Pozwól, że tam zajrzę.

— Nie, jutro rano, Wojteczku.

— Nic mi nie mówiłaś, że ojciec przyjedzie. Nie ruszałbym się z miejsca.

— Nie mówiłam, bo nie byłam tego pewna. Ojciec jest bardzo zajęty, zwłaszcza teraz. Czekalbyś na niego, a on by nie przyjechał. Byłoby ci przykro, prawda?

— Tatusi długo z nami zostanie?

— Nie wiem, nie mogę go o to pytać. Jutro rano sobie pogadacie. A teraz zjedz coś i idź spać, ja tu sprzątnę i położę się na tapczanie.

— Nie jestem głodny. Najadłem się potąd. A rąbanka będzie, pojedziemy po nią za trzy dni. Samochód już zostanie wyremontowany?

— Na pewno. Biorę się za sprzątnięcie.

— Mamo, ja zajrzę na moment do ojca...

— Nie rób tego, naprawdę nie rób! Musi trochę odpocząć. Jutro będzie zdrow jak ryba. Ja go dobrze znam.

— Chyba znalazłaś!

Grabowski nadstawił ucha. To spotkanie matki z synem stawiało się dla niego coraz bardziej interesujące. Elżbieta wiedziała jednak, że jej gość nie śpi i może podsłuchiwać.

— Mów ciszej — powiedziała chytrze. — Nie przeszkadzajmy ojcu. Nie chciałabym, aby się teraz obudził.

— To chodźmy do mojego pokoju. Muszę z tobą pogadać...

Kroki coraz bardziej się oddalały, do Grabowskiego nie dochodziły już żadne słowa. „Szkoda” — pomyślał i zasnął ponownie.

Cicho skrzypnęły drzwi. Mimo ciemności poznał, że to nie Wojtek, ale Elżbieta. Perfumy nie zwodziły.

Nachyliła się nad nim i musnęła ustami policzek. Gwałtownie przycisnęła ją ku sobie.

— Głuptasie, dlaczego się ubrałeś?

— A Wojtek?

— Spi jak suseł. Mamy jeszcze kilka godzin czasu.

— Sprytnie to wszystko wymyśliłaś.

— A co miałam robić? Pamiętasz — szepnęła — kiedyś ukrywaliśmy się przed matką, a teraz musimy się ukrywać przed własnym synem. Życie jest niesamowite. Stale mawiałeś, że są sytuacje, o których filozofom się nie śniło. Chyba nasza do takich należy... Wiesz, ja chyba ciągle ciebie Kocham. Byliśmy bardzo młodzi, a ja byłam taka zielona!

Grabowski ostatecznie opóźnił swój wyjazd równo o dobę. Teraz, gdy siedział w pociągu, dokładnie, godzina po godzinie, analizował swą wizytę, która miała tak niespodziewany finał.

Co będzie dalej, nie wiedział. Obawiał się tylko spotkania z Krystyną, która zawsze wykazywała wiele intuicji. Na szczęście ta na razie wyjechała. Zastanawiał się, czy jej nawet powiedzieć o swej wizycie u byłej żony? Uznał, że będzie lepiej, jeśli to przemilczy.

Tego dnia nie poszedł do redakcji.

(...) Zasnął nieco, bo nikt go rano nie obudził, a kiedy przyszedł do redakcji, od razu poczuł jakiś swąd. Jabłoński siedział u naczelnego i mówił:

— Cholera, Nie dopilnowaliśmy. — Powiedział grzecznościowo „my”, Doliński dobrze wiedział, że pili do niego.

— O co ci chodzi?

— Mamy błąd w gazecie.

— Nie pierwszy i nie ostatni.

MAREK ADAM JAWORSKI

Taniec w tunelu

(3)

— Spójrz na ten tytuł. Widzisz?

— Rzeczywiście. W tytule? Oślepli w tej drukarni czy co?

— To jest dywersja polityczna. Tylko tak trzeba oceniać. Musimy wyciągnąć jak najostrejsze wnioski.

— Zaraz, zaraz, jaka dywersja? Co ty pleciesz? Na jakim ty, chłopie, jesteś etapie?

— Nie wyciągniesz żadnych wniosków, to ci jutro siądą na głowie. Ja bym natychmiast zwolnił korektorkę, która to puściła.

— A ty myślisz zapewne, że korektorki w kolejce czekają na pracę?

— Rób, jak uważasz, ostatecznie to ty jesteś szefem. Prawda, towarzyszu Grabowski? — dodał, aby coś jeszcze powiedzieć. Po tem trzasnął ostentacyjnie drzwiami i wyszedł z pokoju.

Doliński spoglądał na pierwszą stronę gazety i zamiast się złościć, śmiał się jak sztubak. Właściwie specjalnego powodu do śmiechu wcale nie było i na pewno, gdyby rzecz zdarzyła się kilka lat temu, Doliński zareagowałby inaczej.

— Stanisław Bania... — przeczytał głośno. — Przecież każdy będzie wiedział, że to najwykleszy błąd korektorski. Ciekawe czy Gnatowski zadzwoni?

Na odpowiedź nie musiał długo czekać. Doliński wiedział już od Pierwszego, że dni Gnatowskiego są raczej policzone, więc wcale nie przejmował się jego uwagami. Miał pewne podstawy, że dopuścił go Jabłoński, toteż odpowiedział dość niegrzecznie:

— Dajcie spokój, sekretarzu. Miałem referat na głowie i w gruncie rzeczy tyrałem za was. Trzeba było samemu siedzieć w drukarni i pilnować. Ja się nie rozerwę.

Gnatowski w pierwszej chwili zaniemówił, a potem wybełkotał:

— Za kadry w redakcji wy odpowiadacie!

A Doliński na to:

— A wy za co właściwie odpowiadacie? — I odłożył słuchawkę. Po prostu odłożył.

Grabowski uśmiechnął się.

— Odważny jesteś!

Doliński rzucił okiem na listę, bo chciał się zorientować, kto tej nocy miał dyżur w drukarni. Praca w redakcji była tak zorganizowana, że jeden z odpowiedzialnych dziennikarzy występował w roli superredaktora i niezależnie od korekty czytał wszystkie teksty już na kolumnach, jak to się fachowo mówi, szczerkach, a więc już po odnieniu czcionek. Tym razem, jak wynikało z harmonogramu, superredaktorem był właśnie Grabowski, który stał obok.

— No! Mamy winowajcę — zawołał.

— Szefie, przepraszam. Musiałem zostać. Nawaliłem. Stuknij mnie ewentualnie po premii...

— Co się stało, to się nie odstanie. Jabłoński rechocze z zadowolenia. A pies z nim tańczył. Siadaj na chwilę. Przejawiasz najwyższy stopień niesubordynacji, a ja, głupi, chcę ciebie awansować.

— Zartujesz?!

— Przecież ktoś musi zastąpić Rychlika. Pierwszy dał mi wolną rękę. Proponuję ci stanowisko zastępcy, wiceszefa tego całego naszego interesu.



Rys.: Janusz Szymański-Glanc

Przez chwilę panowała cisza. Grabowski przedtem się spodziewał nagany, upomnienia, ani przez moment nie przypuszczał, że Doliński z czymś takim wyskoczy. Nigdy zresztą nie liczył na awans, dobrze pamiętał jeszcze tę jazdę po pijaku.

— Zaskoczyłeś mnie. Najpierw mi dałeś kijem po łbie, a teraz podsuwasz marchewkę. Zastanowię się.

(...) Gdy tylko Doliński został sam w pokoju, zadzwonił telefon.

— Przejrzałem ten referat — usłyszał głos Poltawskiego.

— Sądzę, że nie będzie specjalnych uwag. To jest dobra robota. Właśnie o coś takiego mi chodziło. Wykonaliście kawał solidnej roboty!

— Cieszę się...

— Zwołujemy dzisiaj egzekutywę i sądzę, że wszyscy ten referat na plenum zatwierdzą. Ale ja mam do was jeszcze jedną sprawę. Może to nie na telefon, ale czas biegnie. Wy tam macie wolny etat zastępcy po Rychliku. Może by Gnatowski przyszedł do was na zastępstwo? Co wy na to?

— Sekretarzu, on nie ma zielonego pojęcia o dziennikarstwie?

— Może się przyuczy? Pracował przecież w propagandzie...

— Towarzyszu Poltawski, chcę być wobec was szczery. Ja sobie nie wyobrażam współpracy z Gnatowskim. A poza tym, jak to jest? Zdejmujemy go z sekretarza i kierujemy do gazety na błąd co bądź odpowiedzialne stanowisko. Jak to będzie zrozumiane przez aktyw?

— Macie z nim na piękno?

— A kto z nim nie ma? Pragnę wam jednak przypomnieć, sekretarzu, że dalsze mi wolną rękę w wyborze zastępcy i ja już podjąłem pewne kroki.

— Macie kandydata?

— Już jestem po rozmowie. Proponuję Grabowskiego.

— Grabowskiego mówicie? Niezła kandydatura. Wobec tego nie było między nami żadnej rozmowy. Wycofuję się. Gnatowskiemu poszukamy coś innego.

— Towarzyszu sekretarzu, ja nie chcę wam niczego doradzać, bo to byłoby głupie i może nie na miejscu. Czy ten Gnatowski musi pracować na froncie propagandowym?

— Pomyśl o tym... Zmieniliście dzisiaj w gazecie nazwisko towarzysza Kani!

— Błąd korektorski. Zdarza się. Były już większe błędy.

— Ale pilnujcie lepiej. Mam nadzieję, że towarzyszu Kania tego nie zauważy. Trzymajcie się!

Doliński otarł pot z czoła.

(...) Aby sprawy nie odwiekać, wziął kartkę papieru, z góry przekonany, że Grabowski ostatecznie powie „tak”, i zaczął na brudno pisać wniosek o nominację. Wiedział, że jeszcze czeka go rozmowa z Jabłońskim, który, jako sekretarz podstawowej organizacji partyjnej, też może zechcieć się wykaazać i będzie oponował. Po rozmowie z Poltawskim uznał jednak, że ma szlak całkowicie przetrzyty i może zdecydować nawet ponad głową Jabłońskiego.

„Towarzyszu Grabowski jest zaangażowanym członkiem partii... Ma pełne kwalifikacje zawodowe...”

Skreślił to, słowa wydały mu się zbyt drętwe. Zaczął od początku. „Towarzyszu Grabowski, długoletni pracownik naszej redakcji, zawsze wykazywał pełną inicjatywę...”

Przerwał. Co to znaczy „pełną inicjatywę”? Przecież to slogan, bzdura!

„Towarzyszu Grabowski, urodzony w roku...”

Roześmiał się. Ile ten Grabowski ma lat?

Spójrzal na spis telefonów, postanowił zadzwonić do dyrektora kombinatu. Właśnie pół roku temu nastąpiło połączenie miejscowej placówki „Ruchu” z wydawnictwem. Ani Wydawnictwo, ani „Ruch” nie były z tego zadowolone.

Doliński bardzo cenił jednak dyrektora kombinatu, przede wszystkim za jego spokój. Nawet w najbardziej zawiłych sytuacjach umiał zachować takt i umiar.

— Z dyrektorem proszę. Tu Doliński.

— Poznaję pana redaktora po głosie — sekretarka jakby się wahała. — U pana dyrektora jest sekretarz Gnatowski. Połączyć?

— Nie, Zatelefonuję innym razem.

Gnatowski u dyrektora? To już świat obraca się do góry nogami!

Doliński zapalił papierosa. Przypomnił sobie, jakie opory stawiał Gnatowski, tak, właśnie Gnatowski, kiedy Poltawski zaproponował, aby dyrektorem nowo tworzonego Kombinatu został właśnie Czyżewski. Wściekłość Gnatowskiego nie miała granic, nie przybył nawet na uroczyste zebranie, w trakcie którego Czyżewski odbierał nominację. Gnatowski był chyba też sprawcą tego, że z Warszawy przyjechał drugi garnitur bez prezesa Andruszkiewiczza. A teraz Gnatowski siedzi u Czyżewskiego. Oznacza to zapewne, że czuje swąd wokół własnej osoby i na gwałt szuka sobie sojuszników.

Rozważania Dolińskiego okazały się słuszne, nie minęło wiele czasu, kiedy sam się o tym przekonał.

— Dzwoniłeś do mnie? — usłyszał w słuchawce głos Czyżewskiego.

— Dzwoniłem. Miałeś gościa, nie chciałem przeszkadzać. Skąd ta nagła przyjaźń z Gnatowskim?

— Nie wiem. Gnatowski skarżył się, że ma dosyć pracy w aparacie, że chętnie by się przenosił, że widzi dla siebie miejsce...

— Ciekawe, ciekawe, mów dalej!

— Chyba wszystko wiesz albo się domyślasz. On chce być u ciebie zastępcą.

— Jeszcze na głowę nie upadłem!

— To i ja się bardzo cieszę. Nie lubię tego typu.

— Słuchaj, ale to jest paranoja! Jeśli Gnatowski rzeczywiście chciałby być moim zastępcą, to przede wszystkim powinien rozmawiać ze mną w tej sprawie, no nie?

— Chyba tak!

— Nie chyba, ale na pewno! Przecież to jest najwyklesza głista. Powiedziałem już Poltawskiemu, jakie jest moje zdanie w tej sprawie.

— Powiedziałeś, że go nie chcesz?

— Oczywiście, że nie chcę. Co to redakcja jest przechowalnica?

— I co na to Poltawski?

— Dał mi wolną rękę. Biorę na zastępcę... No, zgadnij kogo?

— Spośród zespółu?

— Tak.

— Co się mam namyślać. Jabłońskiego!

— Jeśli tak samo trafiasz w totka, to ci nie wróżę sukcesów. Myśl o Grabowskim!

— Co?

— Masz jakieś wątpliwości? Jesteś przeciw tej kandydaturze?

— Nie, ale on przecież chleje!

— Sekunda! Powiedz chłai, a nie chleje! Ludzie się zmieniają.

— Ale opinia wlece się za nimi jak cień.

— Wiesz co? Ja mam gdzieś wszystkie opinie. Jeżeli odpowiadam rzeczywistości w pełni za redakcję, to mam prawo doboru kadr, prawda?

Zapanowało milczenie.

— Co tam przerwa na linię? — Doliński zniecierpliwził się.

— Nie, ale zaskoczyłeś mnie. Gnatowski tak ze mną gadał, jakby wszystko było uzgodnione na najwyższym szczeblu.

— To się sierotka rozczaruje. Wiesz, piszę teraz ten wniosek w sprawie zastępcy, opornie mi to idzie.

— Nie wysyłaj się! Pisz krótko, ja dam do przepisania jego życiorys, wszystko będzie grało. Zadzwoni ewentualnie do Wydziału Prasy KC i pogadać ze Stabickim. To właściwie zwykła formalność, jeśli Poltawski się nie sprzeciwia.

C.D.N.

W czasach kryzysu ekonomicznego i uciążliwości życia wydaje się nam, iż życie całe przyporządkowane jest wciąż olbrzymią obowiązkami, którym zaledwie możemy podołać. Wydaje się nam, że cały nasz czas wypełniony jest kłopotami tylko, pracą, dojazdami, zakupami, opieką nad dziećmi. Narzekamy na brak czasu, zapytani zaś o czas wolny i wypoczynek, odpowiadamy stereotypowo, że nie mamy czasu dla siebie. Owe, subiektywnemu odczuciu przeczą jednak fakty, wystarczy zapytać kogoś kto mówi, że w ogóle nie ma czasu dla siebie, jak długo przesiedział wczoraj przed telewizorem. W kwestii takiego dobra jakim jest czas rozbieżności między naszymi odczuciami a faktami są na tyle wyraźne, że warto dokładnie określić tę rozbieżność.

Główny Urząd Statystyczny przeprowadził fundamentalne badania nad czasem mieszkańców Łodzi. Zrobiono to w ten sposób, iż półtora tysiąca wylosowanych dorosłych łodzian przez okrągłą dobę notowało wszystkie wykonywane czynności (z wyjątkiem tych najbardziej intymnych). Wylosowana próba zmieniała się codziennie, a badanie trwało rok. Następnie takie badanie za lat kilka.

Co głównie konkuruje z naszym czasem wolności, jak wiele naszego życia upływa na obowiązkach i innych koniecznościach? Łodzianin śpi osiem godzin, pracuje siedem i pół godziny, a razie zatem nie tutaj leżą rezerwy wygospodarowania czasu wolnego. Ale dojazdy do pracy zabierają w wielkiej aglomeracji, jaką jest Łódź, ponad godzinę dziennie i o ten czas właściwie dłuższa jest nasza praca. Zakupy, załatwianie spraw, korzystanie z usług zabiera aż dwie godziny dziennie licząc średnio, tzn. że kobietom zabiera się w tej sferze znacznie więcej czasu. Widzimy jak znacząco usprawnienie obsługi mieszkańców mogłoby wpłynąć na poszerzenie ich czasu wolności. W przypadku zakupów mało stosowana jest miara średniej statystycznej mówiącej o mężczyznach i kobietach równocześnie, podobnie ma się rzecz z obowiązkami rodzinnymi, opieką nad dziećmi. Obowiązki domowe zajmują mężczyźni dwie godziny dziennie, ale matce obciążonej dziećmi wypełniają ponad pięć godzin.

Czym zajmujemy się w czasie wolnym od pracy?

Nasze swobodne wybory dotyczą przede wszystkim czasu poza pracą, dojazdami, obowiązkami. Statystyka dostarcza tu danych precyzyjnych, bo informuje nas o dwu rzeczach. Po pierwsze — odpowiada na pytanie, jaka część łodzian uprawia takie czy inne rozrywki, po drugie zaś informuje o tym, ile czasu zajmują dana rozrywka tylko tym (i wyłącznie tym ludziom), którzy tę rozrywkę podejmują. Statystyka dawno wyciągnęła wniosek z anegdot na temat średniej statystycznej, że niby „utopił się w wodzie średnio bardzo płytkiej”. Nie oblicza się też, ile sekund spędza każdy łodzianin w teatrze.

W latach ostatnich wraz z wolną sobotą przybyło nam do własnej dyspozycji około pół godziny dziennie, i obecnie mieszkaniec Łodzi przeznacza pięć godzin dziennie dla siebie. Nigdy byśmy nie przypuszczali, że jest tego aż tyle. Jak zatem gospodarujemy owym czasem naprawdę własnym, jak organizujemy sobie własną wolność? Najogólniej mówiąc w organizowaniu tej sfery zdajemy się na pomoc innym. Gdyby dzisiaj wieczorem odwiedzić wszystkich łodzian trzech na czterech z nich oglądałoby telewizję grubo ponad dwie godziny. Jest to prawie połowa naszego czasu wolności. Choć pamiętać trzeba, że w społeczeństwach o wielkich zasobach czasu wolnego telewizja zabiera nawet i sześć godzin dziennie. Zauważmy jednak, że gdy trzech na czterech z nas będzie oglądało dzisiaj telewizję, to dłuższą rozmowę z kimś z własnej rodziny, przeprowadził niewyżej co czwarty z nas. Po książkę sięgnie dzisiaj co piąty mieszkaniec, jeszcze mniej osób wyjdzie na najkrótszy choćby spacer.

Do teatru i kina oczywiście nie chodzi się codziennie, ale o ile dzisiaj obejrzy film telewizyjny 80 proc. mieszkańców Łodzi, to do kina wyjdzie 2 proc., a do teatru niejednokrotnie mniej. Rozrywki pozadomowe są zatem rzeczą niezwykle rzadką, w dodatku bowiem dawno zauważono, że prawdziwa aktywność kulturalna jest „syndromatyczna”. To znaczy, że ci sami nieliczni ludzie wychodzą sprzed telewizora do kina, ci sami do teatru lub na koncert, w sumie jest to nieliczna grupa mieszkańców. Podobnie ezoteryczne, dotyczące tylko nielicznych są takie przyjemności jak słuchanie muzyki z płyt, muzykowanie, kibicowanie nie przed telewizorem, ale na stadionie. Codziennie praktyki religijne deklaruje 12 proc. mieszkańców, co niedziela na mszę wychodzi 40 proc. łodzian, choć w tej sprawie być może deklaracje nie muszą w pełni przystawać do faktów. W problem ogólnopolskiej, dotyczącej miast i wsi łącznie odpowiedni odsetek sięgnął 60.

W naszym czasie wolności i wypoczynku obok telewizji najbardziej znaczącą rozrywką okazują się spotkania towarzyskie. Dzisiaj wieczorem co czwarty łodzianin uda się z wizytą lub będzie organizował niewielkie party. Trzeba zresztą dodać, że nierzadko i to co statystyka notuje jako oglądanie telewizji, w rzeczywistości jest spotkaniem towarzyskim przy alkoholu, zaś telewizor pozostaje tylko w tle jako rodzaj „gadającej tapy”.

Sondaże społeczne o pogłębionym charakterze dowodzą, iż ludzie na ogół nie postrzegają wielkości swego czasu wolnego i nie doceniają jego wagi. O czasie wolnym nierzadko myślimy jako o czasie bezużytecznie marnotrawionym, jak gdyby o czasie zabranym innym, rodzinie, dzieciom, myślom o takim czasie towarzyszy niejasne poczucie grzechu. Z tym poczuciem zdajemy się na rozrywkę wyłącznie domową, bierną, skupioną wokół telewizora. Trzeba jednak rozmyślać, w jaki sposób rzecz całą odwrócić. Gdyby uwierzyć statystykom, że mamy codziennie pięć godzin dla siebie, gdyby próbować nadać jakiś sens temu czasowi. Gdyby samemu wybierać w tym, co oferuje wielkie miasto, i nie zdać się wyłącznie na wybory, jakie za nas przy pomocy elektroniki czynią inni. Wówczas poczucie grzechu towarzyszące czasowi bezużytecznemu mogłoby zostać wyparte przez poczucie wolności.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI

1 Nagle zastępstwo Dajcie spokój średniakom

Nie mam zaufania do teorii głoszących istnienie tzw. charakteru narodowego. Tylko krok dzieli głosicieli takich poglądów od stwierdzenia, że są narody gorsze i lepsze. Zresztą teza o istnieniu charakteru narodowego, czyli zespołu względnie trwałych cech, charakteryzujących wielomilionową grupę ludzi, jest nie do udowodnienia. Niewątpliwie natomiast wydaje się istnienie historycznie i kulturowo ukształtowanych, a więc także historycznie zmiennych, cech odróżniających — tylko na określonym etapie historycznym — jedne narody od drugich.

Był kształtuje świadomość — napisał przed laty klasyk i miał niewątpliwie rację, choć zapomnieliśmy dodać, że również, na zasadzie sprzężenia zwrotnego, świadomość kształtuje byt.

Często się czyta i słyszy, że Polacy są tacy a nie inni, bo dziedziczą po przodkach szlachę, warcholstwo i anarchizm, bo byli nieszczęśliwi pod zaborami i okrutnie doświadczeni przez wojny światowe, zwłaszcza że druga. Ma z tego pono wynikać, że jesteśmy narodem rozpolitykowanym, pijakami, nierobami, brudasami i ponurakami. Doprawdy nie rozumiem, co mają zabory i wojny światowe do stanu naszej higieny na przykład. Czy ofiary wojny muszą być — czterdziści lat po jej zakończeniu! — brudni i smutni? Dlaczego tragedia rozbiórów do dziś odbiera im dobry humor i nie pozwala wykapnąć się codziennie, no powiedzmy, co drugi dzień?

Czy to naprawdę Hitler i hitlerizm zawinił, że Polska, polskie miasta i wsie, a zwłaszcza miasteczka przypominają gigantyczne śmietniska, że Polka na Polaka warczy i nie potrafi ustąpić miejsca w tramwaju starszemu?

Inna koncepcja tłumaczy, że jest u nas jak jest dlatego, że ustrój socjalistyczny zwalnia wszystkich od troski o elementarny byt oraz od odpowiedzialności za to co robią. To właśnie nie przez ten socjalizm w restauracji śmiedzi, kelner ma brudne ręce i wymyśla klientom od najgorszych, ekspedientka prowadzi wojnę z klientem, a kierowca autobusu z pasażerami. Bo jakby restauracja, sklep i autobus były prywatne, to byłoby zupełnie inaczej?

Śmiem twierdzić, że to nie ma nic do rzeczy. Jest na świecie, i to całkiem niedaleko, parę krajów, w których panuje ten sam ustrój a ulice są pozamiatane, sprzedawczynie uśmiechnięte, a do tramwaju restauracji wchodzi się bez strachu i wstępu. Jednocześnie w naszym kraju bardzo często można spotkać nieuprzejmą ekspedientkę w prywatnym sklepie.

Romantyczni socjaliści z początków naszego wieku byli przekonani, że rewolucja i uspołecznienie środków produkcji automatycznie „zjadaczy chleba w aniołków przerobi”, że przemiany w sferze społeczno-ekonomicznej wywołają automatycznie zmiany w sferze psychiki i obyczajów. Kto jak kto, ale my właśnie, ludzie schyłku dwudziestego wieku, wiemy najlepiej jak bardzo się mylili. Właśnie dlatego, że również świadomość kształtuje byt. A z tą świadomością mieliśmy i wciąż mamy najróżniejsze kłopoty.

Oficjalna propaganda zawsze nawoływała do aktywności politycznej tzw. szerokie masy, wszystkich obywateli PRL. Ale tylko oficjalna. Bo już ta mniej oficjalna, jak np. niektórzy publicyści, lansowała, zarówno w latach sześćdziesiątych jak i w siedemdziesiątych, hasło ograniczenia zaangażowania politycznego. Często mówiło się: — popatrzcie na Zachód, na Wielką Brytanię na przykład. Tam obywatel nie bierze udziału w życiu publicznym, zamyka się w prywatności, wielką i małą politykę pozostawia fachowcom — politykom profesjonalnym. Było to — zwłaszcza w latach siedemdziesiątych — bardzo na rękę tzw. prominentom. Wprawdzie i oni nawoływali do aktywności, ale najczęściej mieli na myśli aktywność produk-

cyjną, wydajność pracy i działalność społeczną na najniższym szczeblu — w zakładowych organizacjach partyjnych, w związkach zawodowych i organizacjach społecznych. Od wielkiej polityki byli onli.

Potem przyszedł burzliwy okres, który można nazwać czasem „polityki dla wszystkich” — co, jak wiadomo, przynosiło dość ponure choć i śmieszne jednocześnie efekty. Teraz ma być normalnie. Tylko co to jest ta „normalność”? Gdzie jest złoty środek między rozpolitykowaniem a biernością? Myślę, że na razie przynajmniej, nie wiadomo. Trzeba lat funkcjonowania wszystkich demokratycznych instytucji, samorządów terytorialnych i zakładowych, rad narodowych itd, itp, aby ukształtował się model owej normalności, abyśmy się nauczyli korzystać z nich i kształtować je.

Tym bardziej denerwują — pojawiające się od czasu do czasu — głosy domagające się jakiegoś przełomu, jakiegoś erupcji aktywności społecznej — bo „ojczyzna wzywa”. Wzywa, rzeczywiście, i od naszych obywatelskich postaw wiele zależy, ale przecież wiemy już z wieloletniego doświadczenia, że od tych apeli, od tego nawoływania nie należy przybieżać. Aktywność społeczna rodzi się z autentycznych potrzeb. Potrzeby istnieją, przyjdzie więc czas na aktywność. Tak jak sensowny system płac musi w końcu wyzwoić efektywność pracy, tak warunki i potrzeby wyzwolą aktywność społeczną. Ani miejsca, ani większą od tychże potrzeb.

Panowie publicyści, nie poganiajcie nas!

Ani przesadna aktywność (czytaj: rozpolitykowanie), ani bierność nie jest naszą stałą cechą narodową. Tak jak nie jest nią lenistwo, na co można przytoczyć tysiące przykładów. I dajcie spokój średniakom. Stanowią oni ogromną większość każdego społeczeństwa, państwa opierają swój byt na codziennej, zwykłej pracy średniaków. Nieprzeciętnych trzeba hołubić, ot co! A na średniaków nie należy się obrażać, że są średni...

ANDRZEJ KAROL

2 Do lasu ze szpagatem

Dawno temu, kiedy wielu Szanownych Czytelników nie było jeszcze na świecie, a już bez najmniejszej wątpliwości — Szanownych Czytelnicek, które oby wiecznie były młode, była moda na majówki. Różnie to się w różnych regionach odbywało. W Łodzi wybierano się do okolicznych lasów ze szpagatem.

Najpierw trzeba było dobrać sobie kompanię. Kilku chłopaków i musowo kilka dziewczyn. Cóż to za majówka bez dziewczyn. Chodziło się też na majówkę rodzinami. Gdy już kompania była dobrana, termin oznaczony, szykowano walówkę. Do kosiarki kładziono chleb, jakieś wędliny, piwo, flaczkę wódki. Ktoś brał harmoniję lub inny instrument muzyczny, na przykład gitarę i cała feralna razno ruszała do lasu. Na ogół piechotą.

W lesie wybierano kwartał między drzewami i teraz przysiadł się szpagat. Tym szpagatem odgrazano ten kwartał od innych i tak powstawało miejsce odosobnione, gdzie ledźono, bawiono się popijano. A gdy zmęczenie ogarnęło majówkowiczów, to i przysnął sobie jeden z drugim pod krzakami. W tych krzakach młodzież... Ale młodzi w krzakach zabawiali się miłośnie nie tylko w maju.

Czasy się zmieniły i majówki odeszły w przeszłość. Dziś nikt ze szpagatem nie chodzi do lasu. Zresztą z lasami też nie jest najlepiej. Oto wycyzłaleś niedawno, że Las Łagiewnicki zamknięty będzie na jakiś czas z powodu... remontu. Jakies robnactwo oblażło drzewa i trzeba

będzie to robnactwo różnymi świątami wytruć. W tym zbożnym celu helikoptery będą nad Lasem Łagiewnickim latały i te chemiczne trucizny na ten biedny las zrzucały. W tym czasie trzeba unikać wycieczek do Lasu.

Cóż to zresztą dziś za wycieczki? Spaceruję sobie kiedyś po lesie, rozmyślając o skomplikowanych problemach naszej współczesności. Nigdzie tak do brze się o tym nie rozmyśla, jak w lesie. I co widzę? Otóż widzę samochód, który stoi na leśnym duku. W samochodzie poostwierane drzwi. Wszyscy siedzą w jego wnętrzu i... wdychają leśne powietrze. Tacy wygodni. Dużo się nawdychają. Nawet wyśiąć im z samochodu się nie chce.

W Ameryce to samochodem jeździ się do kina, do kościoła, do baru. Z samochodu się nie wysiada, film się ogląda w specjalnym kinie siedząc w samochodzie, mszy się tak słucha, lub bierze się przez samochódowe okienko kanapki, płaci i nie wysiadając z samochodu zjada popijając kawę z plastikowego kubka. Ale żeby w lesie nie wysiadać z samochodu, w tym już prześcignęliśmy Amerykę. Co prawda wolalibyśmy, abyśmy ją prześcignęli w produkcji samochodów i zarabianiu dolarów na głowę ludności.

Na szczęście ludzie leśni szybko się zorientowali i zakazali wjazdu do lasu. Chcesz siedząc w samochodzie wdychać leśne powietrze, to stań sobie pod lasem i wdychaj nie wysiadając z samochodu. Ale i taki relaks już coraz mniej w modzie, bo teraz każdy albo sobie działkę zakłada, albo jakąś „leśną posiadłość” kupuje, gdzie stawia budkę i wszystkie wolne chwile tam spędza. Zbożny to cel. Mam tylko obawy, czy nie podzielimy całej Polski na działki. Był już taki jeden król, co podzielił Polskę na działki i dużo zła z tego dla Polski wynikło. Potem się jego synowie, a także wnuki bili między sobą o te działki. Czy dziś ludzie nie będą rywalizowali między sobą o te działki? A niech rywalizują. Może coś z tego pożytecznego wyniknie. Na przykład szacunek dla przyrody.

Bardzo nam tego szacunku potrzeba. Nauczaliśmy się lekceważyć przyrodę, zapominając że jesteśmy tylko i wyłącznie jej częścią. Jesteśmy tą jej częścią, niby obdarzoną rozumem, ale nie może ona pojąć, że bez tej przyrody — czyli całej reszty — sama nie przeżyje, a reszta bez niej da sobie świetnie radę. Tyle, że zdziwicie. Prawdę tę zawarto w przysłowiu: „nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las”. Otóż tylko w połowie jest to prawda: „nie było nas, był las...”. Teraz robimy wszystko, aby po nas nie pozostał nawet las. I obawiam się, że uda nam się to zrobić celując.

Prawdą jest, że drzewa umierają stojąc. Stojące trupy drzew nim je wytną ludzie z piłami, powinny być dla nas wyrzutem sumienia za zbrodnie dokonywane na przyrodzie, której jesteśmy tylko i wyłącznie częścią. Ale nasza cywilizacja nie ma już sumienia i spokojnie unicestwia przyrodę, nie pojmując, że popełnia samobójstwo również na sobie. W przyszłości być może nie będzie miał kto zapytać nie tylko, co to był szpagat, ale i co to był las, do którego chodziło się z tym szpagatem. Dziś już nie wystarczy nawoływać: chrońmy środowisko! — trzeba zmienić tak sposób myślenia, aby i człowiek i środowisko stanowiły jedność. Zycze powodził!

WITOLD BOROWY

3

Ożywić marazm!

Opowiadał mi niedawno Henryk S., że na jednym z zebrań, którym się przysłuchiwał, młody człowiek, zabierając głos w dyskusji, wystąpił z dość oryginalnym postulatem. Zażądał, by mniej ni więcej tylko, aby „ożywić marazm!”. Domyślam się, że chodziło mu zapewne o

to, aby wyjść wreszcie z marazmu. Tylko, że taki postulat nie zwróciłby niczyjej uwagi. Natomiast „ożywić marazm”, to już jest coś oryginalnego, niebanalnego, co może zwrócić uwagę słuchających, którzy na ogół bywają znużeni tak zwaną dyskusją.

W medycynie marazm — jak podaje „Słownik języka polskiego” — oznacza „ogólne wyniszczenie organizmu, pod wpływem starości lub przewlekłej choroby, ze zmianami organicznymi w korze mózgowej prowadzącymi do zaniku sprawności słuchającej, oślepiania, zaburzeń psychicznych”. I ożywiaj tu taki marazm.

W pojęciu zaś potocznym marazm oznacza „bezwład, rozprężenie, zastój”. Teraz już wiemy, co mamy ożywiać!

W marazm — dla ścisłości — można popaść, czyli w zastój, w rozprężenie, w bezwład. I z marazmu można otrząsnąć się, wydobyc. Ożywiania marazmu jeszcze nikt nie wymyślił. Ale oto stało się! Padł postulat, abyśmy ożywił marazm. Czyli ów młody człowiek domagał się pogłębienia marazmu, dalszego rozprężania i całkowitego bezwładu. Można powiedzieć — zwolennik paraliżu postępowego. A przecież jego intencje były wręcz przeciwnie.

Pozostaliśmy jednak przy tym dwuznacznym pojęciu „ożywiania marazmu”. Oczywiście wszyscy — a najczęściej w teorii — jesteśmy przeciwnikami marazmu, zastój, w bezwład. Marzy się nam debata intelektualna — na przykład — w której argumenty latają niczym jaskółki przed burzą. Padają ważne sformułowania, propozycje, uogólnienia. Czujemy wszyscy, jak sprawa ostro idzie do przodu. Aż pachnie postępem. No i co? Ano nic. Pomarzyć nie można?

Nie twierdzą, że nie zdarzają się twórcze dyskusje, z których coś wynika. Ale ciągle walkuje się cudze myśli, powtarza się w kółko banały, ograne już dawno hasła. A tu potrzeba naprawdę nieustannego ruchu szarych komórek. Rzecz nie idzie o to, kto więcej i lepiej powie, ale o to, aby jak najszybciej znaleźć jak najsukcesyjniejsze sposoby wychodzenia z kryzysu, a w różnych dziedzinach i z marazmu. I żeby nie było to tylko piękne projekty, których nikt nie ma zamiaru spełniać. Wystarczy — uważają niektórzy — jeśli je się już wymyśli, to i tak kawał dobrej roboty został zrobiony. O resztę niech się martwią inni. Jakos to będzie. Świat nie da nam zginąć!

Marzą mi się na przykład ostre spory literackie, kiedy ktoś komuś skacze do gardła, ale przy pomocy rzeczowych argumentów, a nie inwektiw i pomówień. Owszem, coś się o tej literaturze, pisze i mówi, ale jakoś tak ogólnie, grzecznie, żeby nikogo nie urazić, nie obrazić, nie dotknąć. Coś na kształt ożywiania marazmu.

Nadarzyła się oto okazja. W numerze 1 „Twórczości” z 1988 roku ukazało się opowiadanie Andrzeja Brychta „Zmienna ogniskowa”. Jest to opowiadanie brutalne, ostro antyklerykalne, bez wątplenia kontrowersyjne. Powinno wywołać ostre spory. Trudno jednak ostrym sporem nazwać wypowiedź Anny Tatarkiewicz, która ukazała się w „Polityce”. Autorka posadza Andrzeja Brychta o „ubóstwo emocjonalne” i nienawiść, która miała być źródłem twórczej inspiracji. Porównuje jednocześnie do opowiadanie do opublikowanych niedawno fragmentów książki Aleksandra Dalcza „Umierający i zmartwychwstali”. Fragmenty te ukazywały się w „Polityce”, a książka w „drugim obiegu”. Annę Tatarkiewicz po lekturze ogarnął smutek, a mnie po lekturze tekstu Anny Tatarkiewicz zwątpienie.

Podobny chwyt zastosowała w „Tygodniku Powszechnym” Józefa Hennelowa. Z tą tylko różnicą, że dzieło Aleksandra Dalcza porównała z „Rokiem w trumnie” Romana Bratnego, uważając, że w obu wypadkach źródłem inspiracji była „ta sama zawziętość i prymitywizm w rozprawianiu się z przeciwnikiem politycznym”.

Może myśle się, ale coś mi wydaje się, że nastąpiło tu jakby pomieszczenie z poplaniem. Zarówno Andrzej Brycht, jak i Roman Bratny — to ludzie z krwi i kości, których można nawet podać do sądu za obrazę i zniesławienie. Kim jest zaś Aleksander Dalcz — nie wiem. Jest chyba jakaś różnica w metodzie? Czy można ją pominąć? I czy to ma być ostry spór o literaturę? Coś mi się wydaje, że to raczej „ożywianie marazmu”.

Dalej mi smutno.

ZENON POROWATY

Maryn sięgnął po jedną paczkę wyłożoną przez Weronikę, wziął ją do ręki i przerzucił na tę stronę stołu, gdzie leżały pieniądze Kożuszników.

— Dodam wam tę paczkę, jeśli więcej tutaj nie przyjdziecie — powiedział.

Kożusznikowa w milczeniu zaczęła podawać swojemu mężowi pieniądze, które on upychał do teczek. Paczką podarowaną im przez Maryna wzgardził.

— Pan też jest wariatem — powiedziała podnosząc się z krzesła.

Wyszli obydwoje, nie domykając za sobą drzwi. Weronika zabrała ze stołu pieniądze Horsta Soboty i wrzuciła je do starej walizki.

— Po co ich tu wpuściłaś — ze złością odezwał się Maryn. — Mam teraz jeszcze obiad w smrodzie, który po nich pozostał? Otwórz na oścież drzwi i okna — niemal krzyknął i poszedł do sypialni, ponieważ tam pachniało perfumami Weroniki. Usiadł na taboretku przed toaletką i zapalił papierosa. A kiedy go wypalił, podszedł do okna i popatrzył na las po drugiej stronie drogi. Czy to już tak musiało pozostać, że będzie podobnie jak Horst toczyć c'agłe walki o ten dom i o ten sad?

Cichutko weszła do sypialni Weronika.

— W kuchni już nie śmierdzi. Możesz sięść do obiadu, Józwa — szepnęła.

Siedziała naprzeciw niego i patrzyła jak je — wolno, mały kęs za kęsem. Raz na nią spojrział i zauważył, że obserwuje go inaczej niż dotąd. Jakos tak po psiemu, jak Iwo.

— Tak się bałam. Tak bardzo się bałam — rzekła nieśmiało. Poczuł gniew. Zerwał się do stołu, chwycił Weronikę za gołę ramiona i zaczął nią potrząsać.

— Nie cierpię cię taką jak teraz, słyszysz? Nie chcę mieć w domu płaszcącego się psa. Bądź dumna, wyniosła, wzgardliwa i niedostępna. Jak kiedyś.

— Nie potrafisz, Józwa. Nie potrafisz być taką przy tobie. Wytrzeszales mnie jak swojego psa. Batem i strachem. Mogą udawać jeśli tego chcesz. Ale prawda będzie inna.

— Przepraszam cię — powiedział. Zauważył, że jego palce pozostawiają ślady na jej ramionach.

Wrócił do jedzenia. Ale już mu ono nie smakowało.

— Zgwałcił mnie i sponiewierał w lesie, gdy byłam taka młoda. Potem sponiewierał mnie mój własny mąż. A potem przyszedł ty i też mną poniewierałeś. Okaleczył mnie, o tym wiesz i dlatego mną gardzisz. Chodzę przy tobie naga, a ty patrzysz przez moje ciało w jakiś swój własny świat. Możesz mi przywrócić życie, dumę i wyniosłość, jeśli powiesz jedno słowo: zostaje.

— Nie mogę tego powiedzieć w tej chwili. Muszę mieć czas do namysłu — odrzekł jej już spokojnym tonem.

Tę noc postanowił, że skoro Weronika nie chce sama pozostać w domu na skraju lasu, on sprzeda Kożusznikom dom i sad, wyposaży Weronikę w mieszkanie otrzymane od Kożuszników oraz pieniądze Horsta, a sam urządzi sobie jakoś życie. To „jakos” pozostawało niewyobrażalne, właśnie może dlatego wydawało się lepsze od tego, jakie go tu oczekiwało. Nie mógł zasnąć. Ius za oknami milczał, tęsknił za jego mową, ponieważ sądził, że ją zaczął pojmować, i być może od lasu dowie się do celu i sensu swego dalszego życia. W domu panowała cisza, słyszał równy oddech młodej kobiety, która spała na sąsiednim łóżku. Być może rzeczywiście oczekiwała, że weźmie ją, nawet boleśnie, lecz i on miał w sobie zbyt wiele przeżyć i narzucających się nachełbie koszmarnych obrazów, aby ożyło w nim podniecenie. Najpierw on w nią wniósł, a potem ona w niego zaczęła wmnawiać, że istnieje miłość wielka, czysta i prawdziwa, i co gorsza — obydwoje zostali przez nią ogarnięci. W tej chwili był przekonany, że wpadł w zastawioną przez siebie pułapkę. Miała rację, gdy powiedziała, że on się boi miłości. Nie wierzył, że potrafi przeżyć takie uczucie człowiek, który przez lata rznął małe i duże kobiety, chude i tuste, z przyjemnością lub bez przyjemności za garść niekiedy wątpliwej jakości plotek lub informacji, za możliwość dostania się do czyjegós hotelowego pokoju. Za bardzo należał do świata, z którego musiał uciekać, aby nagle ocknąć się w innym świecie jako ktoś nowo narodzony. Nigdy, choć tego najbardziej pragnął, nie zapomni chwili, gdy Iwo Bunder wchodził do gmachu policji, swojej panicznej ucieczki z Eryka, potem głosu Bundera w słuchawce, jego ciała w korytarzu zakurzonej willi, chwili śmiertelnej trwogi, kiedy go Weber spychał do rzeki, suchego trzasku iglicy w łazience na Dapperstraat, białego ciała Yvette, jej wypukłego pośladka, w który wbijał igłę z ketaminą. „Jestem za ubogi, aby kupić sobie przeszłość” — pomyślał. A jeszcze po chwili przyszedł mu do głowy, że jednak może stać się wystarczająco bogaty, aby kupić sobie nie tylko przeszłość, ale i przyszłość. Ten dom z kolorowymi szybami na ganku i z ogromnym lasem po drugiej stronie drogi, duży sad nad jeziorem, stary pomost wśród trzin, piękna kobieta — jakież bogactwo dał mu Horst Sobota. Dlaczego właśnie jemu? Ponieważ sądził, że Józef Maryn jest złym człowiekiem. I choćby dlatego Maryn nie powinien przyjąć owego daru, gdyż nie czuł się złym. Tylko, co pocznie z tą kobietą? Tak naprawdę cała sprawa sprowadzała się do jej osoby. Bo jeśli nawet uczynił tak jak postanawia, to czy okaże się, że potrafi bez niej żyć?

Księżyc wszedł bardzo późno i nagle w pokoju zrobiło się srebrzyście. Weronika poruszyła się i śpiąc wysunęła spod pierzyny nogę obnażoną aż po pachwinę. Widział jej ślad udo, kształtne i o delikatnej skórze, którą kazał mu kiedyś pogłaskać jej dawny mąż, Kulesza. Maryn miał ochotę dotknąć palcami tej skóry, obudzić kobietę, przerazić, gdyż pierwszą reakcją musiał być strach przed oczekującym ją bólem. Prawdopodobnie nie zasnąłaby już tej nocy tak jak i on, dręczona strachem. Czy nie powinna posmakować, co to znaczy miłość wielka, czysta i prawdziwa, sprowadzająca się do tego, że co noc będą tak leżeli obok siebie, lękając się siebie i pragnąc siebie, miotani niepewnością i udreżeni bezsensownością? Takie też miały być ich następne noce. Wiele nocy, tygodni, miesięcy...

Odwrocił wzrok od obnażonego uda Weroniki i zapatrzył się w sufit, na stary żyrandol. Miał ochotę wstać po cichu, ubrać się, wyprowadzić klacz i zanurzyć się w wielkim lesie oświetlonym księżycowym blaskiem. „Może Eryka miała rację, że jestem wilkołakiem” — pomyślał. I zaraz zasnął na krótko, mającąc, że znowu podłączono go do wykrywacza kłamstw, elektrody wysysają z niego krew i życie, Eryka i Bunder zadają mu pytania. Zbudził się zły potem i z mocno bijącym sercem. Czekał aż się uspokoi zaczął zastanawiać się nad tym wciąż powtarzającym się motywem jego snu. Ow wykrywacz kłamstw nie mógł mu się pojawiać przypadkiem. To chyba podświadomość krzychała w nim, że nosi jakieś ogromne kłamstwo, ukrywa je przed sobą samym. A może po prostu ukrywał swoją miłość do Weroniki? Poczuł ulgę na tę myśl i zaraz zasnął już spokojnie, bez dręczącego koszmaru, nawet nie domyślając się, że Weronika tylko udawała sen. Wiedziała, że mężczyzna obok wciąż czuwa, myśli o czymś pilnie, a to o czym myśli — jest dręczące. Chciała przytulić się do niego, objąć go ramionami, ale bała się, że

Wielki las 44

ZBIGNIEW NIENACKI

ją odepchnie jak narzucającego się z przywiązaniem psa. Przecież nie tego od niej żądał, a właśnie dumy, wyniosłości. Postanowiła, że jutro pojedzie do Leśniakowej i zapyta ją, jak powinna się zachować kobieta, jeśli chce rozbudzić pożądanie mężczyzny. Zapyta o to bez wstydu i szczerze.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, zauważyła, że Maryn gotuje się do konnej jazdy i ze swojego dawnego pokoju zabrał kopertę, w której trzymał fotografie kłusowników złapanych na gorącym uczynku. Wtedy podszedł do niego, położyła mu dłoń na ramionach niemal napierając na niego swymi piersiami i brzuchem.

— Horst powiedział mi kiedyś, że wszędzie mogę chodzić i z każdego dobra korzystać, ale nie wolno mi bywać w lesie. Dlatego proszę cię, a nawet błagam; nie jedź do lasu. Byłeś strażnikiem łowieckim i wielu sobie zrobiłeś wrogów. Mówiłeś mi, że są w lesie takie miejsca, gdzie człowieka nigdy się nie znajdzie, choćby się szukało latami. Nie chcę cię drugi raz szukać i to bez żadnej nadziei, że cię odnajdę.

Zapach jej perfum, błagalne spojrzenie oczu, ciepło ciała, które odczuwał z powodu jej bliskości, ocknęło w nim uśpione pragnienie kobiety. Miał ochotę objąć Weronikę, położyć jej głowę na swoim ramieniu, przycisnąć mocno do siebie. Czy to możliwe, że minionej nocy zdecydował się odejść?

Stanowczym gestem zdjął ze swoich ramion jej ręce.

— Są sprawy, Weroniko, które mężczyzna musi załatwić po swojemu — powiedział. — Mało wiesz o mężczyznach. Umiesz tylko jedno: na widok mężczyzny ścisnąć uda i kolana.

Zostawił ją i poszedł do stajni. Po kilkunastu minutach już jechał drogą w stronę plantacji nasiennej.

Niech go porania, polamują mu nogi i ręce — przeklinała go w myślach Weronika, ponieważ czuła się upokorzona jego słowami. Dlaczego znowu tak boleśnie ją zranił? Czemu przypominał o jej kalekcie. To przecież było prawdą, że pierwszym jej odruchem na widok mężczyzny było ścisnięcie ud i kolan. Tego uczyła ją matka, gdy stawała się coraz starszą dziewczynką i potem tego samego nauczyło ją doświadczenie. Ale nie musiał jej tego przypominać. Mogł jakoś inaczej dać jej do zrozumienia, aby nie wtrącała się do jego męskich spraw.

Mimo gniewu na Maryna starannie zamknęła dom i furtkę na klucz, pozostawiając na straży w obejściu swobodnie biegającego Iwo. Wsiadła na rower i pojechała do wsi, do Leśniakowej.

Szcześliwie zastała ją w domu bez męża, który kupił w lesie gałęzie na opał i teraz je tam przygotowywał do zabrania. Leśniakowa niedawno urodziła, otoczona gromadką dzieciaków siedziała przy kuchni z niemowlęciem na kolanach. Była w grubej koszuli z wycięciem aż do pępka. Aby mieć spokój od niemowlaka wyjęła na wierzch długi nabrzmiały cyeek i wsadziła mu go w usta. Wyglądała niechlujnie i choć nie zastała ją Weronika przy wyrzucaniu gnojki, śmierdziła swoimi odchodami. Brud, smród ciała, brzydota, szczerbatych ust Leśniakowej nie wydawały się mieć dla niej znaczenia w sprawach miłości. Weronika pomyślała, że to chyba artefakty wymyślił piękno potrzebne w takich sprawach, gdyż być może sama miłość była pięknem.

— Nie upieram się, Weroniko — ochoczo podjęła temat — że każda kobieta musi mieć ciężkiego mężczyznę. Jeśli tobie potrzebny jest lekki, to poszukaj sobie lekkiego. Ale tego nie mo-

gę pojąć, że na widok każdego mężczyzny tak od razu sama z siebie ścisną ud i kolana, jakby cię miał bić a nie robić przyjemność.

— Dla mnie to jedno i to samo — westchnęła Weronika.

— Skrzywdził cię stary Horst — ubolewała Leśniakowa. — Cały majątek zapisał odcemu człowiekowi. Czujesz w sobie krzywdę i dlatego nie chcesz rozchylić ud dla tego mężczyzny. Bo to byłoby jak gdybyś mu się sprzedała za pieniądze.

— Złe mnie zrozumiałaś — pokręciła głową Weronika, zdruzona wyjaśnieniami Leśniakowej, które nie przyniosły jej żadnej ulgi. — Mnie ten mężczyzna się podoba i chciałabym być jego. A jednak ścisną ud i kolana.

— Dziwne — przyznała Leśniakowa. — Bo co do mnie, to są tacy mężczyźni, że jak na nich spojrzę, też uda zaciskam. Ale znowu są tacy, że same nogi się rozchylają. Nie chcesz, a one się rozchodzą. Wynika z tego, że jeszcze swojego mężczyzny nie spotkałaś. Przekonasz się, że kiedyś usłyszysz sobie naprzeciw jakiegoś chłopca, może ci się nawet nie będzie podobał, a tu raptem patrzysz na swoje kolana: ni stąd ni zowąd jedno jest daleko od drugiego. Takiego sobie przyuważ, choćby był szpetny jak diabeł, albo rozpustnik. Inaczej w chorobę kobiecą popadniesz jak wiele innych, co ciagle uda zaciskają.

Lepkie wargi niemowlaka ssaly mocno dużą brodawkę piersi Leśniakowej, która przymknęła powieki.

— Czy to cię boli? — zapytała Weronika.

— Co takiego?

— Jak cię mocno ssie

— Zglupiałaś, Weroniko? To jest prawie tak samo przyjemne jakby cię chłop całował. Mam dużo pokarmu i karmię dzieciaka tylko lewą piersią. Prawą daję swojemu chłopcu, żeby był silniejszy. Z początku trochę się brzydził mojemu pokarmu, ale teraz już przywykł. A mnie jest jeszcze przyjemniej, kiedy tak obydwoje mnie ciuckają. Nigdy nie dawałaś mężowi posać swojej piersi?

— Nie.

— To źle. Oni się wzięli z kobiety, to znaczy, że każdego mężczyznę jakaś tam kobieta urodziła i wykarmiła swoją piersią. Każdy też wyszedł nie uchem, ale z krocza. Dlatego te rzeczy tak ich do nas ciągną.

Weronika milczała. Myślała była bardzo daleko w lesie, przy Marynie. To, co się z nią działo nie było takie proste jak to przedstawiała Leśniakowa. Kochała Maryna miłością wielką, czystą i prawdziwą, nie żądała od niej, aby rozchyliła mu swoje nogi, aby dawała mu ssać swoją pierś, mówiła, że nie pożąda żadnej kobiety. Ale dodała, że to mu minie — i co ona wtedy zrobi? Czy potrafi go zmusić, aby ją wziął siłą, tak jak tylu mężczyzn w lesie, jak jej były mąż? Już raz uciekła z jego łóżka. Gdy ją znowu dotknął, też chyba ucieknie z ich wspólnej sypialni.

Wracła do domu, kiedy Józef Maryn na plantacji nasiennej kończył rozmowę z leśniczym Stęborkiem.

— Jak pan widzi, panie Maryn, prawie wszystkie sadzonki przetrzymały zimę — chwalił się Stęborek. — Bo trzeba panu wiedzieć, panie Maryn, że jest o lesie prawda naukowa, ale jest i inna. Las musi człowieka pokochać. A miłość jest tajemnicza. Dla przykładu zdradzę panu pewną historię, którą niech pan zachowa dla siebie. Otóż mam żonę ładną i czystą jak blask księżycowy. A przecież mogę z nią co najwyżej raz w tygodniu mieć przyjemność. Rapiem spotkałem kobietę zupełnie inną, co tu dużo gadać, nawet wstrętą, z tustym ciałem i ogromnym zadem. I proszę sobie wyobrazić, miałem z nią stosunek aż jedenaście razy. Kolejno. Tutaj, na tej plantacji. Nawet nie wiedziałem, że jest we mnie taka potężna siła. Czy pan myśli, że ta moja siła nie emanuje na te małe sadzonki? Może to tylko dzięki tej potężnej sile przetrzymały one tę zimę? Rad jestem, że pan tutaj wrócił, panie Maryn i nie widzą powodu, aby nie nawiązać z panem przyjaźni. Otrzymałem już dom po Kuleszy, piękną leśniczówkę, a tamtą po Izajaszku Rzepie wzięto do remontu. Nie patrz już chciwym okiem na dom po Horście.

Maryn kiwał głową i udawał, że słucha Stęborka. Dowiedział się, na którym rzębie pracują Budrys i Karaś, i gadanina leśniczego nic go nie obchodziła. Udał jednak, że słucha wynurzeń, wyrozumiałe uśmiechał się, potem pożegnał Stęborka i ruszył we wskazane miejsce.

CDN



Mys. Janusz Szymański-Glanc

AGONIA Już za 2 tygodnie nowa powieść Jacka Sawaszkiewicza W BLASKU STU SŁOŃC

16 ODGŁOSY

NR 19 (1467), XXIX, 10 MAJA 1986 R.